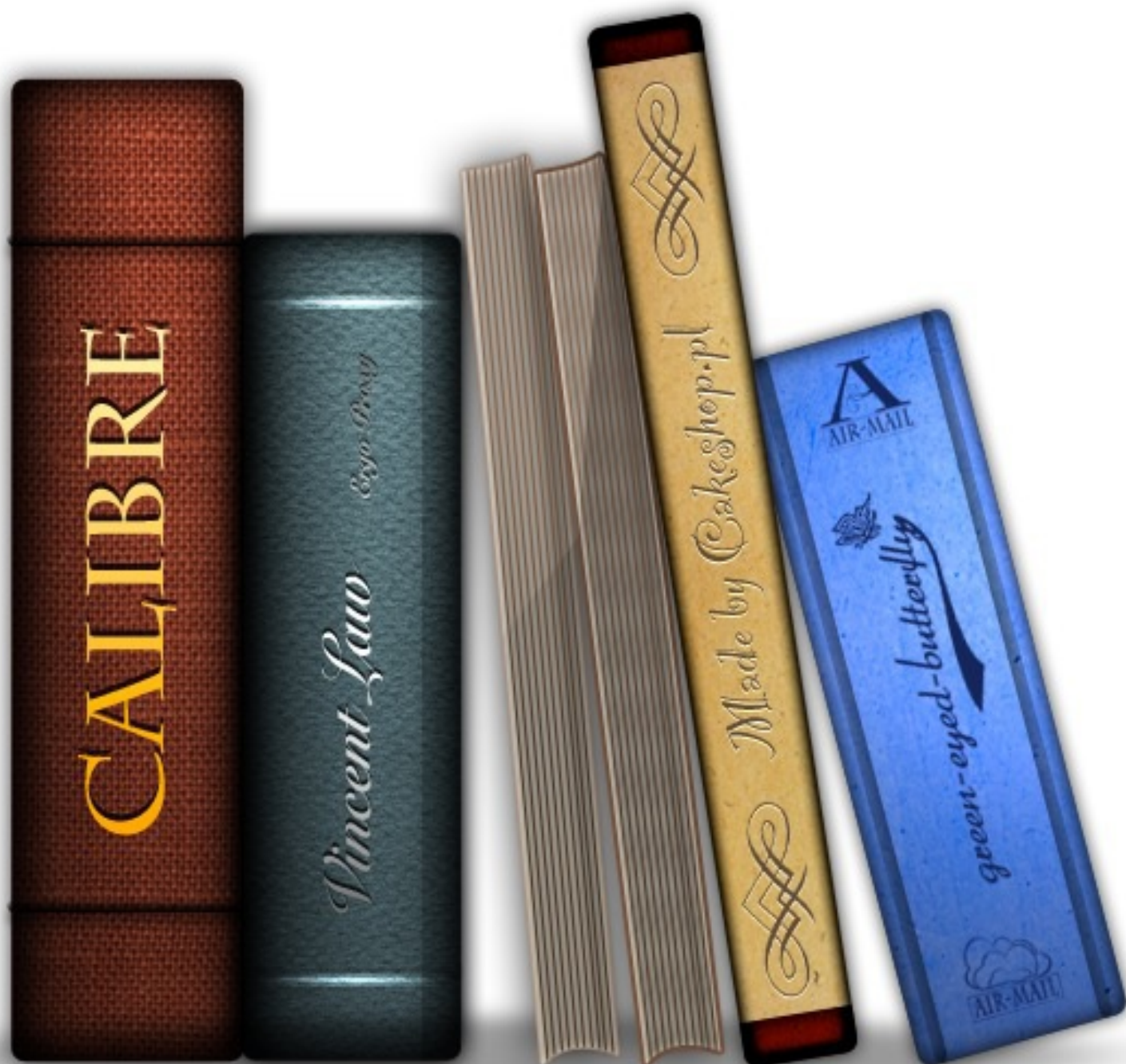


# Wladca gromu

## NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Wladca gromu

Przeklad: Malgorzata Kowalik

Tytul oryginalu: Lord of Thunder

Rozdzial 1

Czerwony lancuch gor, rudziejacy pod tchnieniem nadchodzacej Wielkiej Suszy, przecinal z polnocy na wschod lawendowe niebo Arzoru. Juz w godzinie po brzasku powiewy suchego wiatru zapowiadaly skwamy dzien. Jechac mozna bylo jeszcze jakies dwie, moze trzy, godziny w rosnacej spiekocie, a potem trzeba bylo szukac kryjowki, by przetrwac pieklo poludnia. Punkt lacznosciowy nie byl zbyt daleko. Hosteen Storm wydal bezglosne polecenie i mlody, mocno zbudowany ogier poklusowal na przelaj przez wysokie, zolte trawy, siegajace nog jezdzca. Od czasu do czasu wsrod zarosli mignelo blekitne runo frawna-marudera, ktory pozostawal w tyle za pasacym sie stadem. Zblizali sie do rzeki. W czasie Wielkiej Suszy zadne zwierzze nie oddaliloby sie wiecej niz na pol dnia drogi od wody.

On sam, pozostajac o tej porze tak dlugo wsrod wzgorz, postapil dosc nieroztropnie. Jedna z dwu manierek przytroczonych do derki, ktora sluzyla mu za siodlo, od wczorajszego ranka byla zupełnie pusta, a w drugiej zostala moze szklanka wody. Norbisowie, myśliwskie szczepy rdzennych mieszkancow planety, wiedzieli o zrodlach ukrytych w wawozach, ale ich polozenie bylo tajemnica plemienna.

Byc moze, zdarzalo sie, ze tubylcy dzielili sie ta wiedza z jakims, szczególnie zaufanym, osadnikiem. Moze Logan... - Hosteen lekko zmarszczyl brwi na mysl o swoim, urodzonym na Arzorze, przyrodnim bracie.

Pol planetarnego roku wczesniej Storm, weteran wojny z Xikami, zwolniony ze sluzby w silach Konfederacji, wyladowal na Arzorze jako bezdomny wygnaniec. Ostatnia bitwa galaktycznej wojny zmienila Ziemie w sina radioaktywna pustynie. Nie mial wtedy pojecia o istnieniu Logana ani o tym, ze Brad Quade, ojciec Logana, mogl byc dla niego kims wiecej niz wrogiem, ktoremu zaprzysial zemste.

W koncu jednak przysiega, ktora wymogl na Hosteenie przepelniony nienawiscia dziadek, nie uczynila z niego mordercy. Zlamal ja w ostatniej chwili i w zamian otrzymal to, czego bardzo potrzebowal: nowe korzenie, dom i bliskich. Szczesliwe zakonczenia rzadko jednak sa trwale - teraz to wiedzial. To, co czul w tej chwili, bylo raczej rozdraszaniem niz rozczarowaniem. Storm trafil do domu, do ktorego dopasowal sie tak latwo, jak szlifowany turkus dopasowuje sie do srebrnej oprawy w klejnotach Nawajow. Za to inny kamien z tej samej ozdoby w ciagu ostatnich paru miesiecy bardzo sie obluzowal.

Dla wiekszosci osadnikow codzienne obowiazki w rejonie Pogranicza byly wystarczajaco

ciezkie. Trzeba bylo polowac na jorisy - niebezpieczne gady, pilnowac stad przed napadami dzikich plemion Nitra i na sto innych sposobow stawiac czola niebezpieczenstwom, a nawet smierci. Dla Logana bylo to jednak za malo. Jakis gryzacy niepokoj kazal mu porzucac nie skonczona prace, szukac obozu Norbisow i przylaczac sie do ich polowan albo po prostu wlozcyc sie samotnie wsrod wzgorz.

Katem oka dostrzegl jakis ciemny punkt na niebie. Spieczone usta zlozyly sie do gwizdu, ale nie wydobyly sie z nich zadne dzwieki. Czarny punkt obnizal spiralnie lot.

Ogier zatrzymal sie, chociaz jezdziec nie wydal zadnego rozkazu. Baku, wielki orzel afrykanski, nadlecial z lopotem skrzydel i przysiadl na poprzeczce, specjalnie dla niego zamocowanej na siodle Hosteena. Ptak odwrocil glowe i jasne, przyjazne oko spojrzalo na Storma. Przez chwile zastygli tak w doskonalej harmonii.

Wiez miedzy czlowiekiem i ptakiem byla dzielem naukowcow. Wybrano i wytrenowano czlowieka. Wychodowano i wytresowano ptaka. Stworzono z nich nie tylko doskonale zgrany zespol, ale i grozna, dzialajaca bezblednie bron. Wrog przestal istniec, naukowcy zamienili sie w pyl, a wiez nadal trwala - tak samo silna na Arzorze, jak na tych planetach, na ktorych dzialala niegdys bojowo-dyweryyjna druzyna Mistrza Zwierzat.

-Nihich', hooldoh, t'assh 'annii yz? - zapytal Hosteen lagodnie, delektujac sie brzmieniem jezyka, ktorym juz chyba tylko on potrafil sie swobodnie poslugiwac.

-Mamy niezle tempo, prawda?

Odpowiedzia Baku byl niski, gardlowy dzwiek, ktoremu towarzyszylo twierdzące trzasniecie dziobem. Chociaz swobodny lot byl dla niego prawdziwa rozkosza, nie mial ochoty znosic skwaru dnia i chetnie zaszylyby sie juz w chlodny polmrok jaskini w punkcie lacznosci.

Deszcz - takie imie nosil ogier - poklusowal dalej. Przyzwyczail sie juz do wozenia Baku, zgral sie z druzyna zwierzat z Ziemi wnoszac do zespolu swoj wkklad: szybkoosc i wytrzymalosc na trudy podrozy. Zarzal tylko. Hosteen dostrzegl juz znane punkty orientacyjne. Mina to wzniesienie, potem przejada przez zagajnik "puchowych" krzakow i beda w obozie. Teraz powinien byc tam na dziesieciodniowym dyzurze Logan. Nie wiadomo dlaczego, ale Storm watpil, czy zastanie go na miejscu.

Oboz nie miescil sie w budynku, lecz stanowila go grupa jaskin wydrazonych w zboczu pagorka. Osadnicy hodujacy na nizinach konie lub frawny, za przykladem tubylcow, na czas 'upalow urzadzali schronienia gleboko pod ziemia. Klimatyzacja, ktora posiadaly budynki w dwoch niewielkich miastach na Arzorze, czy urzadzenia zakladane w mniejszych osadach i posiadlosciach byly zbyt drogie i skomplikowane, by uzywac ich w punktach lacznosci.

-Halo! - powitalny okrzyk pozostal bez odpowiedzi. Wejscie do czesci mieszkalnej bylo ciemne, z tej odleglosci nie mogli stwierdzic, czy jest otwarte, czy zamkniete. Kolo jaskini, w

ktorej chronily sie przed spiekota sprowadzane z innych planet konie, rowniez nie bylo nikogo.

Chwile pozniej zoltoczerwona postac oderwala sie od zoltoczerwonej ziemi, a słońce zalsnilo na zakrzywionych rogach barwy kosci sloniowej, ktore byly tak naturalnym elementem wygladu Norbisa, jak gesta, czarna czupryna - Storma. Dlugie ramie unioslo sie w gore i Hosteen rozpozнал Gorgola - niegdys myśliwego z plemienia Shosonnow, a teraz opiekuna niewielkiego stada koni, ktore bylo prywatna inwestycja Ziemianina.

Tubylec wyszedl z cienia i chwycil konia za uzde. Zmeczony Storm zeskoczyl sztywno na ziemie. Jego brazowe palce poruszyly sie zwinnie zadajac w jezyku migowym pytanie:

-Jestes tutaj... jakies klopoty? Logan...?

Gorgol byl mlody, zaledwie wyrosł z wieku chlopiecego, ale wzrostem dorownywal doroslemu Norbisowi. Szczuply, choc dobrze umiesniony, nachylil sie z wysokosci swoich dwoch metrow nad Stormem. Pionowe zrenice jego zoltych oczu, bedace w oslepiajacym swietle slonca zaledwie czarnymi kreskami, unikaly spojrzenia Hosteena. Prawa reka pokazal, ze musza porozmawiac.

Struny glosowe Norbisow tak roznily sie od strun ludzi pochodzacych z Ziemi, ze porozumienie sie za pomoca glosu bylo niemozliwe, ale "mowa palcow", czyli jezyk migowy, sprawdzala sie bardzo dobrze. Mozna bylo w niej przy uzyciu oszczednych, czasem prawie niewidocznych gestow, wyrazic nawet zlozone mysli.

Hosteen wszedl do groty niosac Baku na ramieniu. Temperatura pod ziemia byla zaledwie o kilka stopni nizsza niz na zewnatrz, ale wystarczylo to, by z piersi czlowieka wydobylo sie westchnienie ulgi, ktoremu towarzyszylo akceptujace skrzekniecie orla.

Ziemianin zatrzymal sie, czekajac, az oczy przyzwyczajaja sie do mroku. Rozejrzal sie - mial racje. Jesli Logan w ogole tutaj byl, to wyjechal i to nie na zwykly objazd stada. Na pryczach nie bylo spiworow, kuchenki dzis nie uzywano, nie bylo tez siodla, jukow ani manierki.

Bylo jednak cos innego: torba za skory jorisa, zdobiona piorami, tworzacymi powtarzajacy sie motyw zamla - ptasiego totemu szczepu, do ktorego nalezal Gorgol. Co tu robil ekwipunek podrozny, ktory powinien byc teraz na ranczo, piecdziesiat mil stad?

Hosteen podniosl reke i Baku przeniosl sie na poprzeczke przybita do sciany. Storm podszedl do kuchenki, odmierzyl porcje "pyszalki", jak nazywano rodzaj hodowanej na Arzorze kawy, i nastawil maszynke na trzy minuty. Uslyszal za soba cichutki szept. Wiedzial, ze Gorgol usiluje zwrocic jego uwage, ale postanowil poczekac na wyjasnienie nie zadajac pytan.

Rzucil kapelusz na najblizsza prycze, rozwiazal sznurowki koszuli z nie barwionej frawniej

welny, sciagnal ja i z rozkosza umyl sie w chlodnej wodzie.

Kiedy wyszedl z alkowy, Gorgol wyjal z kuchenki kubek z pyszalka, zawahal sie i siegnal po drugi. Obracal go w rekach, przygladajac mu sie tak uwaznie, jakby go widzial pierwszy raz w zyciu.

Hosteen usadowil sie na pryczy z kubkiem w reku i czekal. Wreszcie Gorgol gwałtownie, prawie z gniewem postawil swoja kawe na stole, a jego palce zasygnalizowaly szybko:

-Ide... wzywaja wszystkich Shosonna... Krotag wzywa...

Hosteen pociagnal lyk gorzkawego, odswiezajacego napoju. Jego umysl pracowal szybciej, niz mozna bylo sadzic po spokojnych ruchach. Dlaczego wodz mialby wzywac wspolplemiencow, ktorzy dostali oplacalna posade poganiaczy? Wielka Susza nie byla pora ani na polowania, ani na wojne. Oba te zajecia, cenione w tradycji i obyczajach tubylcow, byly podejmowane tylko na poczatku lub pod koniec pory deszczowej. Scisle przestrzegana zasada bylo to, ze w czasie Wielkiej Suszy plemiona i szczepy rozdzielaly sie na male grupy rodzinne, z ktorych kazda, by przetrwac upaly, korzystala z jednego, zazdrośnie strzezonego zrodla.

Plemiona utrzymujace kontakty z osadnikami staraly sie zatrudnic u nich tylu swoich, ilu sie dalo, zeby latwiej bylo reszcie przezyc na skromnych zapasach zywnosci i wody. Zwolywanie ludzi w czasie suszy to kuszenie losu, ta decyzja wydawala sie szalona. Gdzies musialy byc klopoty, duze klopoty, cos musialo sie wydarzyc w ciagu ostatniego tygodnia, kiedy Storma nie bylo.

Wyjechal z posiadlosci Quade'a w Szczytach osiem dni temu, zeby opalikowac wybrany teren i sporzadzic jego mape w celu rejestracji w Galwadi. Jako weteran, a do tego Ziemiannin, mial prawo do dwudziestu kwadratow i oznaczyl spory kawal gruntu na polnocnym wschodzie, rozciagajacy sie od rzeki az do stop gor. Nie slyszal wtedy o jakichkolwiek problemach, nie zauwazyl tez zadnych wedrowek plemion. Chociaz... nie trafil takze na slad tubylcow ani nie spotkal zadnych myśliwych. Skladal to na karb suszy. Teraz zastanawial sie, co wygnalo Norbisow z okolicy.

-Krotag wzywa... w czasie Wielkiej Suszy! - nawet palcami mozna bylo wyrazic niedowierzenie.

Gorgol przestapil z nogi na noge. Storm znalazl go od miesiecy i widzial, ze chlopak jest zaklopotany.

-To sprawa magii... - po tym znaku jego palce wyprostowaly sie sztywno.

Hosteen pociagnal lyk. Myslal intensywnie starajac sie powiazac szczegoly. "Magia" - czy byla to proba powstrzymania dalszych pytan, czy prawda? W kazdym razie powstrzymalo go to od pytan. Nie nalezalo nigdy pytac o magie, a jego indianskie pochodzenie

powodowało, że uważał te zasady za potrzebne i słuszne.

-Na jak długo?

Palce Gorgola nie poruszyły się od razy.

-Nie wiadomo... - nadeszła w końcu niechętna odpowiedź.

Hosteen zastanawiał się, jak zadać pytanie, by - nie urażając Norbisa - uzyskać jakas informacje, gdy rozległ się czysty sygnał komu, który łączył punkty łącznościowe z centralą na ranczo. Ziemiak podszedł do pulpitu i wcisnął guzik odbioru. Usłyszał nagraną informację, która odtwarzana mechanicznie co jakiś czas, wzywała wszystkich do powrotu. Coś się działo!

-Więc jedziesz w góry? - nadal do Gorgola.

Norbis był już przy drzwiach i zarzucał właśnie torbę na plecy. Zatrzymał się i to, że walczy ze sobą, widac było nie tylko w wyrazie twarzy, ale i w każdym ruchu. Tubylec podporządkowywał się rozkazom, ale Hosteen wiedział, że 'robi to wbrew sobie.

-Jade. Wszyscy Norbisowie jada.

Wszyscy Norbisowie, nie tylko Gorgol. Słyszac to, Storm nieswiadomie syknal ze zdziwieniem. Tubylcy stanowili wiekszosc wsród pracowników Quade'a nie tylko w Szczytach, ale rowniez w jego wiekszych posiadlosciach w Dorzeczu. I Quade nie byl jedynym ranczerem zatrudniajacym przede wszystkim Norbisow. Jesli wszyscy Wybiora sie w gory...! Tak, taki exodus moze oslabic wiele posiadlosci.

-Wszyscy Norbisowie... To tez magia?

Ale dlaczego? Na ile sie orientowal, magia byla sprawa plemienia. Nie slyszal nigdy, by na spotkaniach i obrzedach z nia zwiazanych zbieral sie caly szczep czy narod, a na pewno nie w czasie Wielkiej Suszy. Przeciez nawet krainy nadrzeczne nie moglyby wyzywic takiego tlumu o tej porze roku, coz dopiero mowic o suchych obszarach gor.

Ale odpowiedz brzmiala:

-Tak... wszyscy Norbisowie.

-Dzicy tez?

-Dzicy tez.

Nie do wiary! Wojny miedzy szczepami byly podtrzymywane dla chwaly wojownikow. Poslac drzewce pokoju do drugiego plemienia, a nawet do kilku plemion - to jedna sprawa. Ale nie pomyslenia bylo zeby Shosonna i Nitra siedli pod takim drzewcem ze strzalami w

kolczanach.

-Ide - Gorgol klepnal swoja torbe. - Konie sa w duzym korralu... Sa bezpieczne.

-Idziesz... ale wroczisz tu? - Hosteen byl zaniepokojony ostatecznoscia, jaka wyrazaly znaki tamtego. - To zalezy od blyskawicy...

Norbis odszedl. Hosteen przeszedl przez pokoj i wyciagnal sie na pryczy. Wiec Gorgol nie byl nawet pewien, czy wroci. Co mial na mysli mowiac o blyskawicy? Norbisowie przypisywali boska moc tajemniczym istotom, ktore ciskaly gromy i zabijaly blyskawicami. Wysokie gory na polnocnym wschodzie byly uwazane za ich siedzibe. Te wlasnie gory kryly w sobie jaskinie i korytarze wydrzone przez nieznana rase, ktora badala Arzor, a moze nawet osiedlila sie tu wieki przed tym, zanim dotarly tu statki ziemskich zdobywcow.

Hosteen, Logan i Gorgol wraz z Surra - kotem pustynnym i Hing - meerkatem z Druzyny Zwierzat, odkryli Jaskinie Stu Ogrodow, wspanialy rezerwat biologiczny Zamknietych Grot. Zarowno rezerwat, jak i ruiny miasta czy tez twierdzy w przylegajacej do niego

dolinie, byly nadal przedmiotem badan naukowych. Bardzo mozliwe ze gory kryly jeszcze inne Zamkniete Groty. Zrozumiale, ze dla Norbisow wymarla rasa nieznanych przybyszow z kosmosu, ktorzy wydrzyli Szczyty, by ukryc tam swe tajemnice, byla bogami.

Mogl tak rozmyslac godzinami, a i tak nic by z tego nie wyniklo. Lepiej przespac skwamy dzien i ruszyc wieczorem do rancza. To wezwanie moglo rozbrzmiewac juz kilka dni, co usprawiedliwialoby nieobecność Logana. Obrocil sie n\* bok i zasnal.

Jego wewnetrzny zegar obudzil go po kilku godzinach. Wyszedl z jaskini w zmierzch. Upal zelzal, choc nadal bylo goraco. Pozwolil Deszczowi odswiezyc sie w plicznie rzecznej, po czym wskoczyl na siodlo. Noc nie byla ulubiona pora Baku, ale orzel posluchal polecenia i wzbil sie w rozgwiezdzone niebo.

Ranczo lezalo trzy noce jazdy od punktu lacznosci. Dwa dni spedzil Hosteen w prowizorycznych schronieniach, lezac plasko na ziemi i starajac sie wykorzystac caly chlod, jakiego mogla mu ona dostarczyc. Trzeciej nocy krotko przed polnoca dojechal do rozswietlonego celu. Niezwykly blask lamp atomowych byl kolejnym dowodem, ze cos sie dzieje.

-Kto tam? - z bramy dobiegl podejrzliwy okrzyk. Ziemianin sciagnal cugle. Wtedy z prawej strony wychynal z mroku futrzasty ksztalt. Przysiadlszy na zadzie obok parskajacego ogiera, kot przesunal po bucie Hosteena lapa o schowanych pazurach.

-Storm! - odpowiedzial i zsiadl z konia, by przywitac sie z Surra. Szorstkie lizniecie kociego jezyka bylo niezwykle goracym powitaniem i wzruszylo Hosteena.

-Zaopiekuje sie koniem - z bramy wyszedl czlowiek z emiterem w rece. - Quade czeka,

miał nadzieję, że szybko wrócisz...

Hosteen wymruczał słowa podziękowania bardziej zainteresowany tym, że na podwórzu są jeszcze inni ludzie. Ale Norbisów wśród nich nie było. Ani jednego z tubylców, których tu przedtem widywał. Gorgol miał rację: wszyscy wyruszyli.

Podszedł do drzwi wielkiego domu. Surra szła obok ocierając się o nogi, od czasu do czasu bodąc go dla zabawy łbem. Była też trochę spięta, jak w przeddzień akcji w czasach Wojny. Niebezpieczeństwo me przerazało jej, lecz podniecało.

-... na całym kontynencie, jak mówią doniesienia...

Być może, kot był podniecony tym, co się działo, ale ton głosu Brada Quade'a świadczył, że on jest naprawdę zmartwiony.

## Rozdział 2

W budynku Hosteen zastał spore zgromadzenie. Byli tam prawie wszyscy osadnicy z regionu Szczytów, nawet Rig Dumaroy, którego zwykle stosunki z Bradem Quade'em można by określić jako niechętna neutralność. Ale Dumaroy musiał się, oczywiście zjawić, skoro w grę wchodziły kłopoty z Norbisami. Był jedynym na Pograniczu wielkim posiadaczem, który był tak uprzedzony do tubylców, że żadnego z nich nie zatrudniał. - To Storm... - Dort Lancin, który prawie rok temu przyleciał tym samym transportem wojskowym co Ziemiannin, podniósł teraz dwa palce w pozdrowieniu, które było jednocześnie myśliwskim znakiem ostrzeżenia.

Stojący przy pulpicie komu wysoki mężczyzna zerknął przez ramię i Hosteen ujrzał ulgę na twarzy ojczyma.

Byli tu Dort Lancin, jego starszy, mało mowny brat Artur, Dumaroy, Jotter Hyke, Val Palasco, Connor Jaffe, Sim Starle, brakowało Logana Quade'a. Storm stanął w drzwiach z dłonią na łbie Surry, która obwachiwała jego nogi.

-Co się dzieje? - zapytał.

Dumaroy odparł pierwszy, uśmiechając się mściwie.

-Wasze pieścizoski, te kozły, ruszyły wszystkie w góry. Zawsze mówiłem, że was wykiwają, mówiłem - i proszę, macie. A teraz, powiadam wam - grymas zniknął z twarzy, a wielka dłoń klasnęła o kolano - szykują się kłopoty. Im szybciej się uzbroimy i posłamy po Patrol, żeby zrobił tu porządek raz na zawsze...

Spokojny, jakby znudzony głos Artura Lancina przeciał tubalne wywody tamtego, jak ostrzeżenie frajny.



-Dumaroy, zmien plyte, nadajesz w kolko to samo caly wieczor. Uslyszelismy cie juz za pierwszym razem. Storm - zwrocil sie do przybylego - widziales cos dziwnego po drodze?

Storm zawiesil kapelusz na wieszaku z rogow daryorka i odpinajac pas z nozem i emiterem, odpowiedzial:

-Mysle, ze wazne jest, czego nie widzialem.

-To znaczy? - Brad Quade wyciagnal wlasnie z kuchenki pojemnik ze swieza kawa. Postawil go przy fotelu i delikatnym ruchem poprowadzil tam Hosteena.

-Zadnych myśliwych, zadnych sladow, niczego.

Pociagnal lyk odswiezajacego plynu. Dopiero gdy usiadl, zdal sobie sprawe z tego, jaki byl zmeczony.

-Jakbym jechal przez pusty swiat.

Lancinowie przygladali mu sie uwaznie, Dort skinal glowa. Polowal z Norbisami, byl przyjmowany w ich wioskach i rozumial, jak dziwnie musiala wygladac opustoszalą kraina.

-Jak daleko dotarles? - zapytal Quade.

-Krazylem, zeby oznaczyc teren. - Hosteen wyciagnal w wewnetrznej kieszeni mapke. Quade wzial ja od niego i porownal z wielka mapa namalowana na jednej ze scian.

-Az do wawozu, co? - odezwal sie Jaffe. - I zadnego sladu myśliwych?

-Zadnego. Sadzilem, ze wycofali sie w związku w Wielka Susza...

-Nie, to za wczesnie - odparl Quade. - Cztery dni temu Gorgol przygnal tu twoje konie, zabral torbe i odjechal.

-Spotkalem go w punkcie lacznosciowym.

-Co ci powiedzial?

-Ze plemiona zwoluja sie... na jakies zgromadzenie szczepow czy cos w tym rodzaju...

-W czasie Wielkiej Suszy? - z niedowierzaniem zapytal Hyke.

-Mowilem wam! - tym razem Dumaroy walnal piescia, a Hosteen uslyszal glosny pomruk Surry. Poslal kotu bezglosny rozkaz i zwierzec ucichlo. - Mowilem wam! Siedzimy tu nad jedyna rzeka, ktora nie wysycha w czasie najgorszej suszy. Te kozly na pewno przyjda, zeby nas stad przepedzic! Gdybysmy mieli chociaz tyle rozumu co szczur wodny, to zrobilibysmy porzadek z nimi, zanim sie nie zorganizuja...

-Juz raz sie wybrales, zeby zrobic porzadek z Norbisami - chlodno odparl Quade. - I co sie wtedy okazalo? Ze to nie oni byli przyczyna wszystkiego, tylko grupa Xikow.

-Taak... A to moze znowu sztuczka Xikow? Niby oni zwoluja nagle wszystkie szczepy?

Wrogosc wprost parowala z Dumaroy'a.

-Moze tym razem to nie Xikowie - przyznal Quade - ale nie zgodze sie na zadne dzialanie, zanim nie dowiem sie dokladniej, o co chodzi. Wszystko, czego jestesmy pewni, to to, ze nasi norbiscy poganiacze rzucili prace w czasie, kiedy zwykle bardzo im na niej zalezalo, i ruszyli w gory. I ze to sie jeszcze nigdy przedtem nie zdarzylo.

Wstal Artur Lancin.

-O to chodzi, Dumaroy. Nie bedziemy na twoje zawolanie | pchac glow w paszcze jorisa. Mysle, ze powinniśmy sie czegos dowiedziec. A na razie sciagniemy poganiaczy z Dorzecza albo nawet jakichs wloczegow w Portu i jakos damy sobie rade. W czasie Suszy stada nie odejda daleko od rzeki i potrzeba bedzie tylko ludzi do ochrony przed jorisami i jeszcze kilku do liczenia. Moj dziadek mial tylko dwoch synow do pomocy w czasach Pierwszego Statku i przetrwal. Przeciez kazdy z was poradzi sobie w siodle.

-To prawda - zgodzil sie Sim Starle. - Wszyscy bedziemy trzymac komy na odbiorze i jesli ktos sie czegos dowie, to zaraz zawiadomi reszte. Jestem za tym, zeby siedziec cicho, dopoki nie dowiemy sie, o co tu wlasciwie chodzi. Moze to jakas rada szczepow zwiazana z ich czarami, a wtedy to nie nasza sprawa.

Hosteen zapadl w znuzone odretwienie i w milczeniu przygladal sie, jak osadnicy wsiadaja do smiglowcow, by odleciec do swoich rozproszonych po regionie posiadlosci. Byl ciagle zanadto zmeczony, by sie ruszyc, gdy Brad Quade, odprowadzwszy gosci, wszedl ponownie do pokoju. Podniosl sie jednak i zadal nekajace go pytanie:

-Gdzie Logan?

-Odjechal...

Ton glosu Quade'a wyrwal Hosteena z odretwienia.

~ Odjechal! Dokad?

-Do obozu Krotaga... tak mi sie wydaje...

Hosteen zerwal sie na rowne nogi.

-Co za glupiec! Chodzi o magie, Gorgol tak powiedzial.

Brad Quade odwrocil sie. Jego twarz byla pozornie spokojna, ale Hosteen widzial

wzburzenie ojczyzna.

-Wiem. Ale on zawarł braterstwo krwi z Kavokiem, synem Krotaga, a to czyni go członkiem plemienia...

Hosteen chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język. Magia była ryzykowna sprawa. Można być przyjętym do plemienia, można zawrzeć braterstwo krwi z Norbisem, ale nie wiadomo było, czy daje to prawo uczestnictwa w tajemnych obrzędach tubylców. Nie miało jednak sensu mówienie o tym teraz. Quade wiedział o wszystkim aż za dobrze.

-Może go zawrócić. Kiedy wyruszył?

-Nie. To jego wybór i dokonał tego świadomie. Nie będziesz go scigał. Chciałbym, żebyś jutro poleciał do Galwadi.

-Galwadi!

Brad Quade sięgnął po mapkę.

\_\_\_ Musisz to zarejestrować, zapomniałeś? A potem porozmawiasz z Kelsonem. On zna Logana. - Przesunął ręką po gestych włosach. - Chciałbym, żeby udało się załatwić to z Rada - Locan tak chciał się dostać do Zwiadowców. Gdyby to się powiodło, może znalazłby wreszcie odpowiadające mu zajęcie. Ale Rade trudno przekonać. W każdym razie spotkaj się z Kelsonem i dowiedz się, jak stoja sprawy. Podejrzewam, że oficjalnie nie mówi się nic o tej historii z Norbisami. Ja zostanę tutaj. Tak będzie lepiej. Dumaroy aż piszczy, żeby zacząć działać po swojemu i musi być tu ktoś, kto go uspokoi. Jedno potknięcie i możemy mieć wielkie kłopoty. - A co ty o tym wszystkim sądzisz?

Brad Quade zatknął kciuki za swój szeroki pas i patrzył w podłogę, jakby pierwszy raz widział jej, ułożony z rzecznych kamieni,

wzór.

-Nie mam pojęcia. To bez wątpienia sprawa magii, ale o tej porze roku? Quade'owie pochodzą z Pierwszego Statku, a nie znalazłem w archiwach rodzinnych zapisków o niczym podobnym.

-Gorgol mówił, że drzewca pokoju posłano też dzikim szczepom.

Ojczym skinał głową.

-Tak, wiem. Mnie też to mówił. Ale siedzieć i czekać...

Hosteen położył rękę na szerokim ramieniu człowieka, któremu niegdyś poprzysiągł zemstę - rzadko okazywał uczucie w ten sposób.

-Zawsze najtrudniej czekać. Jutro wieczorem polece do Galwadi. Logan... ma dusze Norbisa i zawarł braterstwo krwi z Shosonna spod znaku Zamła. To wielka świetność... Na krótką, ciepłą chwilę reka Quade'a przykryła dłoń Storma.

-Miejmy nadzieję, że wystarczy wielka. No, wyglądasz, jakbyś leciał z nog. Idź do łóżka i odpocznij.

Czekać. Siedząc w smigłowcu niosącym go przez nocne niebo do Galwadi Hosteen poczuł nieprzyjemne ukłucie - nie lubił czekać. Zostawił za sobą wszystko, co miał tu cennego: kota o miękim futrze i bystrych oczach, którego inteligencja, chociaż różna od jego własnej, wcale jej nie ustępowała, konia, którego sam ujeździł i wyszkolił, Hing, meerkata, małe, przymilne, zabawne stworzonko, które przyprowadziło mu tego wieczoru czwórkę swoich podrosniętych dzieci, Baku, który siedząc na ogrodzeniu korralu posiał mu << pożegnalny okrzyk. I wreszcie mężczyźni, którego szanował zawsze, nawet wtedy, gdy jeszcze go nienawidził, a za którym skoczyłby teraz w ogień. Zostawił ich wszystkich w miejscu, które, gdyby ich przecucia się sprawdziły, byłoby otoczone przez wrogów.

W Galwadi nie było widać żadnego napięcia. Wyszedszy z lotniska Hosteen przyglądał się ruchowi ulicznemu. Było już dobrze po zmierzchu i nieduże miasto, wymarłe za dnia, tętniło życiem, ludzie klebili się w sklepach i na ulicach. Ale czy znajdzie tu poganiaczy? O tej porze roku trudno było o nowych pracowników. W mieście było kilka knajp, gdzie mogli rozpocząć poszukiwania. Ale najpierw obiad.

Wybrał małą, cichą restaurację i zaskoczyło go urozmaicone menu, które mu podano. Posiłki na ranczo były zwykle obfite, ale dość skromne i jednostajne. Nieliczne przysmaki z innych planet zachowywano na świąteczne przyjęcia. A tu stanął przed wyborem, jakiego nie powstydzilyby się nastawione na przybyszów lokale w Porcie. Nagle zauważył przy sąsiednim stole mieszkańca Zacathanu i zdał sobie sprawę, że restauracja w stolicy musi zadowalać także gust przedstawicieli obcych rządów.

Postanowił sobie pofolgować i wybrał trzy dania, których nie kosztował od czasów służby. Popijał właśnie przez słomkę sok z bulwy dalee, kiedy ktoś zatrzymał się przy jego stoliku. Podniósł oczy i zobaczył Kelsona, Oficera Pokoju na obszar Szczytów.

-Słyszałem, że mnie szukasz, Storm.

-Próbowałem złapać cie w biurze - potwierdził Hosteen. Nie bardzo wiedział, jak sformułować pytanie. Tak po prostu, zapytać, co się dzieje? Ale Kelson mówił dalej.

-Co za zbieg okoliczności. Chciałem się właśnie z tobą skontaktować. Dzwoniłem do Szczytów - Quade mówił, że rejestrujesz tu ziemię. Zdecydowałaś się osiedlić?

-Tak. Będzie hodował konie z Putem Larkinem. Poleciał teraz na Astre, słyszał o jakiejś nowej rasie, którą wyhodowali tam krzyżując ziemskie konie z lokalnym gatunkiem dwurozca. Znosi podobno świetnie tamtejszy pustynny klimat - tak przynajmniej twierdzą

hodowcy.

-Byłyby niezłe na Wielką Suszę, co? To jest myśl. Ale jeszcze nie założyłeś rancza...

-O co mu chodzi - zastanawiał się Hosteen. Przecież nikt nie zaczynałby hodowli przed nadejściem deszczów.

Kelson skinął na kogoś.

-Mamy pewien problem... Może mogłbyś nam pomóc. Możemy się przysiąc? Czas jest tu bardzo cenny...

Do stolika podszedł człowiek. Rzadko spotykano kogoś takiego w rejonie Galaktyki. Jego polyskliwa, dopasowana tunika ozdobiona wzorem ze srebrnej nici oraz czarne, długie bryczesy były strojem człowieka interesu z którejś z gęsto zaludnionych, kupieckich planet. Ubior - tam zapewne ostatni krzyk mody, tu był zupełnie nie na miejscu, nie pasował też do korpulentnej postaci obcego. Jednak zacięta twarz, o kwadratowym, mocnym podbródku i ponurych oczach zdradzała człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. Nie była to zabawna postać. Hosteen od razu zorientował się, jaki typ osobowości reprezentuje nieznajomy i zeszywniał - nie przepadał za takimi.

-Szanowny Homo Lass Widders, Mistrz Zwierząt Storm.

Kelson dokonał prezentacji używając grzecznościowego zwrotu stosowanego na wewnętrznych planetach. Obcy nie czekając na zaproszenie usiadł przy stole naprzeciw Ziemiaka i nie przestawał przyglądać mu się taksujące.

-Nie jestem już w armii - sprostował Hosteen. - Wiem, że Mistrz Zwierząt - teraz pracuje u Quade'a.

-Od godziny jesteś raczej właścicielem posiadłości, nieprawdaz? Wbiłeś swoje słupy. Masz już godło? - spytał Kelson.

-Grot "S" - odpowiedział machinalnie Storm. - Czego pan sobie życzy od zdemobilizowanego Mistrza Zwierząt, Szanowny Homo?

-Miesiąca, może dwóch pańskiego czasu i usług - bez namysłu odparł Widders używając mławszającego dialektu planet kupieckich. - Chce, żeby pan... ze swoją drużyną... zaprowadził mnie do Blekitnej Strefy.

Hosteen zamrugał i spojrzał na Kelsona, żeby sprawdzić, czy się nie przesłyszał. Ku jego zaskoczeniu, wyraz twarzy Oficera Pokoju wskazywał, że przybysz miał na myśli dokładnie to, co powiedział.

-Czas jest bardzo cenny, Mistrzu Zwierząt. Wiem, że jeśli nie wyruszymy tam w ciągu

dwoch tygodni, bedziemy musieli czekac az do nastepnej pory deszczowej.

Tym razem Hosteen bez mrugniecia okiem odparl krotko.

-To niemozliwe.

-Nie ma rzeczy niemozliwych - sprzeciwil sie z irytujaca pewnoscia siebie Widders - dla odpowiedniego czlowieka z odpowiednia iloscia pieniedzy. Kelson twierdzi, ze wlasciwym czlowiekiem jest pan, a pieniedzmi zajme sie ja.

Nie mozna bylo po prostu powiedziec: nie. Ten szaleniec nie przyjalby takiej odpowiedzi. Trzeba go wysluchac, dowiedziec sie, o co w tym wszystkim chodzi, a potem wykazac mu bezsens jego pomyslu.

-Dlaczego Blekitna? - zapytal Hosteen polewajac dokladnie naleśnik sosem lorgowym.

-Tam jest moj syn...

Storm znów spojrzal na Kelsona. Blekitna byla obszarem nie znanym. Gory, stanowiacie jej zachodnia granice byly naniesione na mapy krainy Szczytow. Ale to, co rozciagalalo sie poza nimi, znano tylko z nieostrzych zdjec lotniczych. Zdradliwe prady powietrzne uniemozliwialy wyprawy badawcze przy uzyciu helikopterow. Poza tym obszar ten byl terytorium lowieckim dzikich plemion Norbisow - kanibali, znieprawionych i zwalczanych nawet przez tubylcow. Jeszcze nikomu - ani przedstawicielowi wladz, ani osadnikowi, ani lowcy jorisow - nie udalo sie wrocic z wyprawy do Blekitnej Strefy. Oficjalnie zabroniono takich eskapad. A tu Kelson przysluchiwal sie propozycji wtargniecia na zakazany teren z takim spokojem, jakby Widders chcial sie przespacerowac ulicami Galwadi. Hosteen czekal na wyjasnienie.

-Storm, jest pan weteranem sil Konfederacji. Moj syn rowniez. Sluzyl w desancie...

Hosteen byl zaskoczony. Czlowiek z wewnetrznych planet w desancie, w najniebezpieczniejszej ze sluzb - to bylo dziwne.

-Zostal raniony, bardzo ciezko, tuz przed koncem. Dostal sie na Allpeace...

Allpeace bylo jednym z centrow rehabilitacyjnych, gdzie ludzkie wraki przywracano do w miare normalnego stanu. Ale jesli mlody Widders byl na Allpeace, to skad sie wzial w Blekitnej Strefie?

-Osiem miesiecy temu z Allpeace wyruszył transport z setka zdemobilizowanych weteranow na pokladzie. Byl tam tez Iton. Na obrzezach tego ukladu statek trafil na zablakana hiperbombe.

Gdyby nie wyraz oczu i drgnienie warg, ktorego nie potrafil opanowac, mozna by pomyslec, ze Widders gawedzi o pogodzie.

-Miesiac temu na Mayho, blizniaczej planecie Arzoru, odnaleziono rakiete ratunkowa z tego statku. Dwaj ludzie, ktorzy przezyli, powiedzieli, ze transport opuscila jeszcze co najmniej jedna rakietka i razem z nia dolecieli do tego systemu. Ich pojazd byl uszkodzony, wiec musieli ladowac na Mayho, ale druga rakietka kierowala sie na Arzor, a jej zaloga obiecala przyslac pomoc...

-Ale nie dotarla - stwierdzil Hosteen.

Kelson potrzasnal glowa.

-Nie. Jest szansa, ze dotarla, ze rozbila sie w Blekitnej Strefie.

Automaty odebraly slabe sygnaly w dwoch punktach lacznosciowych w Szczytach. Kierunki, z ktorych nadchodzily sygnaly, krzyzuja sie w Blekitnej.

-A wasz klimat o tej porze roku jest zabojczy dla rozbitka pozbawionego zapasow i srodkow transportu - podjal Widders. - Chce, zeby mnie pan tam zaprowadzil. Chce uratowac syna...

-Jezeli byl on w tej rakiecie i jezeli przezył - dodal w myslach Storm, po czym odparł glosno:

-Szanowny Homo, zada pan rzeczy niemozliwej. Wyprawiac sie o tej porze do Blekitnej to po prostu samobojstwo. Nie ma mowy o przejsci u przez gory w czasie Wielkiej Suszy.

-Ale tubylcy zyja w gorach przez caly rok. - Widders podniosl glos.

-Tak, Norbisowie zyja tam, ale nie dziela sie z nami swoja znajomoscia tej krainy.

-Moze pan wynajac przewodnikow - tubylcow, cokolwiek pan uzna za potrzebne. Fundusze sa nieograniczone...

-Nie da sie kupic wiedzy o zrodlach od Norbisa. Jest jeszcze cos innego. Wlasnie teraz plemiona zbieraja sie w Szczytach na tajemne obrady. Nie moglibysmy wjechac na te tereny, gdyby nawet byla to pora deszczowa.

-Slyszalem o tym - odezwal sie Kelson. - Trzeba sie temu przyjrzec...

-Beze mnie! - Hosteen potrzasnal glowa. - Kroja sie tam klopoty. Jestem tu rowniez dlatego, zeby o tym zameldowac i zeby wynajac nowych poganiaczy na miejsce naszych Norbisow. W ciagu ostatniego tygodnia wszyscy tubylcy, co do jednego opuscili Szczyty...

Kelson nie wygladal na zaskoczzonego.

-Slyszelismy o tym. Kieruja sie na polnocny wschod.

-Do Blekitnej - sprecyzował Storm.

-Własnie. Byles w poblizu, gdy odkryles kryjowke Xikow. A Logan polowal w tych okolicach. Jestescie jedynymi osadnikami, ktorzy moga sie nam przydac - dodal Kelson.

-Nie. - Hosteen staral sie, aby zabrzmialo to ostatecznie.

-Nie zwariowalem. Przykro mi, Szanowny Homo, ale Blekitna jest strefa zamknieta z kilku powodow.

Oczy Widdersa nie byly juz ponure, iskrzyly sie gniewem.

-A jesli nie przyjme tego do wiadomosci?

Hosteen rzucil monete na blat stolu.

-To panskie prawo, Szanowny Homo, nie moj interes. Do zobaczenia, Kelson.

Wstal i zostawil Widdersa z jego problemami. Mial wlasne.

### Rozdzial 3

-Tak to wyglada - Storm nie mogl usiedziec w miejscu i, przedstawiajac wyniki swojej misji w Galwadi, chodzil w te i z powrotem po wielkim pokoju.-Wynajalem tylko jednego poganiacza i na dokladke musialem zaplacic za niego kaucje.

-A co zrobil? - spytal Brad Quade.

-Probowal zaorac ulice aeropilotem ministra z Valodi. Minister nie wydawal sie uszczesliwiony. Jego protest kosztowal Haversa dwadziescia dni paki z zamiana na czterdziesti kredytow. Ostatniego kredyty stracil w "Gwiazde i komete", wiec go wsadzili. Odsiedzial trzy dni, kiedy go wykupilem. Ale zna sie na robocie.

-Spotkales Kelsona?

-Kelson spotkal mnie. Odpalil wszystkie rakiety i chce zrobic duze bum, jesli pytasz mnie o zdanie - nieswiadomie przeszedl na wojskowy slang.

Z cienia dobiegl cichy pomruk. To Surra, odbierajac jego rozdraznienie i niepokoj, przetlumaczyla je na wlasna forme protestu.

-Co powiedzial?

-Mial na holu jakiegos typu z wewnetrznych planet. Chcieli przewodnika do Blekitnej - natychmiast!



-Co? - tak jak przedtem Storm, teraz Quade nie wierzył własnym uszom.

Hosteen pokrótce streszczył opowieść Widdersa.

-Wszystko jest możliwe, tylko dlaczego jest taki pewny, że to jego syn był w rakiemie. Sadzę, że chce w to wierzyć - Quade potrząsnął głową. - Norbis mógłby to zrobić. Tylko, że nie znajdzie się Norbis, który by spróbował. Nie teraz. Z drugiej strony...

Quade zawiesił głos. Siedział przy biurku z dwójką kociać Hing na kolanach - trzecie przysiadło mu na ramieniu. Spojrzył na mapę na ścianie.

-Z drugiej strony, powinniśmy się zainteresować tą okolicą.

-Dlaczego?

-Dort Lancin przeleciał dolinę smigłowcem. Widział dwa plemiona w drodze. I nie przenosiły one po prostu obozu. Zmierzaly do jakiegoś celu tak pośpiesznie, że zgubiły klacz...

Storm zatrzymał się, spoglądając w osłupieniu na ojczyzna. Zostawić konia w jakiegokolwiek - poza ratowaniem życia - sytuacji było dla Norbisa czymś niesłychanym.

-Jechali na północny wschód?

Odpowiedź twierdząca nie zdziwiła go.

-Nie mogę tego zrozumieć. To gorsze niż kraina Nitra, przecież tam jedzą MIESO - zrobił gest, którym Arzorczyki określali plemiona ludożerców. - Zaden Shosonna ani Warpt, ani Fanga nie wszedłby tam. Byłby nieczysty przez lata...

-Właśnie. Ale tam idą. I to nie oddziały wojowników, ale całe plemiona - z kobietami i dziećmi. W tym zgadzam się z Kelsonem: powinniśmy wiedzieć, co się tam dzieje. Ale jak ktokolwiek z nas mógłby się tam dostać - to zupełnie inna sprawa.

Storm podszedł do mapy.

-Smigłowiec rozbija się, jeśli prądy powietrzne są rzeczywiście tak silne, jak mówią.

-Sa - odparł Quade z niewesołą miną. - Z dobrym pilotem, przy odpowiedniej pogodzie, mogłobyś rozejrzeć się trochę przy granicy, ale nie ma mowy o jakimś dłuższym locie badawczym. Taka wyprawa musiałaby wyruszyć na koniach lub pieszo.

-Norbisowie mają studnie...

-Które są tajemnicami plemiennymi i których nam nie udostępnią.

Storm wciąż przyglądał się gorom na ściennym mapie.

-Czy Logan poznał jakieś piosenki wody?

Chociaż przybysze nie potrafili porozumiewać się z tubylcami za pomocą głosu, niektórzy z nich, urodzeni już tu, na Arzorze i wprowadzeni w pewnym stopniu w tradycje Norbisów, mogli zrozumieć - chociaż nie powtórzyć - inny, rzadszy sposób komunikacji. Były to długie, melodyjne zawołania, brzmiące prawie jak śpiew. Mogły być one ostrzeżeniem lub niesć ze sobą jakąś informację. Poganiacze wiedzieli na przykład, że niektóre z nich mówiły o znalezieniu wody,

-Mógł poznać.

-Jesteś pewien, że jedzie z Krotagiem?

-Nie pozwolono by mu przyłączyć się do innego plemienia.

Meerkaty obudziły się i zapiszczały. Surra warknęła czujnie i cicho podeszła do drzwi.

-Ktoś się zbliża... - stwierdził Storm. Surra znalazła każdego mieszkańca posiadłości: ludzi i zwierzęta. Teraz oczekiwała obcego.

Fenomenalny słuch i nie gorszy węch pustynnego kota zapowiedziały przybyszów na długo przed tym, nim doszli do drzwi, w których przywitał ich Quade. Snop światła padający z okna wydobyl z mroku zieloną kurtkę Oficera Pokoju, a po chwili usłyszeli jego powitanie.

-Halo, ranczo!

-Ogień czeka! - Brad Quade odkrzyknął zwyczajową formułkę.

Storm nie był zdziwiony widząc, że Kelsonowi towarzyszył Widders. W swym starannie dobranym stroju wydawał się tu jeszcze bardziej nie na miejscu. Dom Quade'a był urządzony wygodnie, ale raczej prosto. Większość ozdób stanowiły różne rodzaje tubylczej broni, meble z tutejszego drewna wyszły spod ręki osadników, a gdzieś tam widac było pamiątki z misji, jakie Brad pełnił na innych planetach w czasie swojej służby w Sekcji Badawczej.

Widders pewnym krokiem przestąpił próg i zatrzymał się nagle przed Surra.

Wielki kot przyglądał mu się uważnie. Storm wiedział, że zwierzę nie tylko zapamiętało na zawsze wygląd stojącego przed nim człowieka, ale też wyrobiło sobie o nim zdanie. A nie było ono pochlebne dla Szanownego Homo. Surra majestatycznie przeszła do odległego kąta pokoju i wskoczyła na niską, przeznaczoną dla niej leżankę. Ale zamiast spokojnie zwinąć się w kłębek, usiadła wyprostowana, z czujnie nastawionymi uszami, a koniec puszystego ogona drgał nerwowo.

Storm zajął się przygotowaniem kawy. Jego wcześniejsze napięcie wzrosło jeszcze bardziej. Kelson przywiozł tu Widdersa. Znaczyło to, że żaden z nich nie zrezygnował z szalenczego pomysłu wyprawy do Blekitnej. Jednak słowo Quade'a miało swoją wagę. Hosteen nie wierzył, żeby wynik rozmowy zadowolił przybyłych.

-Cieszę się, że przyjechałeś - Quade zwrócił się do Kelsona.

-Mamy tu problem...

-Ja mam problem, Szanowny Homo - wtracił Widders. - Wiem, że ma pan syna, który dobrze zna dzikie tereny, polował tam. Chciałbym się z nim zobaczyć. Jak najszybciej.

Twarz Quade'a nie drgnęła, ale Hosteen, tak jak rozpoznawał emocje Surry, odczuł reakcję ojczyzna na to obcesowe wystąpienie.

-Mam dwóch synów - odparł powoli osadnik. - I obydwaj mogą się poszczycić dobrą znajomością Szczytów. Hosteen powiedział mi już, że chciałby pan udać się do Blekitnej Strefy.

-A on odmówił.

Widders pod maską spokoju wrzał z wściekłości. Nie zwykł i nie lubił napotykać na sprzeciw.

-Gdyby się zgodził, znaczyłoby, że pilnie potrzebuje opieki medycznej - odparł sucho Quade. - Kelson, zdajesz sobie przecież sprawę z tego, że ten pomysł to skrajna głupota.

Oficer Pokoju wpatrywał się w swoją kawę.

-Tak, Brad, zdaje sobie sprawę z ryzyka. Ale musimy się tam dostać - to konieczne! A wodzowie, tacy jak Krotag, mogą zgodzić się na taką wyprawę - rozumieją ojca poszukującego syna.

Ach, więc to tak! Kawalek układanki trafił na swoje miejsce. Hosteen rozumiał, że to, co mówi Kelson, ma jednak sens. Była jakaś ważna przyczyna, by zbadać Blekitną, a wyprawa Widdersa byłaby do przyjęcia dla Norbisów, dla których wiezy rodzinne i plemienne były czymś bardzo istotnym. Ojciec poszukujący syna - tak, to mogła być podstawa do rozmów, które w normalnych warunkach zaowocowałyby pewnie zdobyciem przewodników, wierzchowców, może nawet udostępnieniem kilku ukrytych źródeł. No tak, ale to nie były normalne warunki i tubylcy zachowywali się bardzo nienormalnie.

-Logan zawarł braterstwo krwi z kims z plemienia Krotaga, prawda? - naciskał Kelson. - A ty i Gorgol - spojrzal na Hosteena - polowaliście i walczyliście razem.

-Gorgol odjechał.

-Logan tez - dodal Quade. - Wyjechal piec dni temu, zeby przylaczyc sie do wyprawy Krotaga...

-Do Blekitnej! - wykrzyknal Kelson.

-Nie wiem.

-Klan Zamla byl w okolicach Pierwszego Palca - Kelson odstawil kubek i podszedl do sciennej mapy. - Obozowali tam, gdy i sprawdzalem ostatnio - wskazal palcem jeden z dlugich, waskich wawozow prowadzacych przez Szczyty do Blekitnej.

Storm poruszyl sie niespokojnie, podniosl z podlogi malego meerkata i przytulil go do piersi. Zwierzatko wierzgalo lapkami i gruchalo sennie. Logan pojechal z Norbisami. Dlaczego tak zrobil, bylo moze wazne, ale wazniejsze bylo to, ze w ogole pojechal. Chlopak mogl pasc ofiara wlasnej lekkomyslności, spotykajac niebezpieczenstwa grozniejsze niz sama Wielka Susza.

Patrzac niewidzacych wzrokiem na mape, Hosteen zaczal planowac. Deszcz - nie, nie moze go wziac. Ogier pochodził z innej planety, na Arzorze nie przeżył jeszcze roku. Bedzie potrzebował tutejszych wierzchowców - przynajmniej dwóch, a jeszcze lepiej czterech. W czasie suszy trzeba często zmieniac konie. I po dwa juczne zwierzęta na człowieka do transportu wody. Reszta zapasów powinny stanowic koncentraty, które - chociaz niesmaczne - dostarczaja energii starczajacej na dlugie dni.

Surra? Odwrocil glowe i nawiazal telepatyczna lacznosc z kotem. Tak - Surra. Fala zapalu byla odpowiedzia na jego nieme pytanie. Surra... Baku... Hing miala obowiazki wobec dzieci, a poza tym nie bedzie potrzebował tym razem jej dywersyjnych talentow. Z Baku i Surra brak szans zmienial sie w nikla szanse powodzenia. Ich zmysly, czulsze niz u przybyszow czy tubylcow, mogly wykryc tak potrzebna wode.

Quade przerwal cisze i z szacunkiem naleznym jego doswiadczeniu i zdolnosciom zwrocil sie do pasierba:

-Sa jakies szanse?

-Nie wiem... - Storm nie dawal sie poganiac. - Tutejsze konie, koncentraty, zapasy wody...

-Zapasy moga byc dowieziane przez smiglowce! - zwyciesko wykrzyknal Widders.

-Musielibyscie miec doswiadczonego pilota, doskonala maszyne, a i wtedy nie daloby sie doleciec zbyt daleko - stwierdzil Quade. - Prady powietrzne sa tam bardzo silne...

-Zrzuty wzdluz linii marszu - Kelson byl prawie tak podniecony, jak Widders. - Moglibysmy je dowiezec smiglowcem: woda, zapasy wzdluz calej drogi przez wzgorza.

Pomysł wydawał się bardziej realny, kiedy pojawiły się możliwości użycia nowoczesnych środków transportu. Tak, zrzuć zapasów mogły wspomagać ekspedycje aż do granicy Strefy pod warunkiem, że nie wzbudziłoby to wrogiej reakcji Norbisów. A dalej... to zależy, co znajduje poza tą granicą.

-Jak szybko może pan wyruszyć? - dopytywał Widders. - Mogę zorganizować zapasy, doświadczonego pilota i gotowy do lotu śmigłowiec w ciągu jednego dnia.

Hosteen poczuł znowu niechęć, która tamten wzbudził w nim już przy pierwszym spotkaniu.

-Jeszcze nie zdecydowałem, czy w ogóle wyruszę - odpowiedział chłodno. - 'Asizi - odezwał się, nazywając Quade'a wodzem w języku Navajo i przeszedł na język Rady Szczępów Indian amerykańskich - myślisz, że to da się zrobić?

-Z łaską Tych-Co-Nad-Nami, wspierany siłą dobrych czarowników wojowników może zwyciężyć. To moje prawdziwe słowo - odparł w tym samym języku Quade.

-Jest tak. - Storm zwrócił się do obydwu przybyłych. - Chce być dobrze zrozumiany: ponieważ to ja podejmuję ryzyko, na szlaku decyzja, czy idziemy dalej, czy wracamy, będzie należeć do mnie.

Widders zmarszczył brwi i szarpnął dwoma palcami za dolną wargę.

-To znaczy, że chce pan mieć absolutną władzę, jedyne prawo decyzji, tak?

-Właśnie tak. Ryzykuję życiem własnym i mojej drużyny. Dawno temu nauczyłem się, że głupota jest wystawiać się na przerastające człowieka niebezpieczeństwo. Decyzja musi należeć do mnie.

Iskry w oczach Widdersa mówiły o jego oburzeniu.

-Ilu ludzi potrzebujesz? - spytał Kelson. - Mogę ci dać dwóch-trzech z Korpusu.

Storm potrząsnął głową.

-Ja sam, Surra i Baku. Wyruszę wzdłuż Pierwszego Palca i postaram się dotrzeć do plemienia Krotaga. Z Loganem i Gorgolem

-jeśli uda mi się namówić go do przyłączenia się - będzie nas dosyć. Mała grupa, bez obciążenia, to jedyny sposób.

-Ale ja jadam! - wybuchnął Widders.

Hosteen odparł sucho:

-Jest pan przybyszem, a ponadto nie ma pan zadnego doswiadczenia na szlaku. Wyrusze tak, jak powiedzialem, albo wcale!

Przez chwile wydawalo sie, ze Widders bedzie obstawal przy swoim, ale gdy zobaczyl w oczach Kelsona i Quade'a potwierdzenie slow Hosteena, wzruszyl tylko ramionami.

-No wiec kiedy?

-Musze wybrac konie, przygotowac sie... dwa dni.

-Dwa dni! - prychnal Widders. - Dobrze. Zmuszony jestem zaakceptowac panska decyzje.

Ale Storm juz go nie sluchal. Surra przemknela obok nich ku drzwiom, a jej wzburzenie udzielilo sie Mistrzowi Zwierzat. Ruszyl za nia. Switalo juz, ale czlowiek i zwierzec dostrzegli blask. Bardzo daleko, za horyzontem niebo przeszyly ognisty miecz. Blyskawica? To nie byla burzowa pora roku, a poza tym "blyskawica" strzelila z ziemi w niebo. Wszystko zniknelo tak szybko, ze Storm nie byl pewien, czy w ogole cos widzial.

Surra warknela i prychnela. Wtedy Hosteen tez to poczul. Poczul, bo byla to raczej vibracja niz dzwiek, tak odlegla i slaba, ze trudno bylo stwierdzic, czy nie jest to zludzeniem. Daleko w Szczytach cos sie stalo.

Krzyk przebudzonego orla stlumil dzwieki wczesnego ranka. Baku ze swej zerdzi przy korralu wydal jeszcze jeden wojenny okrzyk. Odpowiedzial mu stukot kopyt Deszcza i rzenie innych koni. Czymkolwiek byla ta vibracja, zwierzeta odebraly ja i zareagowaly gwaltownie.

-Co to? - Quade wyszedl przed dom. Za nim podazali Kelson i - wolniej - Widders.

-Mysle, ze 'Anna 'Hwii'iidzii' - sam o tym nie wiedzac, odpowiedzial w jezyku Navajo Storm - wypowiedzenie wojny, 'Asizi.

-I Logan tam jest! - Quade wpatrywyl sie w gory. - W takim razie jade z toba.

-Nie, Asizi. Jest tak, jak mowiles. Tej krainie grozi niebezpieczenstwo. Byc moze, jestes jedynym czlowiekiem, ktory potrafi utrzymac pokoj. Zabieram ze soba Baku. Jesli bedzie trzeba, wysle go po ciebie i innych. Logan jest bardziej zaprzyjazniony z Norbisami niz ktokolwiek z nas, a braterstwo krwi trwa takze w czasie wojny.

Z niepokojem przygladal sie Quade'owi. Nie zamierzal sie przechwalac, ale wiedzial, ze umiejetnosc jego i jego druzyny dawaly mu przewage nad innymi. Quade znal Arzor, polowal w Szczytach, ale tylko Quade mogl zapanowac nad osadnikami. Znalezc sie pomiedzy nieznanym czyhajacym w Blekitnej Strefie a wyprawa karna z Dumaroyem na czele - bylo to niebezpieczenstwo, ktorego Storm wolal uniknac. Doswiadczył juz partackiej roboty Dumaroya przed kilkoma miesiacami, kiedy przedmiotem ataku osadnikow byla kryjowka Xikow. Bradowi udalo sie usmiechnac.

-Ufam ci, przynajmniej w tej sprawie. Takze dlatego, ze Logan poslucha moze hanaai - starszego brata, gdy zamyka uszy na glos hataa - ojca. Dlaczego tak jest?... - mowil do siebie.

Konie uspokoily sie, a mezczyzni weszli do domu i, sprawdzivszy mapy, ustalili miejsca zrzutow. W koncu Kelson i Widders polozyli sie. Wieczorem mieli poleciec z powrotem do Galwadi, zeby zorganizowac transport. Hosteen rzucil sie na lozko, ale - choc byl bardzo zmeczony - nie mogl zasnac.

Ten blysk w Szczytach, dzwiek czy fala powietrza, ktora biegla potem - nie mogli uwierzyc, zeby to bylo zjawisko naturalne. Ale co to moglo byc?

'-Anaasazi' - starozytni wrogowie - szepnal.

Pol roku temu on, Gorgol i Logan, odkryli Grote Stu Ogradow, gdzie bujnie rosly botaniczne skarby ze stu roznych swiatow, nie wiednace, nie tkniete przez czas tak, jak zostawili je wieki wczesniej nieznanymi przybysze z gwiazd. W tych pozostalosciach po ich cywilizacji nie bylo nic straszego ani odpychajacego. Wrecz przeciwnie - ogrody oczarowywaly, zapraszaly przybysza ofiarowujac mu zdrowie i spokoj. Dlatego uznano ich tworcow za istoty zycziwe, chociaz nie znaleziono juz innych tego rodzaju pozostalosci.

Archeolodzy i ludzie z Sekcji Badawczej badali okoliczne gory, usilowali dowiedziec sie czegos z wykopalisk w dolinie ruin niedaleko Jaskini Ogradow - jak dotad bez efektu. Ale jesli jedna gora kryla piekno i rozkosz, to inne mogly tez miec swoje tajemnice. A gory Strefy Blekitnej byly najbardziej tajemnicze.

Dziwne przeczucie niebezpieczenstwa, ktore wzbudzilo poranne zjawisko, nie chcialo zniknac. W jakichs sposob byl pewien, ze tym razem jego celem nie jest uroczy ogrod.

## Rozdzial 4

Poprzedniego dnia Storm dotarl do pierwszego zrzutu ulokowanego w okolicach szczeliny, ktora za dnia stala sie dla niego i jego zwierzat doskonalem schronieniem. Nie posuwal sie w takim tempie, jakie zaplanowal. Teren byl niepewny, wiec z pelna szybkościa mogl jechac tylko o zmierzchu i o brzasku, a te nie trwaly dlugo.

Jak dotad, jechal po sladach. Tropy Norbisow wciaz sie krzyzowaly - musialo przejsc tedy kilka grup - tworzac miejscami prawdziwa droge. Znalazl dowody potwierdzajace opowiesc Dorta Lancina, tubylcy jechali z szybkościa niebezpieczna o tej porze roku. Mozna by powiedziec, ze uciekaja przed kims, kto zagania ich miedzy wzgorza.

Zjawisko w Szczytach nie powtorzylo sie wiecej, a Surra i Baku nie ostrzegaly Storma przed niczym szczegolnym. A jednak jakis niepokoje towarzyszył mu stale, gdy podazali dolina wzdluz wyschnietego strumienia.

Ostrzeżenie nadeszło od Surry. Szarpnięciem za lejce sciągnął konie pod ścianę wawozu i czekał na kolejną wiadomość od swego futrzastego zwiadowcy. Usłyszał wysoki trzask opadający i znowu wznoszący się, jak gwizd wiatru w porze deszczowej. Był to sygnał Norbisów. Miał nadzieję, że ze szczepu Shosonna. Ale na wypadek, gdyby się mylił, trzymał w ręce odbezpieczony emiter.

Nagle Surra uspokoiła się. Nadchodzący wartownik czy zwiadowca był kims znajomym. Hosteen sądził, że tubylec nie dostrzeże kocicy. Jej futro miało kolor tak zbliżony do barwy ziemi, że jeśli tylko chciała, łatwo mogła stać się niewidzialna.

Hosteen podszedł nieco bliżej, prowadząc za sobą konie. Nie chciał dosiadać zwierzęcia w tym upale. Jeszcze godzina, może mniej, i beda musieli ukryć się przed zarem. Jednak po powtornym sygnale Surry wskoczył na siodło. Wobec Norbisa przybysz powinien prezentować się godnie, zwłaszcza, jeśli trzeba będzie prowadzić z nim jakies pertraktacje.

Ziemianin zawołał. Głos odbił się od ścian kanionu wzmocniony i zniekształcony tak, że mógł się wydawać okrzykiem całego oddziału. Zza zakretu wyłonił się jeden z krepkich, czarnobiałych norbiskich koni. Siedział na nim Gorgol. Nie podjechał bliżej, a jego twarz pozostała bez wyrazu. Mogli być nieznajomymi, pierwszy raz spotykającymi się na szlaku. Chłopak nie puscil też cugli, by porozumieć się z Hosteenem. To Storm uczynił pierwszy gest.

-Szukam Logana... nie można mi tego zabronić.

Pionowe zrenice Gorgola spoglądały na niego, ale nic nie wskazywało, że rozumiał Ziemianina. Wreszcie wykonał krótki gest zaprzeczenia i odmowy.

-Logan jest z plemieniem- stwierdził Hosteen.

-Logan należy do plemienia - poprawił go Gorgol.

Storm odetchnął z ulgą. Jeżeli chłopiec "należy do plemienia", to znaczy, że nie jest więźniem.

-Logan należy do plemienia - zgodził się Hosteen - ale należy też do plemienia Quade'a. Dotyczy go więc pewna sprawa rodzinna... zadanie do wykonania.

-To nie pora na wypas frawnow ani spód koni - sprzeciwił się Gorgol. - Plemię podąży w góry na obrzędy magiczne.

-My też mamy swoją magię, a żaden człowiek nie odmawia wezwaniu plemienia. Muszę porozmawiać o tym z Loganem. Czy gdyby nie chodziło o magię, pojechałbym w góry w czasie Wielkiej Suszy? Ja, który nie potrafię wygwizdywać wody?

To zrobiło wrażenie na Gorgolu, ale kiedy Hosteen chciał jechać dalej, chłopak zagroził



mu droge.

-To jest rozmowa plemienna. Krotag zadecyduje. Do tego czasu czekaj.

Nie miało sensu nalegać. Hosteen rozejrział się wokół. Czekanie mogło potrwać godzinę albo dzień. Jeżeli miał tu zostać, musiał znaleźć jakieś osłone przed słońcem, które wkrótce zamieni dolinę w rozpalony piec. Gorgol musiał się tego domyslić, bo zawrócił konia.

-Chodź - zasygnalizował. - Jest tu miejsce oczekiwania. Ale będziesz musiał tam zostać.

-Zostane - zgodził się Storm.

Kryjówka zaskoczyła go. Było to miejsce na obozowisko, mogąc pomieścić całe plemię. Zaimprovizowana budowla ze skalnych resztek naniesionych przez powódź w porze deszczowej, wznosiła się nad dołkiem, który dawał utrudzonym upałem wędrowcom przyjemny chłód.

Było dość miejsca dla koni, Surry i Baku, które prędko się tam rozgospodowały. Hosteen wydzielił wodę i żywność z zapasów, które uzupełnił w miejscu zrzutu. Gdyby trzymał się wyznaczonej trasy, dotarłby do następnej porcji za dwa dni. Ale Norbisowie mogli zakłócić jego plany.

Leżał na chłodnej ziemi i po raz setny zastanawiał się nad swoimi zamierzeniami. Smigłowiec miał nie tylko zrzucić zapasy, ale i oczekiwać go w ostatnim punkcie po tej stronie Szczytów. Storm chciał go użyć do poszukiwania drogi przez górski lancuch - gdyby Norbisowie nie mogli lub nie chcieli przeprowadzić grupy osadników do Blekitnej.

Musiał zasnąć, bo zerwał się nagle. Surra traciła go łapą, jak w dawnych czasach Służby. Nie ostrzegała, lecz zwracała na coś jego uwagę, więc sądził, że nadchodzi Gorgol. Ale do kryjówki wśliznął się chłopiec nie noszący jeszcze trofeów wojownika.

-Yuntzil! - Storm wyciągnął obydwie kciuki w pozdrowieniu wojowników. Brat Gorgola był wyraźnie uradowany takim gestem ze strony mężczyzny noszącego blizny, chociaż był to mężczyzna obcej rasy.

-Widzę cie, noszący honorowe blizny - migają szczupłe palce w gasnącym świetle dnia. - Przychodzę, niosąc znaki Krotaga. Upierzony mówi: "W gorach nastal czas magii, płomień przyjaźni zmniejszył się. Jeżeli brat naszego brata wjeżdża tu, czyni to wiedząc, że magia może ukarać niedowiarkę, chociaż chroni wierzącego."

Ostrzeżenie, ale nie zakaz wstępu. Tyle zyskał. Wyciągnął ręce do światła, żeby Yuntzil nie miał kłopotów z odczytaniem znaków, które czynił powoli i dokładnie.

-Nie jestem niedowiarkiem. Magia i mądrość jednego człowieka nie umniejszają wiary innego. Magia Krotaga mnie nie dotyczy, ale mam własną.

Tego ranka, przed spotkaniem z Gorgolem, przygotował się i włożył odziedziczony po przodkach naszyjnik ze srebra i turkusów. Podczas ich pierwszej wspólnej wyprawy, kiedy stawili czoła Xikom, nosił ten naszyjnik i bransoletę ketoh i wiedział, że te stare ozdoby Norbisowie uznali za talizmany.

-Jeśli brat naszego brata wierzy, niechaj przyjdzie. Może rozmawiać z Krotagiem.

Jechali w mroku. Ale Yuntzil nie trzymał się głównego kanionu, który Hosteenowi wydawał się najprostsza droga przez góry. Jakas milę od schronu skreślił nagle w lewo, mijał obrywy skalne i poprowadził Ziemiannina węższą ścieżką. Surra trzymała się Hosteena, bo kon Norbisa wyraźnie się jej bał. Baku leciał nad nimi i wkrótce Przekazał Stormowi informacje o bliskości obozu.

Wydał bezgłosny rozkaz. Rozsądnie było trzymać orla w rezerwie, jako czujnego obserwatora niewidocznego dla zwiadowców. Wiedział też, że wystarczy sygnał, by Surra rozplynęła się w otaczających ciemnościach. W przeszłości wielokrotnie udowodniła, że jej niezwykłym zmysłem nie mogło dorównać żadne stworzenie na Arzorze.

-Teraz! - pomknęło do kota nie wypowiedziane polecenie.

Po obezwładniającym upale gestniejący zmierzch niosł ze sobą ożywczy chłód. Przed nimi rozbłysło światło - oboz. Hosteen jechał spokojnie za Yuntzilem. Chociaż napoił konie przed opuszczeniem schronu, zwierzęta przyspieszyły kroku czując przed sobą wodę - być może, jedno z ukrytych źródeł.

Wysokie, szczupłe sylwetki przesuwały się przed ogniskiem. Nie mógł dojrzec namiotów. Gdyby nie to, że Yuntzil zapraszał go w imieniu wodza, można by uznać to za nocleg zwiadowców lub spotkanych myśliwych. Młody Norbis zeskoczył z konia i z wyciągniętą ręką czekał na cugle Hosteena. Jeżeli nawet zauważył zniknięcie Surry, to nie wspomniał o tym.

Ziemiannin śmiało wszedł w krąg światła ogniska, zostawiając konie za sobą. Zakreśliło go w nosie od mocnego, prawie przykrego zapachu płonących suchych gałęzi przywiezionych tu z daleka. Było to drzewo fal, używane do obrzędowych ognisk, które nie rosło w górach.

-Hosteen! - niższa postać oddzieliła się od grupy wysokich Norbisów. Jak oni, człowiek ten nosił długie buty ze skóry jorisa, której łuski polyskiwały w blasku ognia. Puklerz z tej samej skóry, tym razem pozbawionej łusek i delikatniejszej, osłaniał tułów. U pasa oznaczającego, że jego posiadacz jest wojownikiem, zwisał półmetrowy nóż członka plemienia. Stroju dopełniał tradycyjny kołnierz z zębów jorisa sięgający ramion i zwisający na piersi. Ponad kołnierzem ciemnobrązowa skóra chłopca, ciemniejsza od skóry Norbisów, polyskiwała kropelkami potu. Włosy przytrzymała szkarłatna tasma. Wyglądał bardziej barbarzyńsko niż otaczający go tubylcy.

Na widok wolnego i zadomowionego w obozie Norbisów Logana Hosteen poczuł, że jego

niepokoj zmienia sie w irytacje. Zauwazyl wyzywajacy grymas na twarzy brata. Logan sadzil, ze Storm przyjechal, zeby go zabrac do domu.

Hosteen nie odpowiedzial chlopcu, ale patrzac na oczekujacych przy ogniu wojownikow wyciagnal rece do swiatla i zaczal sygnalizowac powoli, dostojnymi ruchami wyslannika.

-Ten, kto jest jak ptak Zaml, czyje strzaly pily krew, który sam, sila swych rak i swojej magii upolowal jorisa w jego norze i zlego lotnika wsrod wzgorz. Bede mowil z tym, który jest wsrod was, a nosi w tym zyciu imie Krotaga. Bede mowil z przywodca wojownikow i straznikiem myśliwych.

Norbis poruszył się. Bogate zdobienia jego pasa migotaly jasniej niz luski na butach, a rogi na glowie ozdobione byly czerwona farba.

-Jest tu ten, który w tym zyciu nosi imie Krotaga - oznajmily jego palce. - Stoi tutaj. Czego sie od niego oczekuje?

-Pomocy. - Hosteen mial nadzieje, ze ta lakoniczna odpowiedz pobudzi ciekawosc Norbisa.

-Jakiego rodzaju pomocy, czlowieku z rzecznej doliny? Przybyles tu nieproszony, z wlasnej woli. Teraz jest dla naszego ludu czas rzeczy ukrytych. Uprzedzono cie o tym, a jednak przybyles. A teraz prosisz o pomoc. Pytam jeszcze raz - jakiego rodzaju pomocy oczekujesz?

-Pomocy, jakiej wielokrotnie czlonkowie plemienia udzielali obcym i sobie wzajemnie. W waszych gorach zaginal przybysz...

Katem oka zobaczyl, ze Logan drgnal, ale nie zwrocił na to uwagi.

-Sa tu tylko ludzie Zaml i ty. Nie slyszelismy o zadnym zaginionym. Kto w czasie Wielkiej Suszy wyruszyliby w srodek ognia?

-Dobre pytanie - podchwycil Hosteen. - Kto wyruszalby w srodek ognia? Wielu zadaje to pytanie wymieniajac plemiona i szczepy!

Rece Krotaga nie poruszily sie. Bez ruchu stali tez wojownicy. Storm zastanawial sie, czy jego szczerosc nie byla bledem. Wiedzial jednak, ze oceniac go beda wedlug otwartosci, z jaka przemawia, i pomijanie milczeniem tego niezwyklego exodusu byloby falszywym krokiem.

-Nasz lud ma swoje tajemnice, tak jak ty masz twoje - odparl Krotag.

-To prawda. Magia jest osobista sprawa kazdego czlowieka. Ale nie przybylem mowic o magii. Przybysz z innego swiata zaginal.

-Powtarzam: nie mowiono o nikim takim - gesty Krotaga byly bardzo wyraziste.

-Nie tutaj, nawet nie w Szczytach...

-Ale zmierzasz tutaj. Dlaczego, jesli nie ma tu czlowieka, ktorego szukasz?

-To sa Szczyty. - Hosteen zwinal lewa reke, a palec wskazujacy prawej reki powedrowal nad nia na druga strone. - Za nimi jest inna kraina.

Norbisowie wygladali, jakby Storm jakimis poteznym zakleciem zamienil ich w kamien.

-Oto historia - Ziemianin zaczal opowiadac o synu Widdersa, nie dajac sie zbic z tropu niechetnym i sztywnym tubylcom. W jezyku migowym przekazal historie ladowania rakiety ratunkowej, mozliwosc przezycia jakichs jej pasazerow i, wykonujac skomplikowane gesty, poczul nagle, ze napiecie wsrod jego widowni spada, ze tubylcy przejeci sa tym, co im opowiada, i ze mu wierza. Czy zechca go przepuscic do Blekitnej, bylo osobna sprawa. Sadtzil, ze decyzja nie zapadnie natychmiast. Mial racje. Gdy skonczyl, Krotag odpowiedzial:

-To trzeba przemyslec, bracie naszego brata. Ogień nalezy do ciebie.

Odszedl na bok i tak samo postapili inni, robiac Stormowi przejście do ogniska. Ziemianin dopelnil rytualu goscinnosci podchodzac do plomieni, chociaz musial wstrzymywac oddech, by nie zakrztusic sie gryzacyim dymem. Zajal miejsce w kregu, co bylo przyjemne jako symbol, ale w istocie bardzo niewygodne. Kiedy rozejrzal sie wokol, tubylcow juz nie bylo. Zostal tylko Logan, przygladajacy mu sie z wroga podejrziwoscia.

-Nieze ci poszlo - stwierdzil.

-Jesli sadzisz, ze to historyjka wymyslona po to, zeby cie stad zabrac, to wypadles z orbity - cierpko odparl Hosteen. - Wszystko to jest prawda. Ludzie Widdersa zrzucaja teraz paczki z zapasami w Szczytach. On jest przekonany, ze jego syn jest w Blekitnej.

-Wiesz, ze nie pozwola ci tam wejsc.

Hosteen potrzasnal glowa.

-Nie wiem. Ty tez nie. Chca cie wziac ze soba?

Ku jego zdziwieniu Logan pokrecil glowa.

-Nie wiem. Mam taka nadzieje.

-Co sie dzieje? Wiesz cos?

-Dzieje sie cos, co nigdy sie przedtem nie wydarzylo i co zmienilo wszystkie obyczaje. Hosteen, czy kiedy wyruszyles na wyprawe do ruin w dolinie, ten archeolog mial

przewodnika, który był czarownikiem i który mówił, że Zamknieni chcą ujawnić swoje tajemnice?

-Tak. Ale nic z tego nie wyszło. Xikowie zabili go wtedy, gdy zniszczyli cały nasz oboz po wielkiej powodzi.

-Ale tajemnica została odkryta - znaleźliśmy Grote Stu Ogródów. No więc teraz mówi się, że Zamknieni zwolują a plemiona, bo zamierzają coś wielkiego. Norbisowie rozesłali drzewca pokoju. Zakończono wszystkie wojny. A przyczyna tego wszystkiego leży gdzieś w w Blekitnej. Tylko że cała ta sprawa to magia. Jeśli wmieszają się w to nasi, wszystko weźmie w łeb. Jeden fałszywy ruch i Norbisowie obroca się przeciwko nam. Musimy siedzieć grzecznie i cicho, dopóki nie będziemy wiedzieć, o co tu chodzi. Pomyslałem sobie, że Krotag weźmie mnie ze sobą i będę mógł się czegoś dowiedzieć. Wyobrażam sobie, jaka frajda sprawiłoby takiemu Dumaroyowi rozpedzenie norbiskich obrzędów.

-Właśnie dlatego 'Asizi siedzi teraz w dolinie jak na beczce prochu. Nie przyszło ci do głowy, że mogłbyś z nim pogadać, zanim przepadłes?

Logan zaczerwienił się.

-Wiem, wiem. Uważasz, że powinienem był to zrobić. Ale to nic by nie dało, na pewno skończyłoby się kłótnia. Nadajemy na różnych falach. Brad Quade... to gość... takiego potrzebują ci z doliny. Ja jestem narwaniec... Nie potrafię siedzieć na ranczo, hodować frąwny i być synem swojego ojca! Z nim było chyba tak samo. Zaciągnął się przecież do Sekcji Badawczej, prawda? I obleciał wszystkie gwiazdy. A kiedy ja mogłem spróbować czegoś takiego, trwała wojna i nie było Badawczej. A do służby nie chcieli mnie wziąć, bo byłem za młody. No więc zacząłem jeździć z Norbisami. Czasami wydaje mi się, że jestem bardziej podobny do nich niż do ludzi takich jak Jaffe czy Starle.

No coż, chyba za bardzo liczyłem na Zwiadowców. Kelson obiecał, że będę na głównej liście, ale nie wyszło tak, jak sadziliśmy. Może trochę przez to... W każdym razie wróciłem do polowań z Norbisami... i usłyszałem o tym. Wszystko stało się tak nagle, że nie mogłem czekać i rozmyślać. Musiałem ruszyć z nimi zaraz albo wcale. W dolinie za dużo mówią, a za mało robią! Tym razem na pewno miałem rację.

Hosteen wzruszył ramionami. Sprzeczka nie miała teraz sensu, zresztą rozumiał chłopaka. Jak sam trafnie zauważył, Logan odziedziczył po ojcu zyłkę do przygód, która kiedyś, w młodości, zawiodła Brada Quade'a na odległe planety.

-Zgadza się. Zrobiliś to, co uważałeś za słuszne. Ale ja jestem tu w związku z Widdersem...

-I z weszeniem dla Kelsona...

-Jeśli złożę meldunek Kelsonowi, zrobisz tylko to, co ty miałeś w planie. Pomyśl rozsądnie,

Ach'ooni - rozmyslnie uzyl slowa oznaczajacego brata-przyjaciela. - Wiemy obydwaj, ze moga z tego wyniknac klopoty nie tylko dla osadnikow, ale i dla plemion. Przedtem trafilismy na Xikow, teraz moze nas czeka cos podobnego. Poszukiwania zaginionego czlowieka to wymowka, ktora Norbisowie moga przyjac.

-Dobrze. Pomoge ci.

-Przylaczysz sie?

Logan zawahal sie.

-Jezeli cie nie zawroca...

Usiedli z dala od ogniska i ceremonialnie podzielili sie woda z manierki Hosteena. Ktokolwiek im sie przygladal, widzial, ze nie ma w nich gniewu. Kiedy Storm zakrecil naczynie, zblizil sie Krotag.

-Myslelismy o twojej sprawie - gwaltownie poruszył palcami.

-Mozesz jechac z nami... potem zwrocimy sie do magii.

-Jak zechce Krotag. - Hosteen sklonil glowe z szacunkiem, a potem spojrzal wodzowi prosto w oczy.

-Zgadzam sie. Czy ty zgodzisz sie ze mna, gdy nadejdzie czas?

Krotag nie odpowiedzial. Dwoch mlodziencow zasypywalo ognisko. Reszta prowadzila konie i przygotowywala sie do wymarszu.

## Rozdzial 5

Hosteen potarl brode wierzchem dloni i skrzywil sie z bolu. Wargi mial suche i spekane. Wiekszosc wody oddal zwierzetom, a nie chcial prosic tubylcow, by uzyczyli mu swoich malejacych zapasow. Jezeli w ciagu godziny nie odbije w kierunku oczekujacego go zrzutu, znajdzie sie w klopcie. Nie wiedzial, czy bylo to zaplanowane przez Krotaga posuniecie, ktore mialo zniechecic go do dalszej podrozy, ale jego podejrzenia rosly z kazda chwila. Nie watpil, ze trafi do kryjowki - doprowadzi go tam Baku - ale wkrótce jego wierzchowce nie beda zdolne do dalszej drogi. A chociaz byl zaprawiony w trudach podrozy, watpil, czy uda mu sie dojsc tam na piechote.No coz, zwlekanie nie mialo sensu. Ruszyl do przodu, mijajac wojownikow, az dotarl do Krotaga. Kiedy ich konie zrownaly krok, odezwal sie z pozorna swoboda.

-Nadeszla chwila rozdzielenia szlakow. Ten, kto nie potrafi wygwizdywac wody, musi poszukac jej gdzie indziej.

-Nie prosisz o nią tych, co potrafią?

-Ktoż w czasie Wielkiej Suszy prosi przyjaciół o wodę? Jest cenniejsza od krwi. Ten, który wysłał mnie na poszukiwanie swojego syna, wysłał też wodę - przenosząc ją w powietrzu.

Czy i tym razem jego prawdomówność okaże się dobrą taktyką? Podróże powietrzne osadników nie stwarzały problemów na nizinach i były tolerowane na części obszarów wyżynnych. Ale od początku Norbisowie zgadzali się tylko na jeden port kosmiczny twierdząc, że Ci-Co-Ciskaja-Pioruny w gorach nie mogą być oglądani z powietrza. Może nie zgadza się na smigłowiec, zwłaszcza teraz.

Z twarzy wodza nie można było odczytać żadnego uczucia, ale przez długą chwilę przyglądał się Ziemiakowi. W końcu palce poruszyły się.

-Gdzie jest ta woda przyniesiona przez powietrze?

Zgodnie z miejscowym zwyczajem, Storm wskazał podbrodkiem na południowy wschód od szlaku. Krotag rzucił przez ramię swiergotliwy rozkaz i dwóch wojowników odłączyło się od szyku. Za nimi nadjeżdżał Logan.

-Nikt nie odmówi wody, jeśli można ją znaleźć - Krotag powtórzył pierwsze prawo swego ludu. - Ale w tej krainie można spotkać dzikich, a ty masz wiele koni. Będzie rozsądniej, jeśli nie pojedziesz sam. Oni będą dodatkowymi lukami - kciukiem wskazał na tubylców.

Gorgol i syn wodza Kavok - w tym wyborze Hosteen dostrzegł chęć zabezpieczenia się. Obaj znali zwyczaje osadników, pracowali u Quade'a. Kiedyś sądził, że z Gorgolem łączy go przyjazność, ale wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że stał się ostrożniejszy w ocenie stosunków z młodym wojownikiem.

Logan podjechał do nich.

-Ja też chciałbym jechać.

Krotag znowu zastanowił się chwilę, po czym wyraził zgodę. Potem sznur tubylców ruszył wolno dalej w wieczornej szarówce, Hosteen zaś odciągnął na bok swoje konie: luzaki i juczne klacze. Surra, zgodnie z poleceniem, wbiegła już w boczny wawóz, którym mieli dostać się z powrotem do szerokiego kanionu wiodącego do Blekitnej.

Droga była ciężka i w ciemności musieli jechać powoli. Logan trzymał się obok Hosteena.

-Jak daleko do tego zrzutu?

-Nie wiem, może dzień drogi. Zależy, jak bardzo odbiłem od kierunku przylączając się do plemienia.

-Bedziemy sie musieli gdzies ukryc przed sloncem...

Ta mysl przesladowala Storma coraz silniej w miare, jak mijaly godziny. Pol nocy wypatrywal jakiegos miejsca, ktore mogloby stac sie schronieniem za dnia. W tych poszukiwaniach nie byl osamotniony - Gorgol i Kavok jechali wzdluz brzegow kanionu jakby szukajac punktow orientacyjnych.

Swiergocace wolanie nadeszlo od Kavoka i, choc nie rozumieli, co mowi, pospieszyli ku niemu. Mlody Norbis zsiadl z konia, przyklekнал na ziemi i wodzil reka po czymś, co Hosteenowi wydawalo sie nietknieta powierzchnia. Potem ruszył naprzod, prowadzac za soba konia, jakby podazal jakimś niewidocznym szlakiem.

Skrecili z glownego wawozu w boczny parow, ktory pial sie ostro w gore. Kavok znowu uklakl i zaczal rozgrzebywac ziemie dlugim myśliwskim nozem. Gorgol pospiesznie przylaczył sie do niego. Hosteen i Logan patrzyli w zdumieniu.

Nadbiegla Surra. Zatrzymala sie metr od dolu, ktory zdazyli juz wygrzebac Norbisowie i weszac intensywnie wydala gleboki pomruk. Gorgol zerknal przez ramie i, widzac kota, dotkнал ramienia Kavoka wskazujac mu to na Surre, to na wykopana jame. Hosteen odebral nagla fale lowieckiej namietnosci plynacej z umyslu kota. Cos tam bylo. Poza zasiegiem blyskajacych nozy i pracowitych rak w ziemi krylo sie cos, co podniecalo lowiecki instynkt Surry.

Nagle ziemia umknela Norbisom spod rak i obydwaj odskoczyli do tyłu. W miejscu, gdzie kopali, zial powiekszajacy sie otwor, jakby odkryli podziemna otchlan. Noze trzymali nadal w pogotowiu, ale tym razem raczej dla obrony przed atakiem. Hosteen, biorac z nich przyklad, wyciagnal emiter. Gorgol wzniosl dlon w gescie oczekiwania.

Surra podpelzla do otworu szorujac brzuchem po ziemi. Czubek ogona drzal niecierpliwie, a szerokie lapy stapaly ostroznie z precyzja skradajacej sie lowczyni.

Norbisowie odsuneli sie na boki, a Hosteen poczul, ze traci kontakt psychiczny ze zwierzeciem. Kot byl teraz maszyna do polowania, w tym stanie nie reagowal na rozkazy i nic nie moglo go powstrzymac. Futrzasty leb z czujnie nastawionymi uszami zawisl nad otworem. Nagle, tak szybko, jakby rozplynela sie w mroku, Surra znikla w jamie.

Gorgol przysiadl na pietach. Storm chwycil go gwaltownie za ramie.

-Co jest pod ziemia? - zapytal.

-Nora dzimbuta - odpowiedzial Logan, zanim Gorgol zdazył uniesc reke.

-Dzimbuta? - powtorzył Hosteen, nie potrafiac znalezc znaczenia dla tego slowa. Nagle przypomnial sobie blam czarnego futra o kreconym wlosie, rownie piekny, jak skory frawnow, ktory zdobil sciane na ranczo Quade'a w Dorzeczu. Ale ta skora pochodzila z



duzego zwierzecia, mniej wiecej wielkosci Surry. Czy kocica zaatakowala taka bestie w jej wlasnym legowisku?

Odepchnal Gorgola i nie zastanawiajac sie, co robi, skoczyl w dziure. Jedna reka przyciskajac do piersi emiter, druga wyciagnal zza pasa atomowa latarke.

Spadl ciezko na sterte piachu. Przykucnal, nasluchujac. Z kazda chwila wyrazniej czul panujacy tu chlod, zaczal drzec. Kiedy zapalil latarke, zobaczyl, ze znajduje sie w srodku sporej jamy. Obrociwszy sie ujrzal wejscie do tunelu na tyle obszernego, ze zmiescilaby sie tam Surra lub czlowiek posuwajacy sie na czworakach. Zblizyl sie do niego i znow przykucnal.

Glosy bylo slychac dosc wyraznie: pomruk, przechodzacy w wyzywajace prychanie - to byl kot pustynny. Odpowiedzial mu dziwaczny warkot zakonczony jakby chrzaknieciem i rozlegly sie odglosy; zazartej walki. Tunel musial przechodzic w wieksza komnate, gdzie bylo dosc miejsca na takie starcie. Hosteen tkwil juz glowa i ramionami w przejsci, gdy chrzakniecie przeszlo w gleboki, urwany nagle jek. Jego umysl odebral fale triumfalnego uniesienia, a po chwili dobiegl go zwycieski ryk kota.

Trzy metry, moze troche wiecej i znalazl sie w drugiej komnacie. Zapach krwi laczył sie tam z ciezka wonia pizma. W swietle latarki ujrzal Surre przednimi lapami wspierajaca sie na klebie zakrwawionego futra. Jej zolte oczy plonely dzika radoscia. Kiedy Hosteen przykleknal przy niej, usiadla i zaczela lizac dluga, czerwona prege biegnaca przez lopatke. Jej rany byly nieliczne i niegrozne.

Ziemianin rozejrzal sie wokol W scianach bylo wiele otworow: z niektorych dochodzily nieznane zapachy. Bylo tu duzo miejsca Nie byl pewien, czy to owoc pracy dzimbuta, czy naturalna formacja, ale ta grota miala przynajmniej dwa na piec metrow i mogl sie w niej swobodnie wyprostowac.

Surra jeszcze raz liznela rane i zaczela obwachiwac sponiewierane cialo swojej ofiary, pomrukujac i tracajac je lapa. Hosteen skierowal w jej kierunku swiatlo latarki. Stworzenie bylo wielkosci Surry, a moze troche wieksze. Mialo zwalisty tulow, cztery krotkie lapy zakonczone pazurami, z ktorymi Storm wolalby sie nie spotkac. Glowa wygladala, wedlug ziemskich kryteriow, dziwacznie. Na okraglej czaszce nie bylo widac uszu. Oczu poczatkowo tez nie mogl znalezc. Wreszcie, gdy nachylil sie nad zwierzeciem, dostrzegl okragla, biala galke na wpol ukryta pod dlugimi wlosami. Pysk byl szeroki i plaski, wydłużający sie ku przodowi w dziwny, zebaty ryj.

-Dzimbut, niech mnie kule... - do groty wgramolil sie Logan.

-Surra niezle go urzadzila, grzeczna dziewczynka.

Surra spojrzala na niego spod na wpol przymknietych powiek i zamruczala w odpowiedzi.

-Mamy fart - ciagnal Logan. - To chyba najlepsza kryjowka, jaka mozna znalezc w gorach.

I o to chodzilo Norbisom. Legowisko dzimbuta nie skladalo sie tylko z dwoch jaskin i laczonego je korytarza. W scianach komnaty znajdowalo sie wiele otworow prowadzacych do pomieszczen zawierajacych zapasy. Podziemie bylo tak skonstruowane, ze chronilo przed upalem nawet, gdy poszerzyli wejscie, by wprowadzic konie. Wilgotny chlod zniknal, ale ludzie, rozlokowani w pomieszczeniach zapasowych i zwierzeta w glownej komnacie, byli znakomicie chronieni przed sloncem. Tubylcy porozdzielali zgromadzone tu nasiona i korzonki tak, ze i wierzchowce, i ludzie otrzymali smaczna strawe.

Hosteen zul zoltozielony strak. Gdy przegryzl twarda skorupe, usta wypelnila mu soczysta, odswiezajaca miazga. Przez zburzone sciany przenikaly promienie slonca, ale jego morderczy zar ich nie siegal, wiec przedrzemali wieksza czesc dnia.

Ziemianin nie wiedzial, co spowodowalo, ze obudzil sie, czujny, jak za dni sluzby. Moze poczul drzenie ziemi przewodzacej daleki tetent? Podniosl sie w niewielkiej izdebce, ktora dzielil z Loganem, i uslyszal niespokojne stapanie koni. Surra byla albo poza zasiegiem psychicznego kontaktu, albo nie chciala odpowiedziec na wezwanie. Po widocznych stad skrawkach nieba poznal, ze nadchodzi wieczor. Z dala slyszal zblizajacych sie jezdzcow.

Przykryl reka usta spiacego na wznak Logana - chlopak ocknal sie bez slowa. Widzac nieme pytanie w jego oczach Hosteen ruszyl do zewnetrznej komnaty. Wpelzli miedzy konie i zobaczyli Gorgola, ktory zaciskal chrapy swojego wierzchowca, powstrzymujac go przed powitalnym parsknieciem. To upewnilo Storma w jego podejrzeniach.

-Wrog? - zasygnalizowal.

Shosonna przytaknal gwaltownie.

Byli w fatalnej sytuacji. Wyprowadzic konie na zewnatrz bylo w najlepszym razie trudnym zadaniem, a zostac zaskoczonym przy tym zajeciu... Hosteen wezwal Surre. Byl pewien, ze kot wydostal sie juz z nory. Baku pofrunal pewnie do zrzutu i tam na nich czeka - nie wrocil poprzedniego wieczoru, a umiejetnosc latania oszczedzala mu trudow podrozy, ktore musieli znosic inni. Ale Surra musiala byc w jego zasiegu.

-Kto? - zwrocil sie do Gorgola.

-Dzicy.

-Drzewca pokoju sa wzniesione - zaprotestowal Logan.

Gorgol szarpnal glowa, co znaczylo tyle, co ziemskie wzruszenie ramionami

-Moga byc z daleka... chca koni.

Shosonna i inne szczepy z nizin miały własne sposoby gromadzenia stad: chłopcy zatrudniali się jako poganiacze, myśliwi mogli handlować upolowanymi jorisami i w ten sposób zdobywać środki na zakup koni. Dzikie, wyzyczne plemiona zazdrościli swym krewniakom, ale obawiali się kontaktów z osadnikami. Znalazły więc inną drogę zdobywania cudzych zwierząt, które Arzorczycy przyjęli tak samo łatwo, jak Indiancy przodkowie Hosteena, gdy Europejczycy sprowadzili konie na równiny Zachodu. Dzikie plemiona stale doskonaliły swój kunszt koniokradów. Trop oddziału Hosteena musiał być dla nich doskonałą wskazówką. Każdy doświadczony tropiciel z łatwością odczytałby ze śladów, że czterech jeźdźców prowadzi dziewięć koni, licząc juczne i luzaki. To była gratka, przy której drzewce pokoju niewiele znaczyło. Wystarczyło, by wrogowie zaczekali, aż brak wody wygna osaczonych z kryjówki.

Zostawała tylko Surra. Pokazał to Gorgolowi, a ten porozumiał się z Kavokiem, po czym odpowiedział:

-Nie ma tu futrzastej. Kavok widział, jak wychodziła, gdy słońce było jeszcze wysoko. Może być poza zasięgiem twojego wezwania...

Hosteen oparł rękę o kruchą ścianę jaskini, zamknął oczy i całą wewnętrzną siłę włożył w jedno wołanie - długie, bezgłosne i - miał nadzieję - sięgające wystarczająco daleko, by dotrzeć do kota.

Udało się. Przez kilka chwil wydawało mu się, że ogląda świat inny, dziwny i jakby skrzywiony, co znaczyło, że złapał kontakt ze zwierzęciem. Wydał polecenie i odebrał zgodę Surry. Nie potrafiła określić odległości, więc nie wiedział, jak bardzo oddaliła się od kryjówki, ile czasu zajmie jej powrót i wytopienie wrogów, a od tego zależało życie ludzi ukrytych pod ziemią. Przed atakiem miała jednak dać mu sygnał.

-Surra wkracza do akcji? - spytał szeptem Logan.

Hosteen skinął głową. Napiecie, w jakim trwał nawiązując psychiczną więź z Surra, jeszcze trwało. Gorgol podniósł głowę, jego nozdrza rozdzieliły się.

-Otoczyli nas - zasygnalizował.

-Ilu?

Gładka, bezwłosa głowa o białych rogach, które polyskiwały w wieczornym świetle, obróciła się wolno z boku na bok, zanim odpowiedział:

-Czterech... pięciu... - pstryknął palcami w miarę, jak lokalizował jeźdźców za pomocą swego naturalnego radaru. - Szesciu... Doliczył do dziesięciu. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Kavok nie miał dość miejsca, by użyć luku. Logan i Hosteen mieli emitery, Gorgol też - dostał go od Storma w czasie ich pierwszej wspólnej wyprawy wojennej, - ale bron osadników była środkiem obronnym i, by jej użyć, trzeba było widzieć cel. Surra była

gotowa.

Hosteen ostrzegł resztę. Kavok rzucił bezużyteczny luk i wyciągnął noż. Zostawili konie i podszli do brzegu zejścia, którym sprowadzili zwierzęta do jaskini.

-Teraz! - powiedział Storm, przesadnie poruszając wargami.

Wiedział, że w ten sposób zostanie zrozumiany przez Gorgola. W tej samej chwili posłał rozkaz kotu.

Wysoki, raniący uszy okrzyk Surry przeszył powietrze. Odpowiedziało przerażone rzenie koni, tych za nimi i tych z przodu, przy wejściu. Usłyszeli też kopyt i piskliwe okrzyki Norbisów.

Hosteen rzucił się ku wyjściu. Przetoczył się za skałę i podciągnął, by ocenić sytuację. Surra znów zawyla i zobaczył postać o niebieskich rogach stojącą lekkomyślnie na otwartej przestrzeni. Nitra naciągał cięciwę. Ziemianin nacisnął spust i posłał wiązkę promieni obezwładniających prosto w głowę tamtego. Norbis runął bezwładnie na ziemię.

Inny wyskoczył z ukrycia i rzucił się do ucieczki, gdy ujrzał głowę i tors Surry. Kot schował się ponownie, a Hosteen znów wypalił. Surra robiła, co do niej należało - wystraszała dzikich prosto pod łufę Storma. Była w tym ekspertem.

## Rozdział 6

Gorgol zatrzymał się nad nieruchomym Norbisem i, chwyciwszy za pomalowany róg, unosił jego głowę w powietrze. -Nitra - stwierdził.

Innego Kavok odwrócił stopą na wznak.

-Jeszcze żyje - zasygnalizował. Palce zacisnął na rekojści noża. Nawet gdyby przemówił w języku galaktycznym, nie mógłby jasniej wyrazić swoich myśli.

Trofea wojenne to trofea wojenne, ale nieprzytomni wrogowie, rozciągnięci na ziemi czy skuleni na skalach tam, gdzie dosięgnął ich promień emitera, zgodnie z tradycją byli własnością tego, kto ich pokonał. Hosteen, Logan i Gorgol mieli wyłączne prawo pochwalic się odciętymi końcami rogów powalonych wrogów w czasie triumfu odbywanego przy uroczystym biciu w bębny.

-Zostawmy ich - zwrócił się do obu tubylców Storm. - Drzewca pokoju są w gorze. Czy jeśli Nitra łamie prawa Tych-Co-Ciskaja-Pioruny, Shosonna ma robić to samo?

-Wciąż co? Zostawimy ich tu, żeby znów nas ścigali, gdy wydobrzeją po twoim magicznym ogniu?

-Zanim sie ockna, chlod nocy przemienie i wstanie slonce - odparl Ziemianin. - A my zabierzemy ich konie. Beda musieli ukryc sie w jamie lub zginac. Mysle, ze nie pojda za nami.

-To prawda - przytaknal Gorgol. - I postapimy slusnie nie zrywajac pokoju. Wyruszajmy, trzeba znalezc twoja wode, zanim wstanie slonce.

Surra dopilnowala, by wierzchowce Nitra nie rozbiegly sie. Teraz przywiazali je, przerazone i mokre od potu, do jucznych koni. Zanim zapadla noc, byli juz daleko od nory dzimbuta i swych niedawnych przeciwnikow.

O swicie dotarli do zrzutu u wylotu kanionu. Norbisowie gwizdneli ze zdumieniem, gdy ujrzeli kopule namiotu z szaroniebieskiej, nieprzejrzystej i nieprzepuszczajacej ciepla substancji. Ze skaly poderwal sie ku nim Baku. Poza tym nie bylo widac zywego ducha.

Logan gniewnie zmierzyl wzrokiem obcy ksztalt, tkwiacy beczelnie na ziemi Arzor.

-Co on sobie mysli? Ze jestesmy pieszczoszkaami z wewnetrznych swiatow? Ziemianin wzruszyl ramionami.

-Niewazne, co mysli. Moze sadzi, ze to konieczna oslona. Wazniejsze, co jest w srodku. Potrzebujemy zapasow.

Jego takze zaskoczyl ten namiot, nie pasujacy do otoczenia i niemal nierzeczywisty. Wygladal na cos wiecej niz zrzut, chociaz nie planowali zadnej bazy w tym miejscu.

-Mowiles, ze jedziemy po wode, a to jest dom przybysza - gwaltownie zasygnalizowal Kavok.

Wrogosc, jaka bila z tej wypowiedzi, zaniepokoil Hosteena. Widders popelnil wlasnie glupstwo, ktorego chcieli uniknac osadnicy. Troche wyposazenia i broni Norbisowie akceptowali jako rzecz naturalna. Ale dziwaczne schronienie, ustawione w samym srodku ich terytoriow bez zadnych wstepnych uzgodnien, w obecnej, niepewnej sytuacji moglo stac sie przyczyna przepedzenia ich wszystkich ze Szczytow. W najlepszym razie. Dlaczego Kelson pozwolil Widdersowi na tak fatalne posuniecie, tego Hosteen nie mogli zrozumiec.

Podszedl do plastikowej polkuli i pchnal zamek z calej sily, wyladowujac irytacje. Zamigotalo slabnace pole silowe i ujrzal maly szescian sluzy cieplej.

To wszystko musialo kosztowac majatek. Oboz w tym miejscu nie mial sensu, a co nie mialo sensu, bylo podejrzone. Nacisk nog na podloge sluzy wlaczyl pole silowe, ktore zamknelo wejscie, po czym druga przeszkoda ustapila, pozwalajac mu wejsc do srodka. "Byc moze dla mieszkancow wewnetrznych planet sa to warunki spartanskie" - pomyslal Hosteen. Bylo to jedno, wielkie pomieszczenie. Zapasy w pudlach i pojemnikach spietrzono na srodku. Wokol, pod pochylymi scianami ujrzal skladane lozka - az cztery - zestaw

kuchenny, zestaw do przygotowywania napojow, nawet przenosna lazienke! Nie, to na pewno nie mial byc oboz na jedna noc!

Namowil Norbisow, by weszli. Wprowadzili konie i pudlami z zywnoscia odgradzili prowizoryczna stajnie, poniewaz takiego pomieszczenia projektant nie przewidzial. Musieli zestawic blizej lozka, ale Hosteen wiedzial, ze i tak najblizszy dzien spedza komfortowo.

Gorgol i Kavok ogladali nowe schronienie z podejrziwoscia, ktora stopniowo zmienila sie w zaciekawienie. Znali juz takie udogodnienia jak zestaw do gotowania i do przygotowywania napojow. Widzac jak Hosteen i Logan korzystaja z lazienki, tubylcy sprobowali takze tego luksusu.

-To piekna rzecz - nadawal Kavok. - Dlaczego nie dla Norbisa - spojrzal pytajaco na osadnikow. Storm odgadl, ze chlopak probuje ocenic, ile towarow musialby zgromadzic, by kupic za nie dla swego plemienia takie чудо.

-To piekna rzecz, ale zobacz - Hosteen otworzyl kontrolna pokrywe kuchenki kryjaca splatany wzor przewodow. - Jesli to sie zepsuje, moze ktos w Galwadi zdola to naprawic, a moze nie. Niektore czesci trzeba by sprowadzac z innych swiatow. Wiec po co ci to?

Kavok pomyslal chwile i zgodzil sie:

-Po nic. Trzeba by wiele skor jorisow i frawnow za to dac?

-Tak. Quade, ojciec naszej krwi - wykonal gest okreslajacy wodza plemienia - ma duzo koni, wiele pieknych rzeczy z innych swiatow. Jest tak?

-Jest tak - zgodzil sie Shosonna.

-Ale Quade, ojciec naszej krwi, musialby popedzic do Portu wszystkie konie i polowe frawnow, zeby dostac taka rzecz. Rzecz, ktorej, gdyby sie zepsula, nie mozna by naprawic bez oddania jeszcze wiecej koni i frawnow.

-Wiec to nie jest dobra rzecz! - reakcja Kavoka byla szybka i zdecydowana. - Dlaczego jest tutaj?

-Przybysz, ktory szuka syna, nie przywykl do Wielkiej Suszy i sadzi, ze nie mozna tu przezyc bez takiej rzeczy.

-Jest jak dziecko o malym rozumie - skomentowal Kavok.

Baku stapal bokiem po krawedzi skrzyni, po czym rozlozyl nieco skrzydla i wydal gardlowy okrzyk. Surra byla juz przy drzwiach.

-Mamy towarzystwo - Hosteen wyciagnal emiter. Nie sadzil jednak, zeby chodzilo o

następny oddział tubylców. Baku ostrzegal o przybyszach z powietrza, wiec spodziewal sie smiglowca.

Nie przypuszczal, ze bedzie on tak wielki. Helikoptery, uzywane przez osadnikow bardzo oszczednie, mogly w najlepszym razie wziac na poklad trzech lub czterech stloczonych ludzi, niewielkie zapasy na wypadek awarii lub jakis cenny ladunek. Polyskujaca w swietle poranka maszyna byla kosztownym typem, jakiego Hosteen nie widzial na zadnej z pogranicznych planet. Nie docenil majatku i wplywow Widdersa. Sam transport smiglowca musial kosztowac krocie. Taka maszyna nietrudno bylo dostarczyc namiot i cale to wyposazenie.

Storm nie zdziwil sie zbyt, gdy ujrzal, ze po skladanej drabince schodzi Widders we wlasnej osobie. Przynajmniej zmienil swoj cudaczny stroj na wytrzymały kombinezon lotniczy. Wokol wydatnego brzucha przy pasany byl prawdziwy arsenal. Hosteen nie widzial czegos takiego od czasu, kiedy opuscil sluzbe.

-No, w koncu pan dotarl - przywital go kwasno Widders.

Rozejrzal sie dokola i rzucil z irytacja:

-A gdzie te konie, ktorych mielismy tak potrzebowac?

-W srodku - Hosteen skinal glowa w kierunku namiotu i ze zdziwieniem zobaczyl, ze twarz tamtego spurpurowiala.

-Zwierzeta...w moim... namiocie!

-Nie zamierzam tracic koni, zwlaszcza, gdy od nich zalezy nasze zycie - odparowal Ziemianin. - Nie skazalbym zreszta zadnego stworzenia na spedzenie dnia na sloncu w czasie Wielkiej Suszy! Panski pilot niech lepiej zaparkuje pod ta przewieszka, jesli zamierza pan zachowac smiglowiec. Nie zdazycie juz wrocic do schronu na nizynie...

-Nie zamierzam wracac na niziny - oswiadczył Widders. Rzeczywiscie tak uwazal. Hosteen zdal sobie sprawe, ze jedynym sposobem pozbycia sie go byloby wsadzenie go sila do smiglowca. I to natychmiast.

Jednodniowy pobyt w przepelnionym i cuchnacym stajnia namiocie moze sklonic jednak przybysza do ponownego rozważenia tej decyzji. Nie mialo zatem sensu tracic energii, skoro czas i otoczenie mogly byc argumentem. Storm podszedl do pilota, by powtorzyc mu swoje ostrzezenie, i czekal, az Widders sam wejdzie do namiotu.

Kiedy sie tam znalezi, Hosteen wyczul napiecie, chociaz nie dostrzegł zadnych wrogich gestow. Widders obrocil sie gwałtownie i Ziemianin stanal twarza w twarz ze slepa furia.

-Co znaczy ten... dom wariatow?

-Jest Wielka Susza. Za dnia można się albo ukryć, albo ugotować - dosłownie - Hosteen nie podniósł głosu, ale mówił dobitnie.

-Wśród skał można się usmażyć na śmierć. Chciał pan przewodników - tubylców. Proszę: oto Kavok, syn Krotaga, wodza plemienia Zamla za szczepu Shosonna, a oto Gorgol, wojownik z tego samego plemienia, i mój brat, Logan Quade. Nie znam nikogo, kto byłby lepszy przy wyprawie w Szczyty.

Na twarzy Widdersa odbijała się tocząca w nim walka. Pycha i zarozumiałość przybysza zostały zranione, zwyciężyła jednak świadomość zależności od Storma. Sytuacja była dla niego nieznosna, ale w tej chwili nie mógł nic na to poradzić. Musiał się z nią pogodzić.

Norbisowie i osadnicy rozkoszowali się chłodem klimatyzowanego namiotu, ale Hosteen w duchu zastanawiał się, czy wentylacja będzie działać sprawnie przy takim zageszczeniu wewnątrz. Prawdopodobnie Widders miał to, co najlepsze, ale projektant, który nie doświadczył Wielkiej Suszy na własnej skórze, nie mógł przewidzieć tutejszych warunków.

-Storm! - poderwał go nie znoszący sprzeciwu głos dobiegający z łózka, które kilka godzin wcześniej wybrał dla siebie Widders.

Hosteen usiadł, przeciągnął się i sięgnął po buty. On, Logan i pilot zajęli pozostałe łózka, Norbisowie ułożyli się na swoich derkach.

-O co chodzi? - zapytał bez większego zainteresowania. Spodziewał się narzekan, a zastanawiał się właśnie, co by pomyślał Krotag, gdyby trafił nagle na ich oboz. Byli tu zaledwie tolerowani i bardzo prawdopodobne, że teraz Shosonna zmusiłby ich do powrotu na niziny.

-Chcę się dowiedzieć, jak planuje pan nasze przedostanie się do Blekitnej.

Hosteen wstał. Gorgol i Kavok nie spali, przyglądając się to Ziemiańninowi, to Widdersowi. Chociaż nie rozumieli języka przybyszów, Storm wiedział, że potrafią zadziwiająco trafnie odgadywać temat rozmowy.

-Jak planuje? Szanowny Homo, w czasie takiej wyprawy nie da się stworzyć dokładnego harmonogramu. Sytuacja może się zmienić bardzo szybko. Na razie jesteśmy tutaj, ale nawet to, czy tu pozostaniemy, stoi pod znakiem zapytania.

Wyjaśnił pokrótce, czego mogą się obawiać ze strony Krotaga, nie kryjąc, że sam oboz może wzbudzić gniew tubylców.

-Tak więc, Szanowny Homo, jak zdecydowaliśmy wcześniej, musi pan wrócić na niziny.

-Nie.



Jasne i niedwuznaczne. Hosteen znow pomyslal, ze chociaz moglby wyrzucic obcego sila z obozu, nie rozkaze pilotowi, by odlecial i odwiozl Widdersa nad rzeke. Ten nie usluCHA polecenia. Z drugiej strony nie mogl po prostu umyc rak i wrocic samemu. Nie mogl zostawic Widdersa, bo ten spotkawszy tubylcow mogl wywolac klopoty, ktorzy tak chcieli uniknac Quade i Kelson, a Logan dla tego celu ryzykowal zyciem. Widders wyczul rozterke Hosteena i rzucil:

-No, dokad ruszamy, Storm?

Wzial male pudelko, jeden z wielu przedmiotow przyczepionych do jego niezwyklego pasa, i trzymajac je przed soba, nacisnal boczna dzwigienke.

Na scianie namiotu ukazala sie mapa regionu Szczytow zawierajaca wszystkie szczegoly znane osadnikom. Hosteen uslyszal swiergotliwy okrzyk Kavoka i spostrzegl, ze Gorgol przyglada sie liniom. Chlopak nauczyl sie czytania map w czasie pracy u Quade'a.

Czas byl czynnikiem decydujacy. Nawet gdyby Krotag mial ich przepedzic, zeby to zrobic, musi najpierw do nich dotrzec. Zwrocil sie do pilota.

-Jaka oslone ma smiglowiec? Czy da sie wystartowac przed zachodem slonca?

-Po co? - wtracil Widders. - Mamy szperacz.

Szperacz! Jak mu sie udalo go zdobyc? Z tego co wiedzial Hosteen, urzadzenie to bylo stosowane wylicznie przez wojsko. Sluzyl do wyszukiwania dowolnego obiektu na okreslonym obszarze i znacznie skracalo poszukiwania.

-Czy da sie wystartowac przed zachodem slonca? - nalegal Storm. Nie chodzilo mu o to, jak dlugo bede przeszukiwac nieznany obszar w poszukiwaniu rakiety ratunkowej, ale o to, kiedy ich oboz dostrzeze Krotag lub inni tubylcy.

-Mamy oslony dwunastego stopnia - nadeszla niechetna odpowiedz. Hosteen nie dziwil mu sie - lot w dwunastostopniowej oslonie byl bardzo trudny. Ale to jego problem, zawsze moze odmowic, niech to zalatwi z Widdersem.

-O co chodzi z tymi oslonami? - wtracil Widders.

Hosteen wyjasnil mu. Jezeli smiglowiec jest tak osloniety, ze pilot odwazylby sie wyleciec przed zmrokiem, mogliby ruszyc natychmiast, przed nadejsciem tubylcow. Widders chwycil sie tej szansy.

-Mozemy leciec teraz? - odwrocil sie do Forgee, pilota.

-My? - spytal Hosteen. - Czy pan tez zamierza leciec, Szanowny Homo?

-Owszem. - I znow ten. nieugiety sprzeciw wobec rozwazenia innej mozliwosci, wyrazony w kazdym rysie twarzy i w calej sylwetce.

Widders polozył rzutnik na pudle, podszedł i wskazał palcem punkt na mapie.

-Tutaj wasi zlokalizowali sygnal z rakiety.

Gorgol gramolil sie na nogi swiergocac cos przerazliwie. Zapomnial o mowie palcow i protestowal gwałtownie w ojczystym jezyku, ale po chwili, zdajac sobie sprawe z Ograniczenia przybyszy, zgial palce i wykonal serie gestow tak szybkich, ze Hosteen z trudem je odczytal.

-Ten przybysz chce isc tam? To nie dla obcych... to czary, czary tych, ktorzy jedza MIESO... Tego nie mozna zrobic!

-Co on mowi?

-Ze to terytorium jest zamieszkane przez kanibali i bardzo niebezpieczne... - Hosteen byl pewien, ze Gorgol bal sie czegos jeszcze.

-Wiedzielismy o tym juz wczesniej - pogardliwie rzucil Widders. - Czy ludozercy straca smiglowiec swoimi strzalami?

Forgee poruszył sie.

-Niech pan poslucha, Szanowny Homo. Ta Blekitna to zdradliwy obszar. Nie zbadano tamtejszych pradow powietrznych. A to, co wiemy o nich, wystarczy, zeby czlowiek dwa razy pomyslal, zanim sie tam wybierze.

-Mamy wszelkie zabezpieczenia, jakie dotychczas wymyslono - wybuchnal Widders - lacznie z kilkoma, o ktorych w tym waszym grajdole nawet nie slyszano. Jazda - wyruszamy. Sami zobaczymy, jaka jest Blekitna.

Kavok przykucnal w drzwiach z nagim nozem w dloni. Jego jawna wrogosc zaskoczyla Hosteena.

-Co? - gest ziemianina byl skierowany do Gorgola.

Norbis odparl powoli, jak ktos zapedzony w uliczke bez wyjscia.

-Magia... wielka magia. Przybysz nie moze tam isc. Jesli sprobuje, umrze.

-To jest odpowiedz, - Logan po raz pierwszy wlaczył sie do rozmowy. - Gorgol mowi, ze to kraina magii - nie mozna nad nia leciec.

Widders z jawna pogarda zmierzyl Logana wzrokiem, taksujac jego stroj Norbisa. Pod tym

spojrzeniem twarz Logana splonęła gniewnym rumieńcem, ruszył naprzód i stanął obok Kavoka z ręką na kolbie emitera.

-To prawda - przemówił ostrożnie Hosteen, zdając sobie sprawę z tego, że jest jak cienka, niepewna ściana między dwoma wściekłymi jorisami.

-Nie można dyskutować z magią. Jeżeli Norbisowie twierdzą, że obszar jest niedostępny z tego powodu, musimy się zatrzymać.

Był świadomy determinacji i pewności siebie Widdersa, ale nie doceniał go, jako człowieka czynu. Przybysz nie sygnalizował po emiter, ten ruch by ich ostrzegł. Zamiast tego, rzucił na podłogę pomiędzy Hosteena i Gorgola a dwóch strzegących drzwi małą kulke. Błysnęło światło, a potem zapadła nicosc, zupełna nicosc.

## Rozdział 7

-... Okręgowa Stacja Szczyty... odezwij się... OS Szczyty... odbior! Rozpaczliwy ton nawoływania dotarł do Hosteena przez gesta wate wypełniająca jego głowę. Policzki miał mokre - poczuł liznięcie szorstkiego języka. Otworzył oczy i zobaczył Surre, która była przy nim i usiłowała swoim sposobem przywrócić mu przytomność.

Gorgol i Kavok siedzieli na podłodze z łokciami wspartymi na kolanach, obejmując rękami głowy. Za nimi, na krzesle, Logan jedną rękę przyciskał do czoła, a w drugiej trzymał mikrofon komu. Z trudem, niemal jęcząc, łapał oddech, ale nie przestawał wołać:

-OS Szczyty... odezwij się!

Hosteen usiadł z trudem i poczuł nagle, jak rozszarpany do czerwoności sztylet przeszywa mu czaszkę. Pulsujący ból niemal go powalił. Ogluszono go kiedyś promieniami emitera, ale skutków tamtego nie można było w żaden sposób przyrównać do obecnych cierpień. Nie było mowy o powstaniu, ale udało mu się podczołgać do stołu.

-Co... ty... robisz?

Wypowiedzenie tych kilku słów wywołało taki atak bólu, że Hosteen dziwił się, jakim cudem Logan może tak wytrwale nadawać. Chłopiec spojrzał w dół, jego twarz wyrażała cierpienie.

-Widders odleciał... smigłowcem... kłopoty... - ręka Logana chwyciła brzeg stołu tak mocno, że jej kostki pobielały.

Hosteen przypomniał sobie, co zaszło, i wróciła mu jasność umysłu. Widders ogłuszył ich jedną ze swoich "zabawek" i odleciał smigłowcem ku zamkniętemu terytorium. Norbisowie mogą się poczuć, i prawdopodobnie poczują się, znieważeni tym, że ktoś naruszył ich prawa i będą się mścić. A osadnicy tacy jak Dumaroy odpowiedzą im pięknym za nadobne

nie próbując nawet negocjować. To może wzniecić wojnę, po której z Arzoru nie zostanie więcej niż z Ziemi po napadzie Xikow.

Storm ruszył z powrotem, gryząc wargi. Udalo mu się dotrzeć do Gorgola. Norbis zacisnął oczy, czoło miał zroszone potem. Widac było, że cierpi tak jak Hosteen, jeśli nie bardziej.

Nie miał jednak czasu na współczucie. Tak delikatnie, jak umiał, dotknął reki chłopca. Gorgol wydał jakiś gwizdzący dźwięk i otworzył oczy. Spojrzał na Ziemię nie odważając się poruszyć głową.

Hosteen kucając złapał równowagę na tyle, że mógł użyć rąk do rozmowy.

-Obcy zniknął. Musimy...

Nie zdążył skończyć. Gorgol kiwnął się do tyłu, uderzył głową o ścianę namiotu, wydał stłumiony okrzyk i zasygnalizował:

-On zrobił źle... bardzo źle... a my na to pozwoliliśmy. Będzie smutno...

-Ja zrobiłem źle - odparł Hosteen. - Bo to ja wysłuchałem jego opowieści i przywiodłem go tutaj... chociaż nie wiedziałem, że tu przyleci. Ty nie ponosisz winy... Nikt z nas nie wiedział, że on zaatakuje...

-Leci na rzeczy z nieba do kraju magii. Ci-Ktorzy-Ciskaja-Pioruny i wypuszczają strzały błyskawic, zaplona gniewem. To nie jest dobre... źle, źle! - poruszając palcami Gorgol zaczął lamentować w swoim niezrozumiałym języku.

Kavok otworzył oczy. Prychnął nienawistnie, całkiem jak Surra. Nagle Gorgolowi przerwał głos - słowa, wypowiedziane poprawnym językiem galaktycznym, wydobywały się z mikrofonu trzymanego przez Logana.

-TRI wzywa oboz bazy - nuta pychy w tym głosie doprowadziła Hosteena niemal do wrzenia.

-TRI wzywa oboz bazy...

Pokonał jakos, walcząc ze słabością, przestrzeni między ścianą a stołem i wyrwał bratu mikrofon.

-Widders!

-No! więc jesteś! - rozbawienie brzmiące w głosie Widdersa nie wpłynęło uspokajająco na Storma. Przez chwilę walczył z sobą, wreszcie opanował się na tyle, aby zapytać:

-Jesteś już w Blekitnej, Widders?

-Lecimy prosto w punkt. Jak tam glowa, Storm? Powiedzialem, ze zrobie to sam... potrafie dbac o swoje sprawy...

-Widders... posluchaj, czlowieku... Zawracaj... Zawroc natychmiast!

Mowil, nie bardzo wierzac w skutecznosc swych slow. Liczyl jednak na rozsadek pilota. Forgee byl dosc dlugo na Arzorze i przeszedl dostateczne szkolenie w Sekcji Badawczej, by rozumiec niebezpieczenstwo zwiazane z ta eskapada.

-Forgee, nie badz glupcem! Wracaj natychmiast. Zniewazacie swietosc, i to niejednego plemienia- wszystkich szczepow! Wracaj, zanim was zauwaza. Za taki numer mozesz zostac banita...

-O rany, Storm, ten kac musi byc potezny - Widders zaczal swobodnie, ale po chwili jego glos zabrzmial ostro. - Tubylcy nawet nas nie dostrzega, jestesmy ekranowani. I lecimy do wyznaczonego punktu. Nikt, nikt, Storm nie bedzie mi mowil, co moze, a czego nie, jesli chodzi o zycie mojego syna. Bedziemy was informowac. Koniec kontaktu.

Rozlegl sie trzask wylaczanego nadajnika. Hosteen odlozyl mikrofon. Spojrzal na sciagnieta, blada pod opalenizna, twarz Logana.

-Leci prosto do celu...

Gorgol wstal chwiejnie, jedna reka wspierajac sie o sciane namiotu. Druga nadal:

-Krotag... jedziemy do Krotaga...

-Nie! - rzucil Hosteen i ujrzal, jak rysy Gorgola sztywnieja.

Wskazal na mikrofon.

-Wezwiemy Oficera Pokoju. On sprowadzi prawo...

-Prawo przybyszy! - cale cialo Gorgola wyrazalo pogarde.

Logan odepchnal sie od stolu i stanal, chwiejajac sie, ale juz sie nie podpieral i przemowil obiema rekami. Stroj Norbisa nie wygladal dziwnie na gestykulujacym chlopcu, a lagodne ruchy pasowaly do ceremonialnego stylu przemowy.

-Ostatniej pory deszczowej czlowiek imieniem Hadzag zakradl sie do stad Quade'a. Nie poprosil o prawo do polowania, ktore by przeciez otrzymal, jak to jest w zwyczaju. Ale on przyszedl potajemnie, bez slowa, zabil i zabral tylko skory. Zawiozl je potem do Portu i chcial tam zamienic na przedmioty, ktore, jak sadzil, wywyzszylyby go wsrod ludzi Zamla. Czy nie bylo to hanba dla calego plemienia? I czy wtedy Quade'owie przybyli, by postawic Hadzaga przed sadem i prawem przybyszow? Nie - nie stalo sie tak. Quade wyslal mnie do

Krotaga, aby zaprosić go na rozmowę wodzów. I Krotag rzekł: niech się tak stanie. Wtedy ty, Kavoku, i ja pojechalismy powiedzieć o tym Quade'owi, co było słuszne i właściwe, bo obaj jesteśmy synami wodzów. Potem przybyli Quade i Krotag i usiedli razem. Quade powiedział, co się wydarzyło, a kiedy skończył, odjechał zostawiając Hadzaga sprawiedliwości Krotaga i nigdy potem nie spytał, jaka kara mu wymierzono - bo tak być powinno między wodzami. Czy nie jest tak?

-Jest tak - przyznali obaj Norbisowie.

-Możecie powiedzieć, że zło wyrządzone przez przybysza jest większe niż występki, który popełnił Hadzag. I macie rację. Ale nie myślicie chyba, że my tego nie widzimy. Czy ten człowiek bez tego nie powalił także i nas dlatego, że wiedział, iż powstrzymalibyśmy go siłą? Oficer Pokoju postąpi z nim zgodnie z prawem, bo to, co zrobił, jest ciężkim przestępstwem, krzywdzącym tak samo osadników, jak Norbisów.

-To prawda - zgodził się Gorgol. - Ale musimy powiadomić Krotaga. To on pozwolił wam tu wejść i on będzie odpowiadał przed innymi za zło.

-Zgoda - powiedział Hosteen. - Niech jeden z was wyruszy do Krotaga, a my zostaniemy tutaj i będziemy próbować wezwać Oficera Pokoju...

-I przysięgacie na krew, że będziecie tu czekać? - Gorgol spoglądał to na Hosteena, to na Logana. - Tak, wy nie jesteście ludźmi, którzy dają słowo, a potem je łamią. Jade, niech Kavok zostanie na wypadek, gdyby nadeszli wojownicy z innych plemion.

Kiedy Gorgol wyruszył, zaczęli na zmianę dyżurować przy komie. Ale jedyną odpowiedzią na ich nawoływania była cisza. Wezwania Hosteena nie spotkały się też z odzewem ze smigłowca. Ziemią zastanawiał się, jak daleko zapuszcza się przybysze, zanim będą musieli zawrócić w ucieczkę przed upalem, ale niewiele wymyślił.

-Moga wylądować i ukryć się gdzieś tam - zauważył Logan.

-Głupiec zostaje głupcem, tak myślisz? To terytorium ludozerców. Widders wie o tym...

-Widders nie należy do tych, którzy się boją tubylców - zaproponował Logan. - Jest uzbrojony po zęby. Nie zdziwiłbym się, gdyby przesznuł nawet rozpylacz. Myśli, że nie dadzą mu rady.

Miał całkowitą rację. Widders mógł się uważać za niepokonanego, skoro jego nowoczesnym urządzeniom tubylcy mogli przeciwstawić tylko swoją prymitywną broń. Ale, jak większość madrali z innych planet, nie doceniał Norbisów sądząc, że technika pokona tych, którzy panowali nad przyrodą Arzoru.

Ich uszy przeszył nagły świst. Zerwali się, Hosteen wyszedł na zewnątrz. Baku ani Surra nie ostrzegły go, co znaczyło, że przybywał ktoś znany. Był zły na siebie, że nie rozkazał

zwierzetom sygnalizowac kazdego przybysza.

Rozpoznał Krotaga na czele oddziału wojowników dopiero wtedy, gdy grupa wyszła z cienia na otwartą przestrzeń. Ziemianin zatrzymał się w snopie światła padającym z drzwi, nie podchodząc do wodza. Musi czekać na decyzję. Nie pora na przeprosiny czy wyjaśnienia. Krotag na pewno zna całą historię z ust Gorgola. Musiał już tu jechać, bo od wyjazdu posłanca nie minęło dużo czasu. Co teraz zrobi, zależało od niego i, zgodnie ze zwyczajem, Hosteen musiał czekać na werdykt.

Cofnął się o krok, odsłaniając wodzowi wejście do namiotu. Przepuścił też idącą za Krotagiem wysoką postać. W przeciwieństwie do wojowników, ten tubylec nie nosił broni ani ochronnego kolnierza z zębów jorisa. Jego kosciste ciało okrywała tunika z białych i czarnych pior wplecionych w sieć utkana z frawniej sierści. Oprócz tego miał na sobie krotki, sięgający kolan płaszcz, utkany również z pior, ale o jaskrawej, żółtozielonej barwie. Jego rogi pomalowane były na czarno. Czarne, szerokie obwódki otaczały też głęboko osadzone oczy, co powodowało, że twarz przypominała czaszkę. Z szyi, na białym sznurze zwisał mały, czarny bebenek.

-Widzę ciebie, który nosi imię Krotaga - zasygnalizował formule powitalną Storm.

-Widzę cie... przybyszu...

Mало zachęcające, ale musiał się zadowolić takim przywitaniem. Hosteen spojrzał na Bebniacego.

-Widzę też tego, który potrafi wzywać białe strzały z nieba - ciągnął, - Czy on też nosi jakieś imię?

Zapadła cisza, słychać było tylko parskanie koni na zewnątrz. Rece Bebniacego uniosły się ku górze, podczas gdy oczy w czarnych obwódkach wpatrywały się w Hosteena.

Niezupełnie świadomy tego, co robi, Ziemianin podniósł rece i wyciągnął je przed siebie, aż dłonie dotknęły dłoni. Stali tak złączeni, Hosteen i norbiski czarownik. Raz w życiu Indianin czuł taką siłę, nieludzką i nie dającą się kontrolować, która go wypełniała i kierowała nim. Ta siła spowodowała, że wyprowadził jenców z obozu Nitra. Ale wtedy świadomie wezwał tajemne siły swojego ludu. A teraz...

Z jego ust popłynęły słowa, słowa, których Bebniacy nie mogli zrozumieć. A może mogli?

Mam piosenkę i mam ofiarę

Krocze w Błękitnym Gromie

Po Szlaku Teczy

Bo złożyłem ofiarę

Wielkiemu Wezowi i Blekitnemu Gromowi

Biały deszcz pada. wokół mnie

I wszystko znów stanie się dobre!

Strzępy, fragmenty wygrzebane z głębin pamięci przez jakąś moc, być może moc Bebniacego. Nie była to prawdziwa Piosna, bo Hosteen nie był Śpiewakiem, a jednak jej słowa zbudziły moc tkwiącą w jego ciele, a może umyśle.

Zamrugnął. Falujący przed oczami labirynt kolorów zniknął. Stał przed obcą twarzą o oczach czaszki. Przez krótką chwilę widział w nich błysk wiary, uczucia albo myśli, czegoś co łączyło się z jego własnym przeżyciem. Ale błysk zniknął i Storm był znów tylko Ziemiakiem, złączonym dłońmi z norbiskim czarownikiem. Rece tamtego cofnęły się.

-Imię tego brzmi Ukurti. Ty również potrafisz przyzywać chmury, młodszemu bracie.

-Nie jest tak - zaprzeczył Hosteen. - Ale dawno temu, na moim świecie, ojciec mojego ojca był kimś takim. Być może, odchodząc przekazał mi jakąś część...

Ukurti skinął głową.

-Tak być powinno. Obowiązkiem nas, którzy mają siłę, jest przekazać ją tym, którzy będą potrafili użyć jej dobrze w swoim czasie. Ale teraz są inne sprawy - ten, który na wietrze pomknął do krainy magii, łamiąc prawa twojego i mojego ludu. To też część twojego obowiązku.

Hosteen pochylił głowę.

-Przyjmuje ten obowiązek, bo częściowo moim dziełem jest to, że przybył tutaj. Jego zły i nieroztropny czyn jest jak mój własny.

-Ten, który wszedł... nie powróci. - Krotag gestykulował z emfazą, ale patrzył na Hosteena z mieszaniną podziwu i irytacji.

-Nie my decydujemy - sprostował Ukurti. - Jeśli go odnajdziesz, ty, młodszemu bracie, musisz się nim zająć - to ci zlecamy.

-Przyjmuje to.

Trzask dobiegł z mikrofonu leżącego przed Loganem. Chłopak podniósł go szybko do ust.

-Odbiór!



-TRI wzywa oboz bazowy...

Hosteen rzucil sie do Logana i wyrwal mikrofon.

-Tu Storm... odezwij sie, TRI.

-... znalazlem rakiete. Zнизam lot, zeby sie przyjrzec... na zboczu gory.

Zaklocenia utrudnialy zrozumienie slow.

Hosteen dal znak Loganowi, a ten wlaczyl lokalizer. Jesli Widders bedzie dalej mowil, ustala obecne polozenie smiglowca.

-To na pewno rakietka... Schodzimy!

-Widders, Widders, zaczekaj!

Wiedzial, ze i tak nie beda zwazac na jego protesty. Palce Logana przekazywaly informacje Norbisom.

-Wiec znalazl, czego szukal - powiedzial Bebniacy. - Moze jednak jego wyprawa zyska laske Mieszkancow. Poczekamy, zobaczymy...

Hosteen przywarl do mikrofonu ponawiajac co jakis czas wezwanie - bez rezultatu. Wreszcie nadeszla odpowiedz. Slyszalnosc byla doskonala.

-Zamierzamy poszukac jakichs sladow zycia. Forgee! Forgee!

Glos wzniosl sie nagle, jak dzwiek norbiskiej piszczalki, a zdziwienie brzmiace w nim zmienilo sie w przerazenie.

-Nie! Ogien... ogien z gory! Forgee... zblizaja sie! Storm! Storm!

-Jestem! - Hosteen usilowal zgadnac, co tam sie dzieje.

-Strzelaj do nich, Forgee! Dostal!

-Widders! Jestescie atakowani?

-Storm... nie mozemy ich powstrzymac... ogien jest zbyt blisko. Musimy uciekac... przeczekamy w jaskini...

-Co przeczekacie?

Nie bylo odpowiedzi.

-Przemowili Ci-Ktorzy-Ciskaja-Pioruny - zasygnalizowal

Krotag. - Oto koniec zle czyniacego.

-Nie. Moze oni zyja - zaprotestowal Hosteen. - Nie mozna ich tak zostawic!

-Tak postanowiono - odpowiedz Krotaga wygladala na ostateczna.

-Powiedziales, ze to moj obowiazek - Storm zwrocil sie do Ukurtiego. - Nie moge go zostawic nie wiedzac, co sie z nim stalo. I znowu znalezi sie poza czasem i przestrzenia, w jakiej pustce, w ktorej byli tylko oni - czarownik i Ziemianin - polaczeni jakas niewytlumaczalna wiezia.

-Powiedziales prawde. To twój obowiazek, nie zostales od niego uwolniony. Przybysze nie mieli prawa uczestniczyc w tym, co dzieje sie w Blekitnej, i zostali ukarani. Ale to nie koniec. Oto twoja droga - idz nia bez przeszkod.

Jesli moj brat pojdzie ta droga, pojde z nim - mignely rece Logana.

Niesamowite oczy Ukurtiego odwrocily sie ku chlopcu.

-Slusnie jest, aby brat wspieral brata, gdy strzaly wojenne napinaja cieciwe. Jesli taki jest twój wybor, niech droga ta bedzie takze twoja. Nikt oprócz Mieszkancow nie moze ci tego zabronic.

-Czy to mowa bebna? - Krotag spytal uzywajac jezyka gestow.

-Tak. To mowa bebna. Niech jada i dopelnia swego obowiazku. Nikt nie zna swej przyszlej drogi. Trzeba ja przebyc.

Jego palce wybily krotki rytm na bebenku, a Hosteen poczul ciarki wedrujace wzdluz kregoslupa.

Z mroku panujacego na zewnatrz namiotu wychynela Surra niemal pelzajac po ziemi z uszami polozonymi po sobie. Za ma pojawil sie Baku ktory trzaskal wsciekle dziobem, i wreszcie Gorgol, kroczac jak lunatyk z szeroko otwartymi, niewidzacymi oczami. Bebniacy uderzyl raz jeszcze i czar prysnal.

-Idzcie. Zostaliscie wybrani i wezwani. Na was spoczywa brzemie.

-Na nas spoczywa brzemie - odpowiedzial w imieniu calej grupy Hosteen.

## Rozdzial 8

-Czy to sen? - pytanie Logana nie bylo chyba skierowane do wynedznialych, zdrozonych towarzyszy, ale do otaczajacego ich swiata. Po tym, jak przedarli sie przez platanine

wawozow i skalistych sciezek - na piechote, bo droga nie nadawala sie do jazdy konnej - trudno im bylo uwierzyc w prawdziwosc tego, co zobaczyli. Teren przed nimi opadal lagodnym stokiem, rozszerzajac sie stopniowo tak, ze przez bujna, zoltozielona roslinnosc nie bylo widac gor ograniczajacych doline od zachodu. Nie dostrzegali tez zadnych sladow Wielkiej Suszy, a w oddali polyskiwala tafla wody - nie widzieli stad, czy to jezioro, czy zakole rzeki.

Gorgol uniosl sie na lokciach i z niepokojem lustrowal okolice. Hosteen usiadl, opierajac sie plecami o skalna sciane, nadal goraca, chociaz zapadal juz zmierzch. Trzy, cztery... piec dni spedzili w ukryciu, podrozujac nocami, zanim dotarli do skraju Blekitnej.

Ostatnia noc przezyli tylko dzieki Gorgolowi. Nie mieli juz wody i Norbis na czworakach przeschluzal okolice, doslownie wywachujac slad. Wreszcie znalazl w ziemi zaglebienie, ktore rozkopal, wcisnal wien jednym koncem kawalek trzciny obwiazanej sucha trawa i zaczal z calej sily ssac jej drugi koniec. Po pol godzinie tej morderczej pracy z trzciny poplynela woda, ktorej nikt poza nim sie tu nie spodziewal.

Surra zaskomlala i tracila nosem Hosteena. Rozdetymi nozdrzami wdychala zapachy plynace tu z rozciagajacej sie przed nimi oazy. Dla niej nie byla to z pewnoscia halucynacja, a Storm wierzył bardziej jej zmyslom niz swoim wlasnym. Gorgol rozsoplal niewielka wieszaca u pasa sakiewke i wyciagnal przedmiot przypominajacy ksztaltem olowek. Przycisnal go do opuszki palca, pozostawiajac na niej plamke polyskujacej zieleni. Potem zaczal kreslic nim na zapadnietych policzkach dziwaczne, krzyzujace sie linie, az jego twarz stala sie swiecaca maska. Potem podal kredke Ziemianinowi.

-Idziemy w pokoju, wiec musimy to zrobic...

-Dla dzikich?

-Nie. Na nich musimy dalej uwazac. To jest znak pokoju, ktory widza Ci-Ktorzy-Ciskaja-Pioruny.

Hosteen wzial sztyft i pokryl wlasna twarz siatka linii, po czym przekazal go Loganowi. Kazda rasa ma swoje tradycje; sadzil, ze tym razem dobrze bedzie pojsc za rada Gorgola. Skora pod barwnikiem troche piekla i mial uczucie, ze zrobila sie sciagnieta i twarda.

Chociaz nosili pokojowe barwy, weszli w doline zachowujac ostroznosc. Widac, pomimo drzewcow pokoju rozeslanych pomiedzy odwiecznymi wrogami, Gorgol nie dowierzal dzikim plemionom ludozercow, na ktorych terenach znalezli sie teraz.

Baku pofrunal ku wodzie, a Surra pomknela w dol zbocza, niktac w srod roslinnosci. Hosteen orientowal sie w jej ruchach tylko wtedy, gdy nawiazywala z nim kontakt psychiczny. Byla czujna i ostrozna, ale nie odkryla niczego podejrzanego. Poszli za nia starajac sie pozostac w ukryciu.

Jezeli dolina byla zamieszkała, to z cala pewnoscia tubylcow mozna bylo spotkac w okolicy wody. Ale to nie moglo powstrzymac wedrowcow. Im samym woda byla bardzo potrzebna. Gorace powietrze draznilo spieczone ciala.

Hosteen spostrzegl, ze Gorgol lamie lodygi wysokich traw, rozciera je w dloniach i przezuwa te mase, a potem wypluwa. Sprobował go nasladowac. Okazalo sie, ze cierpki sok roslin lagodzi pragnienie.

Idac rozgladali sie, probujac odgadnac, na ktorej z otaczajacych gor tkwila odnaleziona przez Widdersa rakietą. Nadawal z tej okolicy, ale wrak musieli odszukac sami.

Nagle Hosteen zeszywnial. Podniosl dlon, by zatrzymac towarzyszy. Surra ostrzegala: pomiedzy nimi a woda znajdowali sie obcy tubylcy. Trzech mezczyzn przypadlo do ziemi. Teraz Storm zalowal, ze nalozyli te blyszczaca farbe - mogla ich zdradzic.

Na razie jednak nikt nie domyslal sie ich obecności. Surra sledzila obcych, ktorzy posuwali sie na poludnie. Hosteen nawiazal lacznosc z Baku, wiedzial, ze potem orzel przejmie role obserwatora.

Otaczaly go dzwieki nocy. Stworzenia zamieszkujace wysokie trawy nie schowaly sie jeszcze przed susza i wokol rozbrzmiewaly ich popiskiwanie i swiergoty. Lezal na ziemi, calym soba odbierajac kazdy odglos, szum traw i krzewow. Znow rozpoczel stara gre znana mu doskonale z czasu wojny, gdy oczy, nosy i wszystkie zmysly, czulsze niz jego wlasne, tworzyly oddzial zwiadowczy, ktorego byl dowodca.

Tubylcy oddalili sie i droga do wody stala otworem. Na sygnal Hosteena zaczeli ostroznie posuwac sie unikajac odkrytej przestrzeni ku jezioru - od Baku uzyskal informacje, ze woda byla wlasnie jeziorem.

Dotarli do trzciny, gdzie musieli zniesc w milczeniu prawdziwe tortury, gdy opadl ich roj gryzacych owadow. Ale bylo warto scierpiec to i powolna droge przez mul i zarosla, by zanurzac dlonie w cieplej wodzie o dziwnym smaku i zapachu.

Odswiezywszy sie, wyciagneli tabletki podtrzymujace.

-Musimy znalezc te gore - stwierdzil Logan.

-Jest tam - ku zdziwieniu Gorgol pewnym ruchem wskazal na polnoc. - Magia i ogien.

Nie wyjasnil znaczenia tych slow.

Hosteen przypomniał sobie noc, kiedy stojac na podworzu rancza ujrzał potezny blysk na polnocy, ktoremu towarzyszyła dziwna wibracja. Wydawalo sie, ze bylo to wieki temu, ale poczul, ze nie ma ochoty zblizac sie do gory wskazanej przez Gorgola.

Napelnili manierki i ruszyli wzdłuż jeziora. Baku zniknął gdzieś na czarnym niebie, a Surra zygzakiem biegła przed nimi.

Jeszcze dwukrotnie musieli ukryć się przed oddziałami Norbisów. Wreszcie, nad ranem, zaczęli się piąć w górę. Szczyt był tak wielki, że przysłał gwiazdy.

Ich uszu dobiegł dźwięk, stłumione uderzenia przechodzące w coraz głośniejszy warkot. Bebnny! Bebnny o tej samej, nieodpartej sile, co bebenek Ukurtiego, ale o niepomiernie większym zasięgu. Logan zrownał się z Hosteenem.

-Wioska... - unosił głos, by być słyszany.

"Na wschodzie" - pomyślał Storm.

Sądził, że odbywają się tam jakieś obrzędy, które - miał nadzieję - ściągają uwagę tubylców, a przez to dadzą im możliwość wykorzystania cennych godzin ciemności.

Surra znalazła smigłowiec i wezwwała ich na bardziej płaskie, wypalone pole, na którym leżał zniekształcony i nadpalony wrak. Nieopodal znaleźli zmaltretowane ciało pilota ze strzała wciąż tkwiącą między łopatkami.

-Do świtu zostało niewiele czasu. Widders mówił o jakiejś jaskini. Rozdzielimy się i poszukamy jej - powiedział Hosteen.

Wraz z Surra zaczął piąć się w górę zbocza. W tamtą stronę ciągnął się pas wypalonych roślinności. Jego regularność była zastanawiająca - zupełnie jakby użyto tu miotacza ognia... Xikowie? Jeszcze jedna grupa pragnęła przetrwać w tym odległym i niedostępnym zakątku, jak tamta, na którą niegdyś trafili z Loganem? Kiedy Logan wydostał się z ich niewoli, nie wahali się użyć miotacza ognia, wybijając do nogi własne konie w nadziei, że w ten sposób zlikwidują człowieka, który mógł ujawnić ich działalność. Tak, mogło tu się ukryć jeszcze jedno komando Xików.

Wypalony pas skończył się gwałtownie. Tutaj czarna ziemia i spopielone rośliny, a już metr dalej trawa i wysokie krzewy chwiejące się lekko w wietrzyku przedświt. Czy w takim razie płomień buchał spod ziemi? Ale idąc od smigłowca nie trafił na nic, co mogłoby być źródłem ognia. Jeżeli nie miotacz ognia, to co? Hosteen przeszedł wzdłuż krzaków poszukując jakiegoś otworu i zastanawiając się nad zagadkowym ogniem.

Przerazliwy błysk smagnął ziemię kilka kroków przed nim. Odskokzył do tyłu, gdy krzaki zapłonęły jak pochodnie. Drugie uderzenie ognia - i Hosteen rzucił się na południowy wschód czując, że płomień lizę mu stopy. Nigdy czegoś takiego nie widział, ale uciekając przed czerwonymi językami ognia utwierdzał się w przekonaniu, że działały one celowo, a ten cel przejął go nagłym mroźnym dreszczem pomimo żaru bijącego w plecy - zaganiali go! Ktoś lub coś używało ognistego bicia, by pokierować jego ruchami tak, jak poganiacz pejczem zagania uciekiniera z powrotem do stada frawnow.

Potyając się biegiem naprzód. Ziemia była teraz dobrze oświetlona i wybierał drogę, starając się nie upaść, co wydaloby go na żar płomieni. Ujrzał przed sobą row. Rzucił się przez niego rozpaczliwym skokiem i dysząc upadł na drugim brzegu. Miał właśnie się podnieść, gdy tuż przy jego prawej ręce ze świstem wbila się w ziemię strzala.

Hosteen przykucnął, podciągając pod siebie nogi, gotów rzucić się do ucieczki, gdy nadarzy się okazja. Wokół niego zamknął się pierscien nie ognia, lecz tubylców. W przeciwieństwie do Norbisów z nizin byli niscy, zbliżeni wzrostem do Ziemiaków. Rogi mieli czarne. Również czarne były wzory wymalowane na twarzach. Nie była to bezładna platanina linii, jak u Gorgola, lecz staranny i tajemniczy rysunek.

Jeśli przez kilka sekund miał szansę obrony czy ucieczki, to teraz ją stracił. Wirując spadła na niego jedna z najbardziej skutecznych broni tubylców: sieć z mocnych, podwodnych korzeni rośliny yassa. Sieć tę mociono w wodzie tak długo, aż robiła się śliska i gładka. Nawet joris w nią uwikłany był zupełnie bezbronny, dokładnie tak, jak teraz Hosteen Storm.

Bezlitosnie skrepowanego przeniesiono go do wioski w dole stoku. Nie przypominała ona widzianych na nizinach zbiorowisk krytych skórą namiotów, charakterystycznych dla koczowniczych plemion Norbisów. Ta składała się z trwałych budowli o ścianach z ciężkich bali splecionych na wysokość barków i zwieńczonych szpiczastymi dachami z uplecionej trzciny i pnaczy.

Z mroku wylonil się Bebniaćy, czarownik w tunice i płaszczu z pior w kolorze metalicznej zieleni. Tunika na piersiach ozdobiona była czerwonym zygzakiem. Również beben, w który uderzał prowadząc procesję z więźniem przez wieś, był czerwony... Wzdłuż drogi zatknieto pochodnie płonące dziwnym, bładoniebieskim światłem. Nagle Storma pchnieto gwałtownie i znalazł się na ubitej podłodze chaty o pochyłym dachu.

Chaty czy raczej świątyni? Rozejrzył się dookoła. Nie widac było żadnych legowisk, a posrodku wielkiego pokoju, w zagłębieniu, płonął ogień o tej samej, dziwnej barwie. Pomiedzy potężnymi, drewnianymi słupami wspierającymi dach rozpięte były liny, z których zwisały jakies pomarszczone przedmioty i kuliste...

Dom Gromów! To były trofea wojenne: głowy i ręce wrogów! Hosteen słyszał o tym obyczaju popularnym wśród plemion Nitra. Ale ten dom był większy, starszy, o wiele trwalszy od jakiegokolwiek namiotu czarownika Nitra. Ziemiaków usiłował sobie przypomnieć wszystko, co kiedyś słyszał o Nitra i dopasować to jakos do tego, co widział.

Wojownicy, którzy go przyprowadzili, usadowiali się właśnie wokół ognia i podawali jeden drugiemu naczynie, które pewnie zawierało łagodnie oszłamiający sok z clava. Wyglądało na to, że zamierzają tu pozostać.

Bebniaćy zajął miejsce w północnym krancu, przez cały czas wybijając cichy, warczący rytm. Było to zgodne ze zwyczajem plemion, które znał: północne miejsce dla tego, kto

bebni dla Ciskajacych Pioruny, poludniowe - jeszcze nie zajete - dla wodza wioski lub plemienia.

Hosteen zamknal oczy, wytezyl umysl i wole, ale bez rezultatu. Ani sladu Surry czy Baku. Nie byl nigdy w stanie okreslic, jaki jest zasieg ich telepatycznej wiezi. Ale ta cisza byla przerazajaca. Czlowiek nawykly do wspierania sie na lasce bez niej jest bezradny.

Ziemianin przelknal sline tak, jakby mogl przez to przelknac rosnacy niepokoj. Czy przez te lata tak sie zwiazal i uzaleznil od swojej druzyny, ze bez niej byl kaleka? Mysl ta ubodla go tak mocno, ze przestal zwracac uwage na otoczenie. Dopiero poruszenie przy drzwiach spowodowalo, ze otworzyl oczy i, na tyle, na ile pozwalaly mu wiezy, odwrocil glowe.

Kolejny oddzial wprowadzil drugiego wieznia. Bebniacy wybijal teraz mocny rytm przepelniony triumfem. Po chwili zwiazanego, choc nadal walczacego jenca cisnieto obok Hosteena i przywiazano do tego samego slupa.

-Hosteen!

Pod fosforyzujaca farba z trudem rozpozna rysy Logana.

-To ja. Gdzie Gorgol?

-Nie widzialem go, odkad sie rozdzielilismy. Potem ten ogien. Zaczalem wiac i wpadlem prosto w siec - rozciagneli ja pomiedzy drzewami.

Organizacja. To trzeba im bylo przyznac. Ciekawe, czy nie maja tu gdzies Widdersa. Po co ta ogniowa pulapka? Tylko po to, zeby zlapac wszystkich, ktorzy chcieli dostac sie na gore?

-Jeszcze jedno - Logan przerwal jego rozwazania. - Widzialem ja.

-Ja?

-No... rakieta. To musiala byc rakietka. I z tego, co zdazylem zobaczyc, nie rozbila sie przy ladowaniu.

-Ale nie przyjrzales sie jej dobrze?

-Nie - przyznal Logan. - Ale bylo tam cos dziwnego...

-To znaczy?

-Lezala tam kupa rzeczy: wlocznice, naczynia, skory, jakis zabity kon z poderzniętym gardlem i zmiadzona czaszka - tak go zostawili, chyba niedawno.

-Ofiary.

-Byc moze. Dlatego, ze spadla z nieba? Oni mogli tu nigdy nie widziec statkow kosmicznych.

-Możliwe. Jesli tak, to dlaczego zaatakowali helikopter, gdy schodzil do ladowania? Skoro nie widzieli latajacych maszyn, powinni go potraktowac tak samo, jak rakiete. Chyba, ze...

Chyba, ze - myslal - wiedzieli, jaka jest roznica miedzy statkiem kosmicznym a maszyna, ktora potrafi latic w powietrzu na nieduze odleglosci.

-Mogli miec jakies kontakty z nizinami i wiedza, jaka jest roznica miedzy smiglowcem a rakietą - rozumowanie Logana szlo ta sama droga.

Albo - zbudzilo sie w nim podejrzenie - zetkneli sie juz z rakietami.

Wciaz nie potrafil rozwiklac zagadki ognistej broni.

-To Dom Gromow - rozejrzal sie wokol Logan.

-Zauwazylem kilka szczegolow charakterystycznych dla obyczajow Nitra - odparl Storm. - Ty cos widzisz?

Logan byl znawca kultury tubylcow. Moze potrafi odgadnac, co zamierzaja z nimi zrobic. Plemiona norbiskie byly bardzo przywiazane do rytualow i liczyl na to, ze taki rytual chlopak rozpozna.

-Rzeczywiscie, maja tu pare rzeczy takich jak Nitra - zgodzil sie Logan. - Dwa stolki - polnocny i poludniowy, wejscie na wschodzie i na zachodzie. Zobacz, wchodzi myśliwy. Widzisz? Nic idzie prosto, tylko lawiruje miedzy slupami. To znaczy, ze wychwala swoje czyny przed Silami. Bebniacy, teraz on, patrz!

W niesamowitym blasku niebieskiego ognia Bebniacy caly czas wybijal ledwie slyszalny rytm. Druga reka rzucil nad ogniem dwa male, biale przedmioty, ktore poszybowały uniesione rozgrzanym powietrzem i znikly w ciemnosciach pod dachem.

-Modlitewne piora albo raczej puch - wyjasnil Logan. - Trofea wojenne sa takie same jak u Nitra - z grymasem niesmaku spojrzal na wyschniete dlonie i czaszki. - "Niebieskie rogi" tez tak je wieszaja.

-A ich czarownik tez tak robi? - cierpko zapytal Hosteen.

Bebniacy wstal ze stolka i odlozyl beben. Stal teraz przy ogniu sciagnawszy na siebie uwage wszystkich. Wyjal, ukryta w faldach tuniki, okolo trzydziestocentymetrowa rure zawieszona na bialym sznurze. Rura swiecila nie tylko odbijajac swiatlo ognia, ale promieniujac wlasnym.



Czarownik ceremonialnie zwrocil ja w cztery strony swiata, po czym skierowal jej koniec dokladnie nad ogien. Wtedy wydobyła sie z niej delikatna mgielka, w ktorej zawieszono byly polyskujace, migoczące pyłki. Pyłki zebraly sie i ujrzeli kształt zlozony jakby z malenkich, wirujacych klejnotow.

-Piecioramienna gwiazda! - wykrzyknal Logan.

Ale wzor juz sie zmienil - pyłki ulozily sie teraz w trojkat, potem kolo i wreszcie w strzalke, ktora pomknela wprost do ognia i znikla.

-Zaden Nitra tak nie potrafi! - szepnal Logan.

-Ani Norbis - ponuro odparl Hosteen. - Nigdy czegos takiego nie widzialem, ale dam glowe, ze to nie pochodzi z Arzoru!

-Xikowie? - spytal Logan.

-Nie wiem. Ale podejrzewam, ze niedlugo sie dowiemy.

## Rozdzial 9

Hosteen sprobował poruszyc zdretwialym ciałem. Noc minela, a zaden z tubylcow nie zajrzal do zwiazanych jencow. Tak, noc minela. Przez szczeliny w dachu wpadalo swiatlo, ale nie bylo gorecej niz w porze wzrostu na nizinach. W dolinie w ogole nie bylo Wielkiej Suszy!

-Slonce, a nie ma upalu... - mruknal Logan. - To jezioro...

-Nie moze wplywac na klimat - zaoponowal Hosteen. Na rowninie byly rzeki i zrodla, ktore nie wysychaly, a mimo to zywe stworzenia musialy za dnia chronic sie przed zarem.

-Cos jednak wplywa - trwal przy swoim Logan.

Cos wplywalo. Co moglo kontrolowac klimat? Bylo jedno miejsce na - a raczej w - Arzorze, gdzie klimat i roslinnosc byly kontrolowane. Gora ogrodow, do ktorej Logan i Hosteen trafili przypadkowo uciekajac przed Xikami. Ludzie z Zamknietych Grot zasadzili wewnatrz niej rosliny ze stu roznych planet i zostawili, by kwitly tam przez stulecia. Kontrola klimatu to nie Xikowie, to wiedza Zamknietych!

-Zamkniete Groty... - powtorzyl glosno.

-Ale to nie grota! - mysli Logana podazaly tym samym torem. - Jak moga kontrolowac klimat na otwartej przestrzeni?

-A jak zrobili to w jaskini? - odpowiedzial pytaniem Hosteen.

-Jesli jest tu wiecej pozostalosci po tej cywilizacji, to wiele by wyjasnialo.

-Myslisz o magii?

-Tak, moze tez o tych zdradzieckich pradach powietrznych, ktore uniemozliwiaja eksploracje terenow przez Sekcje Badawcza.

-Ale Norbisowie zawsze unikali Zamknietych Grot.

-W zewnetrznych partiach Szczytow tak, ale nie wiadomo, czy ten zakaz tu tez obowiazuje. Moze gdzies na Arzorze, a moze nawet tutaj, zyja jeszcze jacys przedstawiciele Starej Rasy. Czy legendy nie mowia, ze ukryli sie w jaskiniach zamykajac za soba wejscie, by kiedys w przyszosci powrocic?

Storm nie bardzo w to wierzyl. Dzicy Norbisowie posiadajacy jakas czesc wiedzy ludzi z Zamknietych Grot - to bylo mozliwe. Ale zeby tajemnicza, wymarla rasa przetrwala tutaj sterujac dzialaniami prymitywnego szczepu czy szczepow - nie, to niedorzeczosc. Ludzie czy stworzenia, ktore zaprojektowaly Grote Stu Ogradow, nie mogly miec nic wspolnego z wojownikami ozdabiajacymi swe swiatynie czaszkami i rekami wrogow. To bylaby sprzeczosc. Logan myslal podobnie:

-Sadze, ze Norbisowie sa raczej spadkobiercami - powiedzial wolno.

-Niegodnymi. Byc moze, ta gora stanowi rozwiazanie zagadki.

-Pewnie nigdy go nie poznamy - ponuro odparl Logan. - Mysle, ze odizolowali nas, bo mamy byc atrakcyjnym dodatkiem do wielkiego Swieta Bebna.

Hosteen juz dawno doszedl do tego wniosku. Walka z krepujacymi go wiazami wykazala bezsens wszelkich prob wyswobodzenia sie. Mogl powtarzac sobie tylko watpliwa pocieche, ze dopoki zyje, jest jakas szansa.

-Sluchaj! - glowa Logana podskoczyla, gdy usilowal bezskutecznie nieco sie uniesc.

Bebny odezwały sie ponownie, tym razem z przerwami. Wsluchujac sie intensywnie w ich dzwiek Hosteen stwierdzil, ze kazdy werbel brzmial nieco inaczej.

Caly rano Norbisowie wchodzili i wychodzili z Domu Gromow, teraz od poludnia wkroczyła duza ich grupa. Potem nadszedl szczuply, zyly mezczyzna. Konce jego czarnych rogow byly pomalowane na czerwono, a naszyjnik okrywajacy piers nie byl wykonany z zebow jorisa, lecz z malych, gladko wypolerowanych kosci. Zajal miejsce wodza.

Hosteen patrzyl na wszystko z poziomu podlogi, ale dostrzegl, ze od zachodu wkroczył drugi oddzial z drzewcem pokoju ostentacyjnie uniesionym nad glowami prowadzacych go

czarownika i wodza. Kiedy przez zachodnie wejście przeszła następna i jeszcze jedna taka delegacja, Hosteen zdał sobie sprawę, że to nie jest plemienne spotkanie, ale zgromadzenie przedstawicieli wszystkich szczepów, także tych, które były wrogami.

Piec, sześć grup, w każdej za wodzem i czarownikiem postępowała grupka wojowników. Siodma - Hosteen drgnął - prowadzili Krotag i Ukurti.

Bebniacy z tej wioski zasiadli na północnym stoiku. Uderzył, wydobywając ze swojego bebna odgłos przypominający grzmot i z grupy tutejszych wyszło dwóch młodzieńców, niosąc graniastą kłodę drzewa, wypolerowaną rękami, które dotykały jej przez lata, a może i wieki. Ułożyli ją przed ogniem kierując ku północy, a na niej położyli liściastą gałąź świętego drzewa fal. Potem znowu zniknęli w ciemnościach za plecami czarownika.

-Teraz mów - rzucił Logan półgłosem.

Rzeczywiście, nastąpiły mówy, a Hosteen żałował, że nie rozumie tego piskliwego świergotu. Kolejno, czarownik i wódz powstawali, podchodzili do kłody, uderzali ją gałęzią drzewa fal i rozpoczynali przemowę, od czasu do czasu podkreślając ważniejsze zdania uderzeniami gałęzi. W ich ślady poszli pozostali bebniacy i wodzowie.

Głowa Hosteena pękała z bólu, usta miał spieczone i suche. Leżał, dysząc, nie bardzo świadomy monotonnego świergotu w centrum Domu Gromów. Pragnął wody i jedzenia, ale przede wszystkim wody. Dwukrotnie usiłował porozumieć się z Baku i Surra - bez efektu. Kot i orzeł mogły uciec z doliny, miał nadzieję, że to zrobiły.

Jeśli nawet mieli jakieś szanse, to zmalały teraz niemal do zera. Myślał o Krotagu i jego Shosonna jako o możliwych sprzymierzeńcach. Ale wódz przemawiał jako drugi. Cokolwiek jednoczyło teraz Norbisów, było wystarczająco silne, by powstrzymać wszelkie przyjazne zachowania w stosunku do osadników.

Zaden z nich nie potrafił określić, jak długo trwała ta ceremonia. Zmęczenie, pragnienie i dym z gałęzi drzewa fal, którymi tubylcy stale podsycali ogień, oszłomily Hosteena tak, że zapadł w senne odretwienie. Obudził go kuksaniec między zebra. Słońce już zaszło, a ciemność znowu rozświetlały błękitne pochodnie. Wypatrując grupy Krotaga, zobaczył, że tubylcy uformowali procesje z pochodniami.

W miarę, jak posuwali się naprzód, do woni drzewa fal dołączył się swąd spaleniźny. Przechodzili przez zastanawiające regularne pasy, gdzie musiały uderzać ogniste bicze w czasie pościgu za nimi lub wcześniej.

Odezwały się bebny. Nie tylko tutejszego czarownika, ale wszystkich przybyłych Bebniacych. Były w ciężkim rytmie, do którego dostosował się krok procesji. Rytm bebnow znalazł się w jedno z rytmem jego serca, głowa zaczęła ciazyc...

Hipnoza! Hosteen zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jego naród potrafił - niegdys -

zawierac w swych wojennych tancach i piesniach czary, dzięki ktorým idacy w boj wojownik byl przekonany, ze jego własne "czary" sa niezwyciezone.

Staral sie zmylic krok, by zaklocic rytm marszu. Pewnie dlatego, ze w czasie treningu w sluzbie byl uodporniany przeciw takim pulapkom, czesciowo mu sie to udalo - czy zaczelo sie udawac - gdy warczacym bebnom odpowiedziala gora.

Tak to własnie wygladalo. Czy to byl dzwiek - za wysoki lub zbyt niski, by odebrac go inaczej niz na pograniczu czulosci zmyslow? A moze byl to raczej sygnal psychiczny? W kazdym razie czul, jakby gora odetchnela i drgnela budzac sie. Bylo to cos, czego nigdy przedtem nie doswiadczył, cos, czego nie doswiadczył prawdopodobnie zaden przybysz, poza, moze, Wiggersem.

Pomimo wszystkich wysilkow umyslu, woli i ciala, trzymanego w zelaznym uscisku przez dwoch wojownikow, Hosteen tylko czesciowo potrafil sie oprzec sile rytmu. To, ze byl jej swiadomy i ze pomimo wszystko walczyl z nia, bylo slaba pociecha. Rytm, rytm - stop, bebnow - znow westchnienie gory... westchnela czy moze nabrala powietrza w oczekiwaniu? To nie byl ziemia i skala, to byla bestia, przykucnieta tu i czyhajaca, bestia, jakiej nie potrafilby wyobrazic sobie zaden czlowiek.

Swad spalenizny nasilil sie. Bebny zawarczaly glosniej niby grzmot, ktory odbil sie echem od wzgorz. Zatrzymali sie spogladajac w strone niewidocznego wierzcholka gory. Teraz niosacy pochodnie jednoczesnie zgasili je o ziemie i zapadla ciemnosc rozswietlana tylko przez gwiazdy na bezchmurnym niebie.

Ucichly echa bebnow i zapadla cisza. Czy gora-potwor odpowie? Wyobraznia podsunela Hosteenowi obraz tego stwora: siegajacego chmur i czekajacego. Czekajacego tak, jak moglaby czekac Surra albo Baku, z ta nieskonczona cierpliwoscia, ktora czlowiek utracil, a moze nigdy nie posiadal, cierpliwoscia myśliwego.

Czekajacy Norbisowie - czekajaca gora - czekajacy wiezniowie...

Znow ten oddech. Dzwiek, ktorego nie slyszal, lecz czul kazda czastka ciala.

Nagle...

Blyskawice. Wielkie, poszarpane, zebate ostrza blyskawic bijace w niebo i oswietlajace stok. Tanczyly wokol okraglej kopuly, ktora Hosteen dojrzal teraz po raz pierwszy, a ktora stanowila wierzcholek gory. Ta czesc umyslu, ktora nie poddawala sie hipnotycznemu wplywowi rytmu, sygnalizowala, ze kopula jest zbyt regularna jak na naturalna formacje. Korona blyskawic wokol kamiennego lba czyhajacej bestii. Nagle swietlne bicze opadly wzniecajac w kilku miejscach ogien. Do nozdrzy czekajacych dobiegl swad spalenizny.

Stojac tak, oslepiony blaskiem, Hosteen byl pewien, ze to, co widzial przed chwila, nie bylo zjawiskiem naturalnym, lecz wynikiem dzialania jakiejs inteligencji.

Xikowie? To nie mogli być Xikowie. Urządzenie, które wywołało ten spektakl, nie było miotaczem ognia. Nigdy czegoś takiego nie widział ani nie słyszał o niczym podobnym. Hosteen wzdragał się jednak przed kojarzeniem tej potwornej, niszczącej broni z cywilizacją, która stworzyła piękno Groty Stu Ogrodów.

Skonczyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. W kilku miejscach plonęły zarośla, ale ogień się nie rozprzestrzenił. Bębny podjęły marszowy rytm. Strażnicy pchnęli Hosteena do przodu. Tym razem reszta pochodu pozostała w tyle. Wspinaczkę podjęli tylko miejscowy wódz, Bębniacy, strażnicy i więźniowie.

Ponownie mineli wypalony szkielet smigłowca. Ogień musiał go teraz dosięgnąć, bo to, co było ogonem, stanowiło stopioną, zarzaca się jeszcze masę. Wspinali się dalej...

Gorgol, Surra i Baku - czy udało im się umknąć przed sieciami i ogniem? Hosteen znowu próbował ich wezwąć, ale odpowiedziała mu tylko cisza, jak gdyby nigdy nie potrafił nawiązywać łączności ze zwierzętami.

-Przed nami rakieta ratunkowa - krzyknął Logan.

Hosteen poczuł słodkawy smród gnijących roślin i mięsa. Ofiary. Czy teraz oni mieli się nimi stać? Miał w zanadrzu jeszcze ze dwa chwyt, których mógłby użyć nawet ze związanymi rękami...

W świetle dogasających zarośli ujrzeli martwego konia i kształt rakiety. Tak jak mówił Logan, nie była uszkodzona. Wyglądało na to, że usiadła tak pewnie, jak kierowana radarem. A rozbitkowie? Czy przeszli już drogę, która teraz wędrował on z Loganem?

Hosteen tak się nastawił na stoczenie walki po dojściu do rakiety, że zdumiało go, gdy się tam nie zatrzymali. Bębniacy uderzył mocniej, dmuchnął w stronę statku modlitewny puszek, ale nie podchodzili bliżej.

Góra czekała. Znowu w wyobraźni Hosteena przybrała postać nieruchawego, ale czujnego zwierzęcia. Zwierzęcia inteligentnego.

Jeszcze wyżej - stok był bardziej stromy i wyboisty. Strażnicy ciągnęli ich na linach, a więźniowie potykali się, z trudem utrzymując równowagę. Hosteen upadł na kolana i nie reagował na szarpnięcia, usiłując złapać oddech i trochę rozejrzeć się. Odkąd mineli rakiety, przeszli przez kilka wypalonych pasów.

Musiały powstać wcześniej, bo nie dymily. Przez porastającą zboczę roślinność coraz częściej przebijały rumowiska. Potem zarośla skonczyły się i wyszli na nagą skałę. Wreszcie, po omacku, przeszli jakąś szczelinę, wleczeni bezlitosnie przez tubylców.

Szczelina wyprowadziła ich na dość szeroką polkę. W zamykającej ją skalnej ścianie widniał ciemny otwór. Ale nie on był celem wędrowki. Ruszyli w prawo. Polka zakreślała

lagodnie, była to chyba podstawa wienczacej gore kopuly, chociaz ona sama wznosila sie jeszcze dobre kilkadziesiat metrow w gore.

Zblizal sie swit. Hosteen mial nadzieje, ze tajemnicza oslona chroniaca doline dzialala i tutaj i ze nie musza obawiac sie wschodu slonca. A moze tak mieli umrzec: wystawieni na palace promienie na zboczach swietej gory?

Otwor jaskini zniknal im juz z oczu, a polka biegla teraz przewieszajac sie nad przepascia, ktorej glebie trudno bylo ocenic. Stormowi przypomnialo to inna gorska droge biegnaca - wydawaloby sie - do nikad. Bylo to na Gorze Ogrodow, a droga stanowila pozostalosc po cywilizacji Zamknietych Grot. Omal nie stracil tam zycia w starciu z aperem - ostatnim Xikiem na Arzorze.

Droga urwala sie jak nozem ucial. Po lewej mieli nastepne wejście, tym razem zamkniete gladka, skalna plyta. Bebniacy uderzyl znowu, pozdrawiajac, byc moze, moce, ktore wedlug niego czaily sie za ta przeszkoda.

Kiedy ucichl dzwiek bebna, wodz wsial od straznika pasy jencow. Ceremonialnie zlamal ich dlugie, myśliwskie loze i kamiennym toporem zmiadzyl lufy emiterow. Zniszczywszy bron przybyszy gwizdnal i do akcji wkroczylo dwoch straznikow. Z calej sily oparli sie dlonmi na plaszczynie zamykajacej wejście. Przeszkoda ustapila, rozsuwajac sie na dwie strony. Wtedy wodz wrzucil w otwor zniszczona bron i pasy jencow. Oni sami pchnieci z potezna sila polecili w slad za swa wlasnoscia, wpadajac w gesta ciemnosc, ktorej nie bylo w stanie rozjasnic swiatlo padajace z zewnatrz.

## Rozdzial 10

Hosteen uderzyl o niewidzialna sciane z sila, ktora zaparla mu dech w piersiach. Klezczac, z trudem lupal oddech, gdy wpadl na niego Logan i obaj potoczyli sie po podlodze. Wokol panowala zupelna ciemnosc. Norbisowie zamkneli wejście. Ziemia nin znalazl to szczegolne uczucie braku powietrza, ten powiew smierci - to byla atmosfera Zamknietych Grot, przez dlugi czas niedostepnych dla czlowieka, byc moze zaprojektowanych tak, by byc niedostepnymi dla tego gatunku.

Lezal, oddychajac plytko i zastanawiajac sie nad sytuacja, w jakiej sie znalezi.

-To jedna ze starych grot - przerwal cisze Logan. - Przynajmniej tak pachnie...

-Tak.

-Uda nam się uwolnić?

Hosteen poruszył ramionami i poczuł, że wiezy poluzowały się.

-Może...

Ponawiał wysiłki.

-Ha! - triumfalnie wykrzyknął Logan. - Zrobione! Dawaj... Gdzie jesteś?

Reka natrafiła w mroku na ramię Hosteena i szybko zsunęła się ku zwojom powrozu.

-Nie bardzo im wyszły te węzły - mruknął Logan pracując za plecami Hosteena.

-Nie sadzę - Ziemiański usiadł i zaczął masować prawy nadgarstek. - Gdybyśmy mieli zostać w wieżach, nie zdejmowałiby sieci. Teraz zobaczymy...

Nie miał pojęcia, jak wielka może być jaskinia, ani jak daleko są od wejścia. Nie wiedział też, gdzie jest to wejście. W Zamkniętych Grotach coś dziwnego działo się ze zmysłem orientacji, zresztą Hosteen podejrzewał, że ta ciężka atmosfera wpływała również na jasność myślenia. Przez chwilę stał w miejscu, próbując przyjsc do siebie, po czym ruszył, pochylony, jedną ręką macając ziemię przed sobą, a drugą trzymając wyciągniętą do przodu, by nie wpasć na ścianę.

-Zostan, gdzie jesteś - rozkazał Loganowi.

-Co jest grane?

-Wrzucili tu nasze pasy. Bron zniszczyli, ale mam tam atomowa latarke. Nie zepsuli jej, przynajmniej nie zauwazylem, zeby to zrobili.

Szur - szur, palce po skale... i miekkosc wyprawionej skory. Storm kucnal, przyciagnal znalezisko, dotykkiem rozpozнал, ze to pas Logana i zarzucil go na ramie.

-Mam twoj - rzucil. Moj nie moze byc daleko.

Znowu: szur - szur. Palce uderzyly o cos, co brzeknelo metalicznie. Rozbity emiter, a kilkanascie centymetrow dalej jego pas! Przesunal po nim w pospiechu rekami. Kompas, woreczek z tabletkami podtrzymujacymi, maly zestaw do pierwszej pomocy, wreszcie w ostatniej petli tuz przy pustej pochwie od noza znalazl to, czego szukal: dwudziestocentymetrowa rurke grubosci olowka. Przycisnal guzik i zamrugal oslepiony swiatlem.

-Rany! - glos Logana pobrzmiel groza.

Znajdowali sie w wielkiej grocie, a jej sciany i sklepienie pokryte byly ta sama czarna substancja, ktora wyscielala korytarze prowadzace do Groty Ogrodow - materialem budowlanym nieznanym gwiazdnych wedrowcow.

Przy drzwiach, zamknietych tak szczelnie, ze nie widac bylo miejsca, w ktorym plyta dzielila sie na dwie czesci, lezal stos przedmiotow, ktore na pewno nie pochodzily z czasow Zamknietych Grot. Hosteen przyjrzel im sie. Byly tam ich polamane noze i zniszczony emiter Logana, ale byly tez inne



rzeczy: inny emiter, inny pas obladowany dwa razy bardziej niz pas Storma. Podniosl go z ziemi.

-Widders - podniosl sie i oswietlil grote, ale przybysza tu nie bylo.

-Moze jest stad inne wyjscie? - Logan wskazal na wystep skalny, za ktorym moglo cos byc. I bylo - ciemny otwor.

Chlopak podniosl sznury, ktorymi byli zwiazani, i okrecil sie nimi w pasie. Nie mieli broni... a moze mieli? Hosteen podniosl pas Widdersa. Noza i emitera nie bylo, ale przypomniał sobie bron, ktora przybysz pokonal ich, gdy wyruszał na swa szalencza wyprawe. Mial nadzieje, ze znajdzie tu podobna niespodzianke.

-Idziemy? - Logan stal juz w wejsciu do tunelu.

Hosteen znalazl maly woreczek i wytrzasnal z niego na reke kulke o srednicy kilku centymetrow z galka wystajaca z gladkiej powierzchni. Wygladala jak maly granat zaczepny. Spojrzal z namyslem na zamkniete wejscie. Granat normalnej wielkosc, celnie rzucony potrafil zniszczyc pojazd pancerny, ale jaki bylby wplyw wybuchu trzykrotnie mniejszego ladunku na skalne drzwi?

-Masz cos ciekawego? - spytal Logan.

-Moze - Hosteen wyjasnil pokrotce zastosowanie swojego znaleziska.

-Da sie tym rozwalic drzwi?

Hosteen wzruszyl ramionami.

-Nie wiem. To ryzykowne. Nie znamy wlasciwosci tego czarnego

paskudztwa. Pamiętasz, co się wtedy stało?

Przed kilkoma miesiącami fala uderzeniowa z broni Xikow, użytej o kilka mil od nich, stopiła tajemniczy materiał wyscielający inną grocie i zamknęłaby ich jak w grobowcu, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności. Wtedy się udało, ale nie można zbyt mocno polegać na własnym szczęściu.

-Mówię ci, najpierw sprawdzmy tylne wyjście - Logan wskazał na tunel.

To brzmiało sensownie. Widdersa w grocie nie było, a jeśli był tu wcześniej, to pewnie poszedł tą drogą. Wiele wskazywało na to, że Nieznani lubili drążyć podziemne korytarze i byli w tym całkiem dobrzy.

Podzielili ekwipunek: granaty, tabletki, zapasy. Woda - oprócz tej w manierce nie mieli wody. Ale przynajmniej nie było tu słońca.

Otwór nie prowadził do korytarza. Zamiast niego trafili do stromo obniżającego się przejścia, w którym podłogi z czarnej substancji nie pokrywał najmniejszy pyłek. Posuwali się pomalutką, Hosteen pierwszy, z latarką w jednej i śliskim od potu granatem w drugiej dłoni.

Storm usłyszał, jak Logan wciąga powietrze.

-Woda... gdzieś przed nami.

Przez chwilę Hosteen miał nadzieję, że mają przed sobą drugą Grocie Stu Ogrodów. Ale tam prowadziły ich czyste, intensywne zapachy roślin, a tu czuć było tylko przenikliwą won wilgoci i

czegoś jeszcze mniej przyjemnego.

Światło wydobywało z ciemności mieniące się tęczowo plamy wilgoci na ścianach. Logan przeciągnął po jednej z nich palcem i zaraz wytarł go o brzeg swojego puklerza ze skóry jorisa.

-Szlam! - przytknął palec do nosa. - Smierdzi. Jakbysmy włązili do kanału...

Kropelki na ścianach zaczęły tworzyć gęste strumyczki, a odor jeszcze się nasilił. Ale powietrze nie było nieruchome, czuli słaby powiew niosący ze sobą won rozkładu.

Jak dotąd, nic nie wskazywało, by ktoś szedł tedy przed nimi. Ale teraz znaleźli szeroką smugę na ścianie. Coś starło ze ściany strumyczki, a nowe krople właśnie torowały sobie tamteży drogę. Wilgoc panująca w powietrzu zapobiegła wyschnięciu tego śladu.

-To jest całkiem świeże - zauważył Logan.

Wyciągnął rękę, nie dotykając ściany i wskazał, że górna krawędź smugi znajdowała się na wysokości barku.

-Ktoś albo coś pewnie się tu posliznęło...

Hosteen skierował światło latarki niżej, a Logan odczytywał wilgotne ślady.

-To - wskazał na mokra plamę - był czubek buta!

Nie zawiodło go oko tropiciela. Tylko but przybysza mógł zostawić tak regularny ślad. Widders? A może jakiś rozbitek z rakiety, który schronił się w tym labiryncie przed tubylcami?

-Ktokolwiek to był, zszedł w dół i nie wrócił - stwierdził Logan -  
Pewnie nie był już w stanie tego zrobić. No coż, albo idziemy  
dalej, albo spróbujemy rozwalić tamte drzwi granatem. Masz inny  
pomysł?

-Idziemy - padła szybka odpowiedź. - W razie czego, mamy  
zadla. - Podrzucił do góry granat i zrecznie go chwycił.

Ruszyli dalej wyglądając innych śladów tego czy tych, którzy  
przeszli tu przed nimi. Niczego jednak nie dostrzegli.  
Powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne i mgliste. W gorze  
było raczej chłodno, a tu robiło się coraz cieplej, won też stała się  
bardziej intensywna, ciężka, jakby pismowa. Hosteen zaczął  
weshyc podejrzewając, że zbliżają się do okolic zamieszkałych  
przez jakąś formę życia.

Korytarz biegł teraz poziomo, a środkiem, w zagłębieniu płynął  
niewielki strumyczek, utworzony przez sciekające po ścianach  
krople. W świetle latarki ujrzeli lukowato sklepione ujście  
korytarza. Dokąd prowadziło?

Kiedy wyszli z niego, Hosteen przelaczył promień latarki z  
szerokiego snopu na skupioną, ostrą wiązkę. Przez chwilę  
wydawało mu się, że daleko po prawej ujrzal coś, co mogłoby  
być ściana czy linia brzegowa. Przed sobą mieli rozlewisko, w  
którego nurtach płynęły resztki polyskujące tęczowo w świetle  
latarki i matowiejące, gdy się z niego wydostawały.

Chodnik, który ich tu przywiodł, biegł dalej wchodząc w wodę  
niby nabrzeże lub skalne molo. Na pewno nie był to twór natury.  
Jego skraj zdobiły stojące na sztorc, w równych odstępach,  
skalne walce, jak pacholki do cumowania. Do cumowania?

Czego? Kto mógł pływać po tym jeziorze czy rzece i po co?

Szli wolno wzdłuż nabrzeża. Puste walce, cuchnaca ciecz bijąca o brzeg... Grota Stu Ogródów była obca, ale nie wroga. Tutaj było inaczej. I znowu Hosteen nie mógł pogodzić się z myślą, że ta sama cywilizacja stworzyła piękno ogródów i taki ponury labirynt.

-Statki? - spytał nagle Logan. - Kim oni byli i po co im tu były statki? Ogrody... i to miejsce... to do siebie nie pasuje.

-Rzeczywiście - zgodził się Hosteen. - Kwii halchinigii 'ant 'iihnii...

-Co?

-Powiedziałem, że pachnie tu czarna magia.

-To prawda! - z przekonaniem przytaknął Logan. - Dokąd idziemy? Jakos nie mam ochoty na kąpiel.

Doszli do końca skalnego pomostu i wpatrywali się w ciemność nad leniwie płynącą wodą, usiłując dostrzec coś, co mogłoby być drugim brzegiem. Ale poza niewyraźnymi konturami daleko po prawej stronie nie zobaczyli niczego.

Kiedy Hosteen przesunął promień latarki w lewo, oświetlając dalszą część ściany, zza której wyszli, ujrzeli coś, co mogło być wyjściem. Wzdłuż ściany jaskini, pomiędzy skałą a ciemnym lustrem wody, rozciągało się kilka metrów czegoś w rodzaju plaży z szorstkiego piasku i żwiru. A sama ściana kryła ocienione miejsca, które mogły, ale nie musiały, być wejściami do następnych grot lub korytarzy. W każdym razie było to bardziej

zachecające niż woda. Sam jej wygląd podpowiadał wyobraźni Hosteena różnorakie obrzydliwości, jakie mogłoby w niej spotkać.

Wrocili na brzeg i zeskoczyli na plażę. Tu i owdzie wśród żwiru leżały większe kamienie. Kamienie? Hosteen przystanął i koncem buta tracił jeden z nich. Czarnymi oczodolami spojrzała na niego czaszka. Wyrastające z niej zakrzywione rogi świadczyły, że należała do Norbisa. Z wyglądu kości Hosteen ocenił, że tubylec zmarł już dawno temu.

-A to co, w imię Siedmiu Gromów? - Logan chwycił Hosteena za ramię, kierując światło latarki przed siebie. W jej blasku znów ujrzeli nagą kość. Ale co za kość! Trudno sobie było wyobrazić głowę, która mogła mieścić taką czaszkę! Zuchwa o długości ludzkiego ramienia, ogromne oczodoly, czegoś takiego nie widział nigdy na Arzorze, ani żadnej z pięćdziesięciu planet, które odwiedził.

-Troje oczu! - głos Logana brzmiał jakos dziwnie. - To miało troje oczu!

Rzeczywiście. Niezwykle szeroko rozstawione oczodoly były rozdzielone trzecim, tkwiącym pośrodku, nad uzębioną szczęką. Troje oczu!

Na Ziemi żyły kiedyś potwory, których kości przetrwały aż do czasów cywilizacji człowieka. Wykopane i oczyszczone, gromadzono potem w muzeach, gdzie można było je podziwiać. Może to był szkielet jakiegoś dawno wymarłego zwierzęcia, które niegdyś zamieszkiwało Arzor, a potem wyginęło jak dinozaury? A jednak nie. Troje oczu było jakimś wybrykiem natury, czymś obcym.

-To musiał być potwór! - Logan kleknął obok, grzebiąc palcami w ziemi, jakby bał się dotknąć kości gołej reki. Hosteen przyjrzał się teraz dokładniej znalezisku. Wyciągnął czaszkę Norbisa i porównał ją przy trójwymiarowej czaszce porównując je.

-O co chodzi? - zainteresował się Logan.

-Shii hazheen...

Logan spojrzał z irytacją.

-Mów jak człowiek, dobra?

-Nie wiem, co myślec - uprzejmie przetłumaczył Hosteen. - To niemożliwe.

-Co?

-Ta czaszka - wskazał na norbiską - rozpada się ze starości, może z wilgoci. Ale należała do tubylcy, do gatunku, który teraz zamieszkuje Arzor. Porównaj ją z tą drugą. Trójwymiarowa wcale się od niej nie różni, jakby pochodziły z tego samego okresu...

-Co masz na myśli?

Hosteen opowiedział chłopcu o olbrzymich gadach, które zamieszkiwały kiedyś Ziemię, i o swoim przypuszczeniu, że szczątki, które znaleźli, mogły być pozostałością po jakimś dawno wymarłym gatunku.

-Tylko że nie wygląda wystarczająco staro, o to ci chodzi. No, czy Norbis nie może być równie stary?

-Mogłoby - każda planeta ma własną historię. Tylko, że na ziemi potwory wyginęły na długo przed pojawieniem się pierwszych, prymitywnych ludzi. Gdyby Norbisowie żyli kiedyś na Arzorze razem z takimi zwierzętami, jakiś ślad tego pozostałby na pewno w genach.

-Ludzie z nizin zawsze bali się Blekitnej.

-Ale nie z powodu potworów. Mówią przecież o wielkich ptakach - mordercach i innych naturalnych wrogach.

-To znaczy...

-... Że jeżeli te stworzenia żyły niedawno, powiedzmy jakieś sto lat temu, to mogły zamieszkiwać podziemia takie jak to i dlatego wiedziały o ich istnieniu tylko ofiary tu zamknięte.

-I że jakiś trojaki może czekać za następnym zakretem, tak?

-Logan zerwał się i otrzepał ręce z piasku. - To nie jest najradosniejsza nowina na świecie.

-Może się mylic. - Hosteen nie zamierzał jednak rezygnować z czujności. Jakże miałby szansę z granatem przeciwko trojokiej śmierci?

Już wolniej ruszyli plaza, oświetlając dokładnie każde ciemniejsze miejsce, czujni na każdy dźwięk. Słyszeli jednak tylko chrząst własnych kroków po zwirze i plusk wody.

Jak dotąd, żaden z cieni nie był otworem wiodącym gdzieś dalej. Byli już dosyć daleko od skalnego pomostu, gdy Logan znowu złapał brata za ramię, kierując, światło latarki wysoko na ścianę.



-Cos sie rusza, tam w gorze!

W snop swiatla, wydajac piskliwy okrzyk, wpadlo jakies skrzydlate bialo-zolte stworzenie.

-Placzyk! - zawolal Logan. Byl to pospolity ptak zywiacy sie jagodami i zamieszkujacy gorzyste okolice. - Coz on tu robi?

-Moze wskazuje nam wyjscie. - Hosteen skierowal swiatlo latarki w strone, z ktorej nadlecial ptak. Byl tam otwor glebszy niz szczeliny, ktore spotkali dotad. Placzyk jakos musial sie tutaj dostac, byc moze, przylecial wlasnie tedy.

Ptak nadal krazyl wokol snopu swiatla, az wreszcie, jakby kierowany przez nie, przysiadl na skraju otworu, wciaz krzyczac zalosnie.

-Tylne wyjscie? - podsunal Logan.

-Nie zawadzi sprawdzic.

Wejscie wygladalo o tyle zachecajaco, ze nie pomiesciloby na pewno stwora o czaszce tak wielkiej, jak ta, ktora znalezli. Mogli wiec nie obawiac sie bestii czyhajacej za kazda skala. Hosteen zatknal latarke za pas i zaczal sie wspinac ku otworowi.

## Rozdzial 11

Stali u wejscia do nastepnej jaskini. Czy to byla droga na zewnatrz, ku swiatlu i powietrzu? Czy obecnosc ptaka byla dostatecznym tego dowodem? Jesli nawet bylo to wyjscie, nie zostalo wykonane przez Nieznanych. Scian nie pokrywala czarna substancja, tworzyla je szorstka rudoczerwona skala. W kazdym

razie była to jakas droga, a gdy nia ruszyli, placzyk skrzeknal i pofrunal za nimi jakby przyciagany swiatlem.

Droga, niestety, nie piela sie w gore, lecz biegla poziomo, czasem tak waska, ze musieli bokiem przeciskac sie miedzy skalami. Powietrze nie bylo tu martwe i nieruchome, jak w przejsciach Zamknietych Grot. Logan znow pociagnal nosem:

-Niedobrze.

Pizmowy zapach, ktory czuli, zanim weszli do jaskini z rzeka, powrocil. Ten zapach i wilgoc... a przeciez Hosteen byl pewien, ze nie ida w kolko. Niemozliwe, zeby wracali na plaze.

Placzyk lecial caly czas za nimi. Jego pisk przeszedl w ponure pokrzykiwanie, wreszcie ptak przelecial miedzy nimi i zniknal w ciemnosci. Hosteen przyspieszyl kroku. Weszli w szary polmrok. Teraz wlaczyl latarke i ostroznie posuwal sie naprzod. Spojrzal w dol i przez chwile myslal, ze sni.

Znajdowali sie w polkolistym zaglebieniu sciany kolejnej groty, ale o takich rozmiarach, ze bez zdjec lotniczych nie mozna by sporzadzic jej mapy. Tu tez byla woda i potoki, stawy, nawet niewielkie jezioro. Tyle ze oddzielaly je od siebie sciany. Jak okiem siegnac, dno groty wygladalo jak gigantyczna szachownica. Czworoboczne mury odgradzaly stawy ze skrawkiem otaczajacej ziemi lub kawalki gruntu, przez ktore przeplywal strumien. Po co? Nie bylo widac zadnych upraw.

-Zagrody - rzucil Logan.

To bylo prawdopodobne. Te regularnie ogrodzone, kwadratowe

działki mogły być zagrodami - czymś podobnym do korrali na nizinach. Ale co i po co miało w nich mieszkać?

Przykucneli, starając się dostrzec jakiś ruch w najbliższych kwadratach. Tutejsza roślinność stanowiły blade szare, szorstkie trawy czy trzciny i niskie zarośla o grubych, mięsistych, ale jakby chorych liściach. Sceneria była raczej odpychająca, zupełnie niepodobna do kuszącego krajobrazu Groty Stu Ogródów.

-To wszystko ma już parę lat - zauważył Logan. - Popatrz na ten mur...

Hosteen spojrzał we wskazanym kierunku. Ściany zawałiły się, otwierając przejście do następnych dwóch zagrod. Dalej zobaczył jeszcze jeden zwałony mur. Wstał i odczepił od pasa lornetkę. Chociaż światło było słabe, próbował coś dojrzec.

Powoli omiotł wzrokiem obszar z prawa na lewo. Stawy, woda, rośliny były takie same, jak rosły pod nimi, tylko w kilku miejscach roślinność była inna, w niektórych zagrodach przypominała pustynną. Być może, tak to zaprojektowano, a może po prostu wymarły tu wcześniejsze "uprawy".

Ściany nie były jedynym dowodem na to, że miejsce to zaprojektowano celowo. Daleko, po lewej stronie, Hosteen dojrzał jakies wzniesienie. Był to chyba budynek, podał lornetkę Loganowi, który potwierdził jego przypuszczenie.

-Idziemy tam? - zapytał.

Była to sensowna propozycja. Hosteen czuł jednak dziwną niechęć do przedzierania się przez ogrodzone kwadraty i

prostokąty oraz porastająca je dziwaczna, chora roślinność. Logan wyraził to słowami:

-Jakos nie mam ochoty na te wycieczke...

Hosteen wziął od niego lornetkę i przyjrzał się odległemu budynkowi. W mroku groty wydawał się jakby niematerialny, nie można było przesledzić dokładnie linii ściany czy dachu ani nawet określić wielkości tej konstrukcji, Zupełnie jakby patrzyło się przez zamgloną szybę w czasie deszczu. Może rzeczywiście o to chodziło - powietrze w grocie było wilgotne i mgliste.

Nie zauważył żadnego ruchu ani wokół domu, ani w zagrodach. Nie sądził, żeby przetrwało tu jakieś inteligentne życie, ale niewykluczone, że zachowały się jakieś niższe formy. Budynek mógł nie tylko wyjaśnić cel, w jakim stworzono te jaskinie, ale również wskazać drogę ucieczki.

Ci, którzy zbudowali to wszystko, mieli na pewno inne wejście niż wąska szczelina skalna, która doszli tu osadnicy.

-Spróbujemy się tam dostać - mówiąc te słowa Storm zdumiał się swym niepewnym tonem.

Logan zaśmiał się.

-Diabelska okolica - stwierdził. - Wolalbyśmy, żeby jeszcze kilku naszych brało udział w tej imprezie. Miejmy nadzieję, że nasze długozębe i trojokie niewiadomoco nie siedzi gdzieś po drodze czekając na kolację. I jak mu powiedzieć, że nie mam ochoty stać się głównym daniem? Nie mam nawet noża. No, ale czekanie nie poprawi sytuacji. Odpalamy na orbite?

Opuścili się z krawędzi urwiska i skoczyli. Upadli na osypisko piachu w jednym z kwadratów. Mury oddzielające poszczególne kwadraty miały około trzech metrów wysokości. Gdyby nie to, że były częściowo zwalone, mieliby poważne kłopoty z dotarciem do celu, bo te, które jeszcze stały, były gładkie i śliskie.

Dwukrotnie, w miejscach, gdzie ściany były nietknięte, musieli wchodzić jeden drugiemu na barki, by dostać się na górę. W jednym z kwadratów znaleźli jeszcze jeden szkielet, którego Hosteen nie potrafił zidentyfikować. Waska, długa głowa z niewielką puszką mózgową! szczekami zwezajacymi się szpiczaste do przodu. Z końca tego ryjka wyrastał zakrzywiony ku gorze róg.

Logan szarpnął za niego i róg został mu w dłoni, podczas gdy reszta czaszki rozsypała się. Długi na trzydzieści centymetrów, ostry jak zab jorisa, musiał być w swoim czasie niebezpieczną bronią.

-Jeszcze jedno niewiadomoco.

-Ktos był zbieraczem - wyraził przypuszczenie Hosteen obchodząc resztki. To mógł być powód, dla którego stały te mury i dla którego była tu woda. Grota Stu Ogrodów była kolekcja okazów roślin zebranych dla ich piękna i zapachu z ponad stu różnych planet. To zaś mogła być inna kolekcja: gadów... zwierząt... kto wie? Może był to rodzaj zoo? O ile jednak ogrody kwitły przez wieki, a może eony, po zniknięciu ogrodników, o tyle hodowane tu stworzenia nie przeżyły.

-Powinnismy się z tego cieszyć - odparł bez namysłu Logan na uwagę Hosteena. - Bezbronna zwierzyna łowna... to nie jest moja

ulubiona rola. To byloby niezle trofeum myśliwskie. - Zwazył rog w dloni, po czym wepchnał go w pochwe od noza.

-Zaloze sie, ze Krotag jeszcze czegos takiego nie widzial.

-Te zwalone mury... - Hosteen usiadł obok brata na szczycie muru okalajacego zagrode ze szkieletem. - Byc moze, zarzadzajacy tym miejscem odeszli nagle...

-A zwierzaki zgłodniały i postanowily zrobic cos z tym fantem? - spytał Logan. - Byc moze. Ale pomysl, co moglo rozwalic takie potezne sciany! - Uderzył dlonia w powierzchnie, na ktorej siedzieli.

-To musialo byc jak zywy, dziki i wsciekly buldozer! Cale szczescie, ze nie zjawilismy sie tu wczesniej. Kiedy to sie dzialo, nie bylo miejsca na zadne Pierwsze Statki.

Ruszyli dalej, pokonujac kolejne mury i zagrody. Tabletki z zelaznych porcji dawaly im energie i odwlekaly potrzebe snu, ale Hosteen wiedzial, ze na sztucznej sile mozna polegac tylko do pewnego momentu, a zblizali sie do niego szybko. Jesli znajda schronienie w budynku, beda mogli tam wypoczac. W przeciwnym razie srodek pobudzajacy moze zawiesc i w decydujacych momencie zostana bezbronni i bezsilni.

Wdrapawszy sie na ostatni mur zatrzymali sie, a Hosteen oswietlil budynek. Oddzielala go od nich linia cienkich, gladkich palikow wbitych w ziemie. Jezeli mialy podtrzymywac plot, to reszta konstrukcji dawno sie rozpadla. Poza nimi nic nie stalo na drodze do trojkatnych drzwi masywnej budowli.

Zesliznели sie z muru i zblizyli wlasnie do palikow, gdy Hosteen wyciagnal reke i zatrzymal Logana. Przypomnial sobie ochrony stosowane na odleglych planetach. To, ze nie widzieli przeszkody, nie znaczylo jeszcze, ze jej tam nie ma. Przeciez istoty hodujace te zwierzeta musialy miec jakas mozliwosc obrony na wypadek, gdyby stworzenia wydostaly sie ze swoich zagrod.

-Te slupki moga byc generatorami pola silowego - ostrzegł.

Logan skinal glowa.

-Moga.

Podniosl kamien i cisnal go miedzy paliki. Pocisk przelecial miedzy nimi bez przeszkod i glucho uderzyl w sciane budynku.

-Nawet jesli bylo tu pole, to teraz go nie ma.

Dowod byl przekonujacy, a jednak cos powstrzymywalo Hosteena. Instynkt, ktory go nigdy nie zawiodl, ktory byl skladowa tego tajemniczego wrodzonego daru czyniacego go czescia druzyny, gwaltownie sprzeciwial sie temu, co wlasnie mieli zrobic. Walczac ze soba, Hosteen wszedl miedzy paliki.

Zakryl uszy rekami. Zwinal sie i rzucil konwulsyjnie do przodu i toczyl sie po ziemi jak w agonii z glowa wypelniona potwornym bolem, wibracja, halasem, czymś tak obcym, ze nie potrafil tego nazwac. Caly swiat przeszywal przerazliwy wrzask, ktory rozdzielal cialo, komorka po komorce.

Hosteen doswiadczal w przeszlosci bolu fizycznego i tortur

psychicznych, ale czegoś takiego nigdy.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał w ciemnościach, skulony, oddychając płytko w obawie przed powrotem cierpienia. W końcu poruszył się z trudem, unosił trochę i spostrzegł światło z tyłu. Spojrzał przez ramie i zobaczył szary trojkąt. Trojkąt! Drzwi budynku! To znaczy, że dotarł do budynku. Ale co się stało? Usiłował sobie przypomnieć, choć proces ten był bolesny.

Przeszkoda między palikami - dźwiękowa, to musiała być bariera dźwiękowa! Logan... był z nim Logan! Gdzie teraz jest?

Nie udało mu się wstać, przy pierwszej próbie zakreciło mu się w głowie. Wypelzł więc na zewnątrz i na pochylni wiodącej do drzwi znalazł Logana, który jęczał cicho leżąc z zamkniętymi oczami i sciskając rękami głowę.

-Co to było? - wychrypiał Logan.

Leżeli teraz w pierwszym pomieszczeniu.

-Myślę, że bariera dźwiękowa.

-To brzmi sensownie.

Urządzenia takie były znane hodowcom, ale nie cieszyły się dobrą opinią. Nadajniki nie były łatwe w użyciu. Właściwe nateżenie utrzymywało stado w posłuszeństwie, ale niewielka zmiana mogła łatwo stać się przyczyną paniki i znacznych strat.

-Ciagle działa... ale nas nie zabiło.

-Nastawione na inne formy życia. - Wyjaśnił Hosteen. - Zreszta



moze je tez tylko ogluszalo. Ale nie chcialbym tego jeszcze raz probowac.

Ta przygoda pozbawila ich resztek sztucznie podtrzymywanych sil. Spali, budzili sie, by przelknac tabletki i napic sie wody z manierek, ktore napelnili w jednym ze spotkanych zrodel, i znow zapadali w sen. Trudno bylo im potem ocenic, ile trwal ten letarg. W koncu jednak ockneli sie z uczuciem swiezosci i napelniajacej ich energii. Logan przygladal sie dwom tabletkom lezacych na dloni.

-Wolalbym troche prawdziwego miesa - oznajmil. - To nie zapelnia zoladka...

-Ale pozwala nam isc dalej.

-Isc dokad?

-Musi byc stad jakies wyjście. Trzeba je tylko znalezc.

Przeszukali budynek. Hodowcy opuscili grote w pospiechu, nie dbajac o przyszlosc zwierzat, ale opróżnili dokladnie wszystkie pomieszczenia. Nie pozostalo nic, co byloby jakas wskazowka, wyjasniajaca, kim lub czym byly istoty zamieszkujace to miejsce. Na to, ze ktos tu w ogole mieszkal, wskazywal rodzaj lazienki i cos, co wedlug Hosteena bylo kuchnia. Cala reszta zniknela, chociaz dziury w scianach sugerowaly, ze usuwano z nich w pospiechu jakies instalacje.

Kiedy dostali sie na ostatnie pietro, znalezli wyjście na plaski dach, z ktorego mogli przyrzec sie okolicy.

Na tyłach budynku nie było zagrod. Równa przestrzeń prowadziła wprost do tunelu w ścianie grotty. Tunel był wielki.

-Proszę, przed nami drzwi frontowe - stwierdził Logan.

-Przed nami jest jeszcze coś - zauważył Hosteen. Miał rację. Paliki stanowiące barierę dźwiękową tworzyły wokół budynku zamknięty krąg. Żeby dotrzeć do kuszających "drzwi frontowych", trzeba było jeszcze raz przebyć ich linię. A to znaczyło... Poza tym stale miał wrażenie, że czyha tu gdzieś na nich niebezpieczeństwo. Dlaczego? Jedyną żywą istotą, jaką spotkali, był placzyk, który nie wiadomo jak się tu dostał. Kosci stworzenia, które kiedyś zamieszkiwało jedna z zagrod, były tak stare, że się rozsypywały. A jednak instynkt ostrzegał go za każdym razem, gdy spoglądał na ogrodzone kwadraty. Coś tam się kryło, coś, czego jeszcze nie ujrzeli.

-Patrz! - Logan położył mu dłoń na ramieniu wskazując wejście do tunelu. - Tam, obok tego słupa.

Brzegi wejścia były ociosane i tworzyły rodzaj łączących się z macierzystą skalą kolumn. U stóp jednej z nich na ziemi leżał ciemny klebek. Hosteen nastawił ostrość w lornetce. Połmrok był mylący, ale nie na tyle, by nie można było rozpoznać, że leżał tam człowiek.

-Widders? - spytał Logan.

-Być może.

Zdawało mu się, że sylwetka drgnęła, jakby usiłując unieść rekę. Jeśli był to Widders, który przekroczył barierę dźwiękową, to

możl byc nieprzytomny.

-Idziemy! - Zawolał Hosteen schodzac z dachu.

-I to szybko - odparł Logan.

To moglo byc najlepsze wyjście: rzucic sie miedzy paliki z impetem wystarczajacym, by przedrzec sie przez barriere. Hosteen nie potrafil wy myslec niczego lepszego. Sprawdziwszy umocowanie ekwipunku staneli przy scianie budynku i pedem ruszyli naprzod. Hosteen zgial sie wpol czujac przeszywajace go fale dzwiekowe i wyladowal koziolkujac poza ich linia, starajac sie zwalczyc zaburzenia swiadomosci. Logan poszybował za nim wymachujac w powietrzu rekami i nogami i upadł tuz obok.

Ziemianin dzwignal sie na kolana. Tym razem szok byl chyba slabszy. Podpelzl do Logana, który staral sie usiasc, i przez zacisniete zeby wyszeptal:

-Udalo sie...

Przysiedli, wspierajac sie ramionami, az przejasnilo im sie w glowach i mogli utrzymac sie na nogach. Wtedy ruszyli ku czlowiekowi. Hosteen rozpoznał podarty kombinezon.

-Widders! Widders!

Podszedł chwiejając się i przykleknał przy nieruchomym kształcie. Utkwil niedowierzające spojrzenie w odrzuconej rece.

Skora i kosci, kosci, które dziurawily ciasno opieta na stawach skore! Walczac ze swym lekiem przed zmarlymi, z wrodzona obawa przed skalaniem się, obrocił ciało na wznak.

-Nie! Nie! - W krzyku Logana brzmiało przerazenie.

To cos bylo kiedyś Widders, tego Hosteen byl pewien. Teraz mozna bylo tylko przypuszczac, ze byla to istota ludzka.

Ziemianin wepchnal rece gleboko w piasek i tarl nimi z calej sily zastanawiajac sie, czy kiedykolwiek bedzie w stanie zapomniec, ze dotknal tego... tego...

-Co zrobilo... to? - wyszeptal Logan.

-Nie wiem.

Hosteen podniosl sie przyciskajac jedna reka nagle ciezki zoladek. Instynkt go nie zawiodl. Gdzies tu kryl sie myśliwy. Myśliwy, ktorego sposob odzywiania sie byl niemozliwy do przyjecia dla czlowieka przy zdrowych zmyslach. Musza sie stad wydostac... natychmiast!

Szarpnal Logana popychajac go w strone tunelu, do ktorego musial zmierzac Widders, gdy zostal powalony. W tej jaskini czailo sie cos okropnego, co nie zginelo w zagrodzie, jesli kiedykolwiek bylo tam zamkniete.

Przebiegli przez otwarta przestrzen i wpadli w ciemnosc tunelu. Pedzili tak na oslep, az ostry, opasujacy bol odebral im oddech, a przerazenie nie moglo juz zmusic cial do dalszego wysilku. Opierajac sie o siebie, jakby dotyk cial chronil przed oblednym strachem, siedli na ziemi, z trudem wciagajac do pluc martwe powietrze.

Rozdzial 12

-To... otwarte... przejście - wydyszał Logan.

Miał racje. To, co dosięgło Widdersa, mogło dostać się i tutaj. Może nawet czyhało już gdzieś przed nimi.

Ramię, którym Hosteen objął drgające barki brata, stęzało. Nie może dać się ponieść panice - to by oznaczało pewną śmierć dla nich obu. Musi myśleć jasno.

-Mamy granaty i latarkę - pocieszał siebie i Logana. - Widders nie miał niczego. Cud, że dotarł tak daleko.

Logan powoli uspokajał się.

-Miałem stracha jak szczur w pułapce, nie ma co! - odpowiedział z cierpkim humorem, który pomagał mu w trudnych momentach. - Nigdy jeszcze tak nie zwiewałem.

-Zwiewaliśmy obojwaj - odparł Hosteen. - Zdaje się, że nie zostałem z tyłu, co? Ale myślę, że ten szczurzy etap mamy już za sobą.

Logan niezgrabnie uściskał rękę brata.

-Masz racje. Trochę nas poniosło. Ale teraz musimy się trzymać, nie wiadomo, co nas jeszcze może spotkać. Będzie twardy.

-W porządku - odparł Hosteen. - Ruszamy dalej, no, może trochę wolniej.

Niezdecydowany, dotknął latarki. Czy, gdyby ją włączył, nie wskazałby celu potworowi? Zdecydował się jednak. Widząc przeciwnika, będą mogli użyć granatów.

Korytarz ciagnal sie i ciagnal, a Hosteen podziwial rozmiary podziemi. Labirynt musial obejmowac co najmniej kilka szczytow. Na pewno byli juz daleko od gory, na ktora zawlekli ich Norbisowie.

Nie widzieli zadnych sladow swiadczacych o tym, ze ktos tu dotarl przed nimi. Szok, jaki przezyli natknawszy sie na zwloki Widdersa, oslabl juz. Nagle Hosteen dostrzegl szarawy blask. Wylaczyl latarke i ostroznie podeszli do otworu kolejnego korytarza.

Z jego sklepienia zwisaly stalaktyty, a na dnie stal rzad stalagmitow grubych jak ludzka noga. Lukowaty strop tunelu przebity byl w trzech miejscach, a owalne otwory zasloniete czerwona, przezroczysta substancja, przez ktora wpadajace swiatlo nabieralo barwy krwi.

Nad nimi swiecilo slonce, palace slonce Wielkiej Suszy. Przycupneli pomiedzy slupami i, oslaniajac oczy przed blaskiem, starali

sie dojrzec jakas droge, ktora przeprowadzilaby ich przez rozzarzona pustynie.

W drgajacym od upalu powietrzu dostrzegli, ze w dal biegnie rzad palikow - takich samych jak te, ktore tworzyly dzwiekowa bariere w grocie. Hosteen spojrzal przez lornetke, ale blask bijacy z rozzarzonego nieba byl rownie zwodniczy, Jak mglisty polmrok groty zagrod.

-Musimy poczekac na zmierzch - Logan podciagnal kolana i objal je ramionami. - W tym skwarze nikt nie wytrzyma dluzej niz

pol godziny.

Jak daleko siegal rzad palikow? Czy zdazyliby idac tedy dotrzec do jakiegos schronienia przed nastepnym dniem? I czy nad nimi rzeczywiscie byla otwarta przestrzen?

-Otwarta przestrzen? - powtorzyl glosno.

-Co, myslisz, ze to jeszcze jedna jaskinia z kontrolowanym klimatem dla czegos, co lubi sie smazyc?

-A te paliki? Tu tez musiala byc bariera dzwiekowa.

-Teraz jest w niej sporo dziur - zmruzywszy oczy Logan spogladal przed siebie. - Wracamy czy probujemy?

-Mysle, ze sprobujemy. Przynajmniej kawalek. Wyruszmy, kiedy nadejdzie noc, jesli w ogole nadejdzie, i jesli w bezpiecznej odleglosci nie znajdziemy konca - zawrocimy.

-To brzmi sensownie - stwierdzil Logan. - Czekamy.

Nadzieja byla watla. Wszystko zalezalo od tego, czy byla to kolejna jaskinia z kontrolowanym, zabojczym dla nich, klimatem, czy tez miala ona polaczenie ze swiatem zewnetrznym. Ludzkie oczy nie mogly spojrzec w pieklo, ktore, byc moze, bylo niebem. Hosteen sadzil, ze w chwili, gdy weszli do korytarza, temperatura i swiatlo odpowiadaly wczesnemu popoludniu. Poczekaja wiec na noc, ktora moze nie zapasc, a wtedy beda musieli rozpoczac dluga droge powrotna do jaskini, w ktorej zamkneli ich Norbisowie.

Trzymali warte, spiac niespokojnie na zmiane, a czas powoli pelzil

naprzod. Nagle Hosteena obudzilo szarpniecie.

-Patrz!

Tam, skad przedtem padalo swiatlo, ktorego oczy nie mogly zniesc bez bolu, teraz lsnila czerwona poswiata. Ziemianin widzial ja zbyt wiele razy, by sie mylic. Tak, zblizala sie noc. Musza poczekac tylko, az zapadnie zmierzch, i moga ruszyc droga wzdluz palikow. Zjedli, popili oszczednie woda i czekali niecierpliwie, az czerwien

przejdzie w purpore, purpore, ktora oznaczala wolnosc. Gdy tak czekali, Hosteen, czujac dziwne napiecie, podszedl nieco do przodu pomiedzy rzedami stalagmitow. Dlaczego? Z pustyni lezacej przed nimi nie dochodzil zaden dzwiek, nic sie tam nie poruszilo.

Dzieki lornetce siegal wzrokiem daleko przed siebie, ale widzial tylko nagie skaly i paliki ustawione w przerywanej miejscami linii. Zadnej roslinnosci, nie moglo wiec tu zyc zadne ze stworzen, jakie widzial dotad na Arzorze. A jednak gdzies w glebi czul rosnacy strach przed tym wypalonym sloncem miejscem. Napiecie bylo duzo wieksze niz w ktorymkolwiek z przejsc czy jaskin, ktore przebyli.

-Co to jest?

Hosteen spojrzal przez ramie. Logan sprawdzal troczki manierek, ale teraz tez patrzyl przed siebie mruzac oczy.

-Nie wiem - odparl powoli. - To... dziwne...



Z miejsca, gdzie leżał Widders, uciekali ze strachem i grozą. Teraz, gdy Storm porównywał te uczucia, wiedział, że to, którego doświadczali w tej chwili, było czymś zupełnie innym. Tamto było po części strachem fizycznym, to zaś czymś bardziej złożonym, tortura drecząca umysł, nie ciało.

-Idziemy - w głosie Logana nie było pytania, raczej obietnica, a może wyzwanie dla czegoś, co było przed nimi. Zaciśnął zęby. Musiał stawić czoła czemuś, przed czym się wzdragał.

-Idziemy - potwierdził Hosteen.

Każde włókno jego mięśni walczyło z tym postanowieniem. To, co początkowo było niepokojem, przerodziło się w drżącą, rozpaczliwą walkę jednej, głęboko zakorzenionej, części jego istoty z żelazną determinacją drugiej. Wiedział jednak, że gdyby nie stawił czoła temu czemuś, co na nich czekało, byłby w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób złamany, równie okaleczony jak gdyby stracił rękę lub nogę.

Zmierzchało. Ruszyli powoli, ramie w ramie, wychodząc z tunelu. Logan chwycił Hosteena i zmusił go do odwrócenia się.

Przez jedną straszna chwilę Ziemięnin sądził, że stoi przed przedmiotem swoich lęków. Potem domyślił się prawdy. Wrota tunelu wyrzeźbiono tworząc dziwny i okropny kształt. Wynurzyli się z zębatej paszczy trojokiego potwora przedstawionego na podobieństwo czaszki, którą znaleźli nad podziemną wodą. Jego oczy polyskiwały - to były te owalne, czerwone otwory, które widzieli od środka. Widząc wykrzywiony pisk, Hosteen ani przez moment nie wątpił, że artysta widział swój model na żywo.

-Czy to prawdziwa wielkosc trojokiego? - Logan odzyskawszy glos usilowal nadac mu dawny, lekki ton.

-Kto wie? W kazdym razie wyszlismy na zewnatrz, to lepsze niz isc w druga strone.

-Jeszcze mozemy tego zalowac!

Pobiegli, oddalajac sie od zdobionych maska drzwi. Przestrzen ograniczona przez linie palikow byla gladka, choc w swietle latarki nie bylo widac zadnej, specjalnie kladzonej nawierzchni. W kazdym razie mozna bylo isc po niej w tempie, jakie musieli utrzymywac. O polnocy zobacza, czy moga podazac dalej, czy musza wrocic pomiedzy czekajace ich szczeki trojokiego potwora.

Zadnego dzwieku, nawet podmuchu. Ale... Hosteen zatrzymal sie i oswietlil ocienione miejsce pod skala na lewo. Skaly. Nagie skaly. A jednak... chwile przedtem, nim je oswietlil, bylo tam cos, co skradalo sie, weszac, ku linii palikow. Moglby przysiac, ze slyszal ciezki oddech, zgrzyt pazurow po skale i turkot potraconego kamienia.

-Niczego tam nie ma!

Logan chwycil go za nadgarstek, kierujac swiatlo latarki w druga strone, ku szczelinie w ziemi. No tak! To stworzenie czai sie tam, czekajac, kiedy odwroca sie w przeciwna strone, zeby... Naga skala... pusta szczelina i... nic!

-Cos... cos tu musi byc. - Logan z trudem nad soba panowal. Przeciez mieli tu bariere dzwiekowa dla ochrony, prawda?

-Kiedys - odparł Hosteen.

Duchy... upiory? Czyzby duchy budowniczych tej drogi lub artysty, który wyrzeźbił smocza paszcze... czy też może dziwnych form życia, które zamieszkiwały tę wypaloną równinę i przed którymi nawet budowniczowie tego miejsca musieli się zabezpieczać?

Ruszył naprzód. Logan szedł za nim krok w krok. Zaczeli iść powoli, ale tempo marszu rosło, bo dziwaczne i groźne otoczenie pozbawiało ich resztek panowania nad sobą.

Krakanie? A może chrapliwy oddech? Tam! Tym razem Hosteen był pewien, że niebezpieczeństwo kryło się w cieniu niedalekiego pagórka. Zaciśniętych palców w jednej ręce, drugą wyciągnął latarkę tak gwałtownie, jakby to była lufa emitera. Skala. Tylko skala.

-Spokojnie! - nie zdawał sobie nawet sprawy, że wydał sobie ten rozkaz na głos.

Załóżmy, że były tu jakieś stworzenia, które dla zmylenia wroga potrafiły rzutować wrażenie swojej obecności w miejsca, gdzie ich wcale nie było? Dzięki treningowi, jaki przeszedł w związku z pracą w drużynie zwierząt, poznał tajniki pozazmysłowego kontaktu między człowiekiem a zwierzęciem. Kto wie, może niektóre z tych technik dałyby się zastosować także pomiędzy człowiekiem i czymś nieznanym?

Czy właściwość psychiki, która tak ściśle wiązała go z jego zwierzętami, mogła wyjaśnić, co było przyczyną tego szarpiającego nerwy ataku? Bo był pewien, że to atak, daleko subtelniejszy, ale

i bardziej niszczący niż jakakolwiek napaska fizyczna.

Po omacku, jak niewidomy w nieznannej okolicy, Hosteen starał się nawiązać kontakt z tym czymś. Czy to była jakaś inteligencja? A może urządzenie, którego zadaniem było odstraszenie intruzów?

Nagle coś... jakby obecność. Ziemiak był pewien, że nawiązał kontakt. Tak pewien, że zatrzymał się i obrócił powoli ku ciemności, skąd nadszedł sygnał. Czy reszta była tylko gra wyobraźni? Nie mógłby tego dowiedzieć, ale wiedział, że było to jakieś pozazmysłowe spotkanie z kimś lub czymś, co niegdyś pozostawało w tak idealnej komunikacji z budowniczymi podziemnego labiryntu, jak ta, która łączyła jego z drużyną.

Starając się utrzymać ten kontakt, jednocześnie przekazywał nieznanemu stworzeniu pragnienie spotkania. Ale krucha nitka urwała się tak samo nagle, jak została nawiązana.

Zamiast niej napłynęła fala gniewu przebudzonego strażnika, a może walczącego o przetrwanie niedobitka? Atak, zarówno psychiczny, jak i emocjonalny, był tak silny, że gdyby trwał dłużej, zalałby obu ludzi.

Cienie szalały teraz, skrecały się, pelzały i skradaly ku nim. W świetle latarki każdy z nich rozwiewał się w nicność, ale na jego miejsce pojawiały się dwa nowe. Logan krzyknął ochryple i zaczął ciskać przed siebie kamienie i garści ziemi, ale cienie otaczały ich i było ich coraz więcej.

Była to furia, jakby sam trójoki potwór biegł niespokojnie w tę i z powrotem wzdłuż jakiejś niewidzialnej bariery nie do pokonania,

gotow rzucic sie na przybyszow. Czujac to, Hosteen nakazal:

-Nie ruszaj sie!

Logan zastygl, z jedna reka uniesiona do rzutu.

-Idziemy dalej...

Hosteen, posluszny wlasnemu rozkazowi ruszyl przed siebie zmuszajac sztywne nogi do marszu. Tam... tam cos pelzlo przez droge, tuz przed nimi... gotowe... Na lewo... dwa... zblizajace sie do nich. Byli otoczeni.

Logan wlokl sie obok. Pod wplywem swiatla przestrzen pustoszała, ale intruzi czuli takie napiecie, ze Hosteen nie byl pewien, czy dlugo je wytrzymaja.

Logan nagle obrocil sie, niemal warczac, w lewo, siegnal do pasa i cisnal w ciemnosc jeden z granatow. Blask na chwile ich oslepil.

A potem... nic! Odpowiedzia na eksplozje byl nagly wybuch energii w ich umyslach, a teraz... pusty obszar pod nocnym niebem, ani sladu zycia. Wstrzasnieni, stali przez chwile dyszac ciezko, a potem zaczeli biec. Zblizali sie znow do jakiejs gory, na ktora mogliby sie wspiac przed wschodem slonca.

Droga zaczela sie pomalu wznosic ponad poziom otaczajacego gruntu. Kiedy Hosteen poswiecil w dol, okazalo sie, ze pokrywaja czarna substancja uzywana przez Nieznanych.

Byli juz wysoko w gorze, gdy doszli do skraju. Droga konczyla sie szerokim placem, ktorego wierzcholek dotykala skalnej sciany. Nie widac bylo ani rysy, ani ukrytych drzwi, ani zadnej innej sciezki.

Droga, która zajęła im tyle czasu, kończyła się tutaj.

-Myślisz, że to ładowisko smigłowców? - spytał Logan, gdy po raz drugi obeszlili plac. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, ręce oparł na kolanach.

-Co teraz? Wracamy?

Ziemiańnin w skrytości ducha wątpił, by udało się im wrócić przed świtem. Nie było to aż tak daleko, ale wyczerpała ich walka z cieniami. Zmęczenie fizyczne i psychiczne powodowało, że wzdrygnął się na myśl o powrocie. A jednak, jeśli chcieli przeżyć, musieli zdążyć przed wschodem słońca.

Przykucnął i bez uswiadomionej przyczyny zaczął omiatać powierzchnię placu światłem latarki. Nagle dostrzegł na niej wzór i poczuł przyływ świeżych sił. Na czarnej powierzchni widniała lśniaca, szklista, skrecająca się spiralnie linia. Rozpoczynała się w miejscu, gdzie droga przechodziła w trójkątną płaszczyznę i zwiłajała się stopniowo kończąc kołem, w którym mógł stanąć tylko jeden człowiek.

Nigdy później nie mógł wytłumaczyć, dlaczego to zrobił. Wynikało to chyba z dziwnego wpływu tego miejsca. Jedno, co wiedział, to to, że musi działać.

Wstąpił na spirale i zaczął iść nią dookoła, aż do centrum, pilnując, by nie przekroczyć ograniczających linii. Jak przez wate słyszał natarczywe pytania Logana. Ale dźwięk i słowa nie były teraz ważne. Najważniejszą na świecie rzeczą było przejście tej drogi bez błędu. Nie było innego sposobu przekroczenia drzwi, które stanowiło centralne koło. "Drzwi?" - zdziwiła się jakas część

jego umysłu. "Jak? Dlaczego?". Uciszył pytania. Zeby przejść uważnie, nie wykraczając poza linie, cała spirala, musiał być w pełni skoncentrowany. Szedł powoli, stawiając jedną stopę dokładnie przed drugą, balansując niby na gorskiej grani. Tylko w ten sposób było to bezpieczne. "Bezpieczne?". To pytanie także stłumił.

Był już w kole, zwrócony twarzą w stronę, z której przyszli, ku ciemnym gorom, gdzie leżała jaskinia zagrod i reszta posiadłości tajemniczych przybyszów. Stał i czekał. "Na co?" - wołał zdrowy rozsadek.

Ciemność. I uczucie wyzwolenia z ograniczeń czasu i przestrzeni. Znowu światło i następna droga, następna spirala, ta świecąca - miał ją przejść nie stopa, lecz siła umysłu. I uczynił to - z tym samym skupieniem, co na trójkątnym placu. Był już na jej środku, a wokół unosiła się świetlista mgła.

## Rozdział 13

Było tak, jakby się budził z głębokiego snu. Zwalczył oszołomienie i zdał sobie sprawę, że nie znajduje się już na placu pod rozgwieźdzonym niebem. Stał na bloku skalistej substancji, a wokół roztaczała się rdzawa poświata, której źródłem było chyba samo powietrze. -Logan! - zawołał, chociaż wiedział, że odpowiedź nie nadejdzie. Był tu sam. Wiedział, że miejsce to jest czymś obcym, jakimś dziwnym wygnaniem.

Dzięki treningowi, jaki przeszedł, udało mu się pokonać panikę. Szedł droga stworzona przez obcych. Musiała mieć jakiś cel. Przywiodła go tutaj. Teraz musiał dowiedzieć się, gdzie było to "tutaj".

Zeskoczył z bloku i rozejrział się. Był w bardzo małym, trójkątnym pomieszczeniu. W jego ścianach nie było okien ani drzwi. Przypuszczenie, że został uwieziony, znowu obudziło strach. Spiralny szlak nie prowadził na zewnątrz, tylko do tego bloku, trzech ścian, sufitu i podłogi. Z tego, co widział, wszystkie były lite i solidne.

Ale poznanie nie kończy się na wzroku. Podszedł do najbliższej ściany i przeciągnął koniuszkami palców po jej śliskiej powierzchni. Była gładka jak szkło i ciepła, a oczekiwał chłodu kamienia.

Przeszedł tak wzdłuż ściany, aż palce trafiły na ostry róg pomieszczenia. Wtedy rozpoczął wędrowkę wzdłuż drugiej ściany. Dotarł do jej środka i poczuł, że powierzchnia nie jest tam gładka, choć zmiana była niewidoczna dla oczu. Znalazł trzy wgłębienia, nieco szersze niż jego palce. Przypomnił sobie o zamkach używanych na wewnętrznych planetach, które zakodowane na odciski palców właścicieli otwierały się tylko pod wpływem dotknięcia ich dłoni. Jeśli był to zamek tego typu, nie miał szans. Palce czy wyrostki, na które był zaprogramowany, dawno rozsypały się w proch. A jednak wcisnął palce w zagłębienia z nadzieją, że coś się stanie.

Mrowienie zaczęło się w koniuszkach palców, rozszerzyło na grzbiet dłoni, nadgarstek, wreszcie przedramię. Mrowienie? A może ssanie? Szkliste zagłębienia wyciągały siłę z jego ścięgien i mięśni. Chwycił nadgarstek drugą dłonią, bo gdy chciał cofnąć palce, poczuł, że są przytrzymywane siłą, której nie jest w stanie pokonać.

Oparł się o ścianę i wykreślił lewą ręką nadgarstek prawej,



usilujac oderwac ja od muru. Czul, ze sila wycieka z niego po kropli, wzdluz kazdej zyly i przez kazdy por skory trzech palcow.

Wtedy sciana zadrzala, rozjasnila sie i rozsunela od gory do dolu. W miejscu, gdzie dotykal jej reka, rozstapila sie tworzac szczeline szerokosci metra. Runal przez nia i czym predzej wyczolgal sie na zewnatrz. Wydostal sie!

Logan! Logan zostal tam, na trojkatnej plaszczyznie i czekal na slonce - plonacy oddech Wielkiej Suszy. Logan! Czy uda mu sie... czy potrafi przejsc te sama droge?

Podniosl sie chwiejnie, przyciskajac prawe ramie do piersi. Reka byla zupełnie dretwa, blada, a jego wysilki, by poruszyc palcami, spelzly na niczym. Wetkнал ten zimny i ciezki ksztalt pod koszule i gdy rozejrzal sie dokola, zaraz o nim zapomnial.

Zamiast przytlumionego, rdzawego swiatla wewnatrz klatki, w ktorej byl uwieziony, panowala tu zlotawa poswiata, jaka pamietal z Groty Stu Ogradow. Z nadzieja na nastepny taki widok pokustykal ku barierce stojacej o kilka metrow przed nim. Spojrzal w dol, lecz zamiast oczekiwanego ogrodu ujrzal obszerna hale pelna maszyn i urzadzen. Biegl od nich cichy szum i vibracja. Pracowaly! Nigdzie jednak nie bylo widac obslugi. Ani ludzi, ani robotow.

-Wlaczyli i zostawili... beda tak pracowac zawsze? - szepnal do siebie.

Po co?

Ruszył wzdluz galerii szukajac zejscia na dno hali. Byla ona

owalna, z wejściem w wezszym koncu. Zdumiewała zarówno jej wielkość, jak i złożoność mieszczących się tu urządzeń.

Ziemianin przeszedł szkolenie o profilu psychobiologicznym. Po swych przodkach odziedziczył wiedz z natury i jej siłami: to one były dla niego oparciem tak, jak dla ludzi rasy białej oparciem stała się z czasem technika. Na tym bazowała jego edukacja i w tym kierunku skłaniały się jego zainteresowania. Tak więc cechy zarówno wrodzone, jak i wykształcone uczyniły z niego człowieka, który traktował wszelką maszynę nieufnie. Żeby być Mistrzem Zwierząt, trzeba było być antytechem.

Kiedy tak patrzył w dół, jego niechęć do maszyn zamieniała się we wstęty. Rozumiał tych, którzy stworzyli Grote Ogrodów. Mogł pojąć motywy - choć nie przyznawał im racji - tych, którzy utrzymywali podziemną hodowlę tajemniczych zwierząt w grocie zagrod. Zajmowali się przynajmniej żywymi stworzeniami. Ale obecność tych urządzeń wzniosła pomiędzy nim a ich twórcami mur nie do przebycia.

Niechęć nie stłumiła jednak zmysłu obserwacji. Zauważył, że pracowała zaledwie część maszyn. Przechodził wzdłuż całych sektorów, z których nie dobiegał charakterystyczny szum. Nagle ujrzał platformę.

Wznosiła się nie więcej niż pół metra ponad podłogę hali i przylegała do wielkiej, sięgającej niemal balkonu, tablicy, która była pokryta plataniną linii i rur tworzących niezrozumiały wzór. Jedną z nich zataczała nieregularne koło i świeciła. Pulsowała tym samym lawendowym kolorem, jaki odróżniał niebo Arzoru od utraconego nieba Ziemi.

Obok biegły dwie, także kolorowe, linie. Jedna, złocistożółta, zaczynała się prostym słupem u dołu tablicy, dochodziła do połowy jej wysokości i tam gasła, choć sama rura biegła wyżej dzieląc się na wiele galezi. Ta pulsowała szybciej. Trzecia... Widok trzeciej przykuł jego uwagę.

Była to spirala, kończąca się jasnym punktem. Świeciła coraz jasniej, aż w końcu nie mógł znieść jej blasku. Światło wędrowało wzdłuż spirali, aż dotarło do punktu, gdzie przez chwilę rozbłysło jeszcze mocniej. Potem cały wzór zgasł i niczym nie różnił się od setek innych linii. Nie zmyliło to jednak Hosteena. Widział światło tak jasne, jak słońce w porze Wielkiej Suszy.

Zawrócił i zaczął biec w stronę trójkątnego pomieszczenia, w którym był przedtem.

Logan! Lśniaca spirala mogła znaczyć, że Logan poszedł w jego ślady! Mogł już tu być!

Ziemianin pedził tak, że wpadł na znow zamkniętą ścianę tajemniczej klatki z takim impetem, z jakim wpadł na ścianę jaskini, wrzucony tam przez Norbisów na początku tej przygody.

-Logan! - krzyknął.

Przestrzeń hali wchłonęła głos bez echa. Uderzył w ścianę zdrową pięścią i wyciągnawszy, ciągle dretwa, prawą dłoń zza koszuli, usiłował wyczuć jakieś zagłębienie po tej stronie.

Dziury na palce. Znalazła je lewa ręka. Zawahał się - jeśli i ona zdretwieje, będzie bezbronny. Ale Logan... trzeba go wydostać z pustynnej pułapki. Wzdrażał się przed tym, ale wepchnął trzy

palce w zagłębienia. Czekal na mrowienie... i ssanie.

Tym razem odpowiedz nadeszła szybciej, jak gdyby nie używany od dawna zamek rozruszał się. Ściana rozstąpiła się. Hosteen zajrzał do środka. Nie było tam nikogo. Był tak pewien, że zobaczy Logana, że przez chwilę nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

-Logan!

I znowu, chociaż krzyknął z całych sił, jego głos zmieniony, splaszczony, rozplynął się w wypełniającym halę powietrzu.

Przerwa w murze już się zamykała. Niepewnie podniósł do czoła prawą rękę. Teraz nieufność, niechęć do maszyn, których nie rozumiał, płonęła w nim jasnym płomieniem, rozgrzewającym nawet zimne, zbielełe palce. Z najwyższym wysiłkiem zacisnął je czując, jak paznokcie drapia skóre czoła.

Spirala na tablicy... Była ona miniatura wzoru zdobiącego trójkątny plac, ścieżki, która przywiodła go tutaj. Był pewny, że jej blask oznaczał, iż użyto tej - albo takiej samej - ścieżki. Więc... może sekret krył się w tablicy!

Zostawiwszy trójkątne pomieszczenie - znowu szczelnie zamknięte - Hosteen ruszył balkonem w drugą stronę, szukając zejścia w dół. W końcu znalazł je - nie rzucające się w oczy schodki wycięte w ścianie hali. Chwycił poręcz, czując z radością, że odretwienie mija, choć nadal ręka ciążyła mu jak ołów.

Zszedł i skierował się ku platformie. Większość maszyn chroniła masywne obudowy gorące nad nim wysokością.

Nie było tu zadnego pyłka, niczego, co wskazywałoby na to, że hala ta powstała przed wiekami i że przez wieki była opuszczona. A jednak nie miał wątpliwości, iż stanowiła ona część cywilizacji Zamkniętych Grot.

Był już niedaleko, gdy nagle zatrzymał się. Od strony platformy dobiegł nasilający się pomruk. Na tablicy rozbłysnął następny wzór, najpierw błękitny, potem biały, coraz jaśniejszy. Hosteei zakrył oczy. Kiedy je znowu otworzył, na platformie, przodem do tablicy stał człowiek!

-Logan!

Usta ułożyły się do krzyku. Na szczęście nie wydostał się z nich żaden dźwięk, bo mężczyzna nie był Loganem. Był wyższy i nie nosił stroju Norbisa, lecz zielony kombinezon, który Hosteen znalazł. Był to mundur Centrum, który on sam musiał nosić przez rok swego pobytu w Rehabie. To tam bezdomnych Ziemiaków poddawano obserwacji i albo kwalifikowano do osadnictwa, albo kierowano na psychowarunkowanie. Hosteen przesunął się powoli wzdłuż obudowy urządzenia.

Kiedy rakieta ratunkowa roztrzaskała się na zboczach, byli w niej ludzie z Rehabu. Czy to mógł być jeden z rozbitków, jak on i Logan wtracony do labiryntu? Ale nie zachowywał się jak człowiek zagubiony. Poruszał się pewnie, niczym zawodowy technik na służbie.

Przyglądał się splatanym na tablicy rurom. Potem odwrócił się, ukazując Hosteenowi swój profil.

Rysy miał ludzkie, ale pomalowany był jak norbiski czarownik:

wokol oczu czerwone pierścienie, skomplikowany rysunek na policzkach, zupełnie jak u widzianych przez Storma wojowników z Blekitnej. Na szyi zawiesił sobie mały bebenek. Przybysz, który zdobił twarz jak barbarzyński czarownik, potrafił jednocześnie obsługiwać skomplikowane maszyny pozostawione przez zaginioną cywilizację!

Obcy wyciągnął ręce, a następnie przesunął je starannie odmierzoną ruchem wzdłuż linii małych galek. Nie dotknął żadnej, przesunął tylko nad nimi otwartą dłoń.

Tablica odpowiedziała. Linia żółtego światła, która pulsowała w pionowej rurze, przedarła się przez barierę - cokolwiek ją stanowiło - i pomknęła w górę tuzinami włókien rozgaleziających się i znowu łączących, aż rozświetlona całość wyglądała jak szkielet bezlistnego drzewa. Jaskrawe światło dotarło do szczytu tablicy. Hosteen poczuł, że wokół zbiera się jakaś energia, potęga, która czeka na uwolnienie.

Z daleka dobiegł go przerażająco głośny huk gromu, a za nim seria ech. Hosteen przyłgął do maszyny.

Zamknął oczy i zdało mu się, że znalazł się w samym sercu szalejącej burzy. Czuł, jak wściekły bicz błyskawicy przecina czarne niebo pokryte chmurami tak ciężkimi, jak skały, nad którymi zawisły. A coś małego i słabego jak on, człowiek, może jedynie szukać schronienia przed żywiołami, wobec których był niczym.

Ale gdy otworzył oczy, ujrzał tylko mężczyźne w wyblakłym kombinezonie, obserwujące pulsowanie światła w przezroczystej rurze. Obcy znowu przesunął dłoń na galkami.

Drzewo zaczęło obumierać, zółc - kurczyć się, uciekać wzdłuż włókien, pozostawiając puste rury. Znowu wypełniała tylko pionowy pian, z którego przedtem wyrosły galezie.

Burza minęła. Ale nieznajomy był ciągle zajęty. Przeszedł wzdłuż tablicy, zatrzymując się od czasu do czasu na dłuższą chwilę i przyglądając się poszczególnym elementom spletanego wzoru. Raz czy drugi pomagał sobie palcem śledząc którąś z pętli. Być może, nie znał jeszcze ich działania.

W końcu podszedł do bliższego Ziemi ninowi końca platformy i stanął na małym podium. Na prawo od niego znajdował się kolejny rząd galek. Trzymając ręce jakieś pół metra przed nimi, mężczyzna uderzył dłoń o dłoń, jak gdyby okłaskując triumf. Wtedy...

Hosteen zrobił krok do przodu. Podium było puste. Człowiek, który stał tam przed chwilą, zniknął jak duch. To było jak czary, o których kiedyś, na Ziemi, opowiadał mu dziadek.

Zmusił się do wejścia na platformę, podszedł do podium. Nie było w nim żadnej szczeliny, niczego, kłóredy można by się było wydostać. To urządzenie budziło w nim wstret, jak zresztą wszystkie zgromadzone wokół maszyny. A jednak, podobnie jak wcześniej, gdy coś zmusiło go do przejścia spiralną ścieżką, teraz jego ręce poruszyły się wbrew woli. Powtórzył gest obcego, dłoń lekko klasnęła o dłoń.

Znowu zawrót głowy i uczucie, że jest w jakiejś dziwnej, pozbawionej wymiarów, przestrzeni. A jednocześnie błysk triumfu: tajemne sztuki dawnej rasy służyły śmiałkowi.

Usłyszał nagle przed sobą szmer głosów. Opadł na czworaki i w tej pozycji, ostrożnie, ruszył w dalszą drogę. Zobaczył światło dnia - to już chyba poranek? Nie było jednak tego potwornego blasku, który panował w dolinie trójkątnego placu i poza Blekitną.

Czy jakieś wynalazki mieszkańców Zamkniętych Grot rzeczywiście mogły chronić tę niedostępna kraina przed ognistym słońcem Suszy? Czy ich wiedza, która zaowocowała systemem podziemnych przejść i jaskiń, mogła też umożliwić kontrolę klimatu na otwartej przestrzeni? Ale nie było czasu na rozważania.

Leżąc na brzuchu nieopodal wyjścia z tunelu. Zaczął pełznąć powoli w jego kierunku i ukrył się za ograniczającą go skałą.

Norbisowie zebrali się w dole, nie w regularnych rzędach, ale tworzyli niewielkie grupki pod przewodnictwem swych wodzów i czarowników dzierzających drzewca pokoju. Takie spotkanie plemion i szczepów zdumiałoby każdego osadnika. Stały obok siebie rody, które prowadziły ze sobą wojny na długo przed wylądowaniem na Arzorze pierwszego statku badawczego. Siła magii, która wprowadziła rozejm między tradycyjnie nienawidzącymi się szczepami, musiała być rzeczywiście wielka.

Shosonna, Nitra, Warpt, Ranagowie z południa, nawet Gousakla, którzy zamieszkiwali wybrzeża, więc żeby tu przybyć musieli przejść tysiące mil w najgorszym dla wędrowców czasie. Były tu też totemy plemion i szczepów, jakich Hosteen nigdy nie widział i o jakich nie słyszał.

Storm naliczył ponad sto różnych drzewców, a wiedział, że nie wychylając się ze schronienia, nie jest w stanie zobaczyć



wszystkich. Musieli zebrac sie tu przedstawiciele kazdego szczepu z calego kontynentu.

Pomruk bebenkow, w ktore uderzali czarownicy, zlewal sie w jeden, zniewalajacy rytm. Szczuple, zoltawe ciala kolysaly sie do przodu i do tyłu, ale Norbisowie stali wciaz w miejscu. Dolecial go swad spaleniżny, dostrzegl slady, gdzie niedawno musialy uderzyc ogniste bicze.

Loskot bebnow narastal. I nagle zapadla cisza. W tej ciszy rozleglo sie znow cichutkie bebnienie, niby szum deszczu po burzy. W dole, w pewnej odleglosci od Hosteena ukazal sie czlowiek z hali maszyn. To jego palce uderzaly w bebenek wydobywajac zen ten delikatny dzwiek. Podjal go pierwszy, za nim nastepny i reszta sposrod czarownikow.

## Rozdzial 14

Przybysz wyrzucil rece do gory ponad glowe, ktora w swietle slonca lsnila rudozloto, jak plomien. Zaczal mowic, nie uzywajac jednak jezyka migowego. Poplynely ptasio swiergotliwe dzwieki, co do ktorych autorytety naukowe byly zgodne, ze nie moga wyjsc z ludzkiego gardla. Przemawial do Norbisow w ich wlasnym jezyku.

Przerwal i po chwili rozlegly sie przenikliwe okrzyki. Drzewca polecialy w gore, a plemienne proporce wirowaly szalenczo w powietrzu.

Hosteen zacisnal usta. W kamiennej twarzy zywe byly tylko oczy, czujne oczy czlowieka stojacego w obliczu smiertelnego niebezpieczenstwa.

Wygladalo to zawsze tak samo: na kazdym swiecie, u kazdej rasy i kazdego gatunku. Mowca panowal nad Norbisami dzieki magicznej sile swoich slow. Wzywaj ich do czynu! Ich wielkie czary dzialaly! Niebezpieczenstwo, ktore Quade i Kelson przeczuwali na rowninach, tu widac bylo jak na dloni. Tylko do czego zmierzal obcy?

Tortura bylo to, ze nie potrafil zrozumiec nic, wyczuwal jedynie nastroj przemowy. Ale nie mial watpliwosci, ze czlowiek w mundurze przybysza, z twarza pomalowana jak Norbis, poslugujac sie czyms, co mozna bylo nazwac czarami, odurzyl umysly tubylcow do tego stopnia, ze mogli ich teraz naklonic do dzialania, chocby sprzecznego z rozsadkiem.

-Ani 'iihii - wycedzil Hosteen.

"Czarnoksieznik" to bylo wlasciwe okreslenie tego, ktory przez slowa sprowadzal kleske i smierc, podobnie, jak kiedys, na Ziemi, czarownice sprowadzaly smierc na czlowieka przez ceremonialny pogrzeb kosmyka j ego wlosow.

Bebny odpowiedzialy rytmem, od ktorego w Hosteenie zawrzala krew. Tak wlasnie ilos pokolen wstecz, na drugim krancu galaktyki, ludzie jego rasy bebnili i tanczyli przed wyprawa. To byly przygotowania do wojny.

Patrzac na to zgromadzenie wszystkich szczepow nie mozna bylo miec zludzen co do tego, kogo uwazaja za wroga. Rozrzucone posiadlosci osadnikow, odlegle od siebie o dziesiatki mil, stanowiły idealny cel dla wojny podjazdowej. Norbisowie byli wojownikami z tradycji i wychowania, nie trzeba bylo wiele, by utworzyc z nich sprawne oddzialy partyzanckie, ktore zmiotlyby

osadników z powierzchni Arzoru, zanim ci zdaliby sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

O tej porze roku sprzyjała tubylcom nawet pogoda. Dzięki troskliwie strzeżonym tajemnym źródłom, ich oddziały byłyby znacznie bardziej mobilne od jakiegokolwiek Patrolu wezwanego przez osadników.

Hosteen przetarł twarz dłonią. Koszmara przeszłości ciągnęły się za ludzkością przez wieki. Brał udział w wojnie, która objęła nie tylko planety, ale systemy słoneczne, i widział, jak wymazywała z map narody i całe światy. Tak, można było wezwać Patrol dla położenia kresu wojnie podjazdowej. Ale taka akcja oznaczałaby kres planety Arzor takiej, jaka znał.

Beben uderzył po raz ostatni. Mowca zawrócił do tunelu, a Norbisowie odchodzili w dolinę. Do wioski? Zbroić się? Planować wojnę? Dlaczego? Z ich swiergotu Hosteen nie potrafił odczytać odpowiedzi.

Wyciągnął granat. Obcy zbliżał się do wejścia. Storm czekał na jakies wyzwanie, sygnał do ataku, ale tamten szedł sztywnym krokiem patrząc wprost przed siebie szeroko otwartymi oczami. Jeżeli swoją mową rzucił jakiś czar na Norbisów, to sam też mu uległ. Nie patrząc na boki wszedł do tunelu.

To była góra, na której wylądowała rakieta ratunkowa. Patrząc na wycofujących się tubylców Hosteen intensywnie myślał. Rakieta ratunkowa...i ta historia Widdersa o słabych sygnałach odebranych przez komę w punktach łącznościowych. Załóżmy, że nadajnik statku wciąż działa - można by wysłać ostrzeżenie dla równin! Bada go pewnie ścigać...ale stawka była warta gry.

Surra - Baku - Gorgol. Zadnego z nich nie przyprowadzono do wioski w czasie jego obecności. Czy byli wolni?

Jeszcze raz nadal bezgłosny sygnał zwalający drużynę. Próbował wychwycić jakiś ślad energii psychicznej, nawiązać więź, dzięki której człowiek, kot i orzeł staliby się znowu zespołem o możliwościach nie znanych na Arzorze pomimo wszystkich ukrytych tajemnic tej planety.

-Baku! - myśl, wirując jak łańcuszek pomknęła w przestworza ku mózgowi ukrytemu za parą bystrych oczu. Odpowiedzi nie było.

-Surra - opuścił powietrze i teraz przeszukiwał powierzchnię ziemi w nadziei na kontakt z miękkolapym stworzeniem. - Surra!

Gdy już stracił nadzieję, nadeszła odpowiedź, ostra jak pchnięcie sztyłem.

-Gdzie?

Złożył usta do szeptu, a pytanie popłynęło po watłej nici łączących ich myśli.

Wrażenie ciemności...skalne korytarze. Kot musiał być gdzieś we wnętrzu góry. Tak, był tam, a teraz leżał w oczekiwaniu jakiejś żywej istoty poruszającej się w jego kierunku. Mowca?

Zniknęło przygnębienie, które ogarniało Hosteena jeszcze chwilę wcześniej. Ożywił wciąż słabnący kontakt psychiczny tak, jak przedtem przywracał czucie w zdrtwiałych palcach. Surra była istotną częścią jego samego. Bez niej złożony organizm, jaki stanowiła drużyna, był okaleczony jak człowiek pozbawiony

jakiegoś ważnego narządu zmysłu. A z nateżenia jej odpowiedzi czuł, że ona była bez niego tak samo kaleka.

-Ten, który nadchodzi - nadal rozkaz. - Siedz, ale nie atakuj. Zostan w kontakcie.

Surra będzie pilnować obcego, więc on może zająć się rakieta. Wśliznął się na zewnątrz i zaczął posuwać się w dół, wykorzystując do osłony każdy załomek terenu.

Znowu bebnę, w oddali - pewnie w wiosce. Po sprzyszystych galeziach krzewów opuścił się na polane, nad którą unosił się mdły zapach rozkładu. Ofiary nadal leżały wokół statku. Wyjście ewakuacyjne na szczycie było zamknięte. Czy w ogóle się otworzyło? Może na pokładzie oczekiwała go martwa załoga? Ten obcy z hali maszyn świadczył jednak, że ktoś się musiał uratować.

Hosteen wspinał się na młode drzewko, które ugiawszy się pod ciężarem, przeniosło go w pobliże ogona. Uderzył dłoń w przycisk wjazdu i czekał w napięciu.

Powoli, ze zgrzytem kłapa się uniosła. Dotarł do drzwi i otworzył je. Lek okazał się zbyt ciężki, rakietka była pusta. Wnętrze takiego stateczka było dość ciasne. Znal rozmieszczenie elementów z okresu szkolen w Służbie.

Przepchnął się między dwoma rzędami koi startowych i dotarł do dziobu, gdzie znalazł ręczny i automatyczny ster i nadajnik.

Kiedy otworzył wjazd, zapaliły się boczne światła, co świadczyło, że instalacja nie jest uszkodzona. Przykucnął przed komem.

Nacisnął przełącznik i usłyszał cichy szum pracującego aparatu. Pospiesznie nadał wiadomość, którą ułożył po drodze.

Sygnaly ładującej rakiety odebrały rejestratory w dwóch punktach łącznościowych kilka miesięcy temu. Nie wiedziano o nich tak

dlugo, gdyż punkty te rzadko odwiedzano. Ale teraz Quade i Kelson z pewnością prowadzi ścisły nasłuch sygnałów z Blekitnej. Dwukrotnie nadał informacje nagrywając ją na samopowtarzalną taśmę. Będzie się odtwarzać dziesięciokrotnie w ciągu godziny, dopóki ktoś jej nie wyłączy. A temu miał zamiar zapobiec.

Nastawił urządzenie, po czym zamknął grodz oddzielającą część dziobową! rozpoczął przeszukiwanie reszty statku w nadziei, że znajdzie jakąś broń. Ale magazyny były otwarte i puste. Nie zostało nic poza piankowymi pledami na kojach.

Stał właśnie przed wyjściem ewakuacyjnym, gotów do opuszczenia rakiety, gdy zaskoczył go huk gromu. Błyskawicznie uderzył w przycisk zamykający właz - refleks uratował mu życie.

Znowu grzmot, tym razem jakby odległy, wyciszony ścianami statku. Rakieta zadrzała pod ciosem. Hosteen wdrapał się na miejsce pilota i włączył ekran. Ujrzał morze ognia. Plomienie, biczące przedtem zbocze góry, tym razem dosięgły statku, który trząsł się i chwiało pod ich uderzeniami.

Czy wytrzyma to izolacja przewidziana dla lotów w przestrzeni kosmicznej? Siła ataku była tak wielka, że obracała rakieta i mogła zepchnąć ją w dół. Czy to nadajnik obudził czujność człowieka z wnętrza góry, czy wiadomość odebrało ktoś z

urządzen tajemniczej cywilizacji? Hosteen był pewien, że ataku dokonano przy użyciu broni należącej do mieszkańców Zamkniętych Grot.

-Surra!

Lapiąc z trudem równowagę w dygoczącej kabinie, Storm starał się nawiązać z kotem kontakt. Ale napotkał nieprzeniknącą barierę - taką jak w noc uwięzienia w norbijskiej wiosce. Być może, to ogień przerywał łączność. Było to rozsądne, jeśli nie uspokajające wyjaśnienie.

Rakieta przechyliła się, a Hosteen chwycił jeden ze wsporników podtrzymujących najbliższą koję. Na ekranie ujrzał, że płomienie otaczają statek ze wszystkich stron. Jedyną ochroną były ściany.

Położył się na koi i zapiał pasy. Gdyby nawałnica zepchnęła go w przepaść, miałby choć takie zabezpieczenie. Dziób rakiety pochylił się jeszcze bardziej a, w miarę jak statek zślizgując się po zboczach nabierał szybkości, jego ściany drżały coraz mocniej. Nagle rozległ się przeraźliwy loskot - trafił w jakąś przeszkodę. Ekran zgasł. A kom? Nie sądził, żeby przetrwał to zderzenie. Ile razy mógł nadać wiadomość? Czy choć jeden pełny przekaz dotarł poza Szczyty?

Hosteen, mokry od potu, leżał na koi. Światło w kabinie to przygasalo, to rozbłyskiwało na nowo. Rakieta stała teraz prawie pionowo. Czy gdy się poruszy, nie zepchnie jej w kolejny ślizg?

Uwolnił się z pasów i ostrożnie, cały czas trzymając się wspornika opuścił stopy. Pochyliła podłoga nie poruszyła się. Dotarł na czworaka do przedziału pilota - panował tam zupełny

chaos. Kom milczał. No cóż, jeśli celem ataku było uciszenie nadajnika, w tej potyczce wrog zwyciężył. Co nie znaczyło, że ma wygrać wojnę.

Bez ekranu Hosteen był ślepy. Czy wokół statku nadal szalał płomień? Ponownie wśliznął się na koje i opierając czoło na zgiętym ramieniu jeszcze raz spróbował nawiązać kontakt z Surra.

-Tutaj... - do jego mózgu dotarła wiadomość, której Surra nie potrafiła wypowiedzieć.

-Człowiek?

-Tutaj...

Czy było to powtórzenie pierwszej odpowiedzi, czy też zapewniała, że wciąż obserwuje swój cel?

-W gorze?

-Tak...

-Więc zostan... śledz... - rozkazał.

To, że myśla dotrzeć! kocha, mogło znaczyć, iż ogień ustal Trzeba było akrobatycznych zdolności, by dotrzeć teraz do wstępu. Pierwsza próba otwarcia klapy zakończyła się niepowodzeniem i Hosteen poczuł mroźny dreszcz na grzbiecie. Czy płomień zatopił wstępu? Zaczął wściekle walić pięściami i wreszcie, z oporem wejście otworzyło się. Blekitna chmura dymu buchnęła mu w twarz drażniąc oczy i powodując atak kaszlu. Dopiero po chwili usunął ją filtr powietrza.



Dym, zar, ale nie płomienie. Zawrócił do koi, by zerwać z nich pokrycia z pianki. Wymoszczył nią brzeg wjazdu i rozgrzana skorupa rakiety, a reszta zabrał ze sobą i wdrapał się na górę.

Ściany statku nosiły ślady działania ognia. Teren wokół był wypalony, a powyżej tliły się jeszcze małe płomyczki.

Szybko owinał płaty pianki wokół nóg aż do kolan, a pozostałymi skrawkami zabezpieczył dłonie i ramiona. Grube sztuczne włókno było dobrym izolatorem cieplnym.

Wdrapał się na ogon rakiety, skąd przeskoczył na osmaloną skałę i zaczął wspinać się ku wejściu do tunelu.

W jaskiniach Surra będzie jego oczami, częścią jego samego. Będzie mógł pojsć za obcym, może znajdzie Logana. Logan!

Zrobił, co mógł, by ostrzec równiny. Osadnicy będą musieli jakos sobie radzić - on był teraz w oku cyklonu. Beben...

Nieruchomo, ze zwierzęcą czujnością Ziemię obserwował postać, która wynurzyła się z oszczędzonego przez ogień zagajnika.

Szata rozwiana jak skrzydła ptaka - Bebnicy! A Hosteen nie miał ani noża, ani emitera, tylko gołe ręce...

Tamten nie miał więcej. Zgodnie z tradycją, Norbis, polegając na chroniącej go mocy, był nie uzbrojony. Żaden tubylec, nawet wrogiego szczepu, nie podniosłby ręki na Bebnicego. Zemsta sił magicznych byłaby szybka, pewna i przerażająca.

Jeśli ten pokładał ufność w tradycji, czekało go brutalne

rozczarowanie. Hosteen musiał dosięgnąć i uciszyć bebenek, który niosł czarownik, zanim ten wezwie nim wojowników.

Ziemianin stezał, szykując się do skoku. Chwycił jakąś nadpaloną galaz, poruszał się pewnie i szybko.

Bebniacy nie zmienili rytmu, w jakim uderzał. Hosteen nie rozumiał znaczenia dźwięków, ale zawahał się. Oczekiwał raczej alarmu, gdy zostanie dostrzeżony, a słyszał delikatne uderzenia - jak gdyby witające go przyjaźnie. Zamiast rzucić się do przodu, stawiał uczciwie czoła wrogowi.

-Ukurti!

Palce uniosły się znad bebna i poruszyły mówiąc:

-Dokąd idziesz?

Prosto z mostu. Hosteen zdarł skrawki owijające ręce, by uwolnić palce.

-Do wnętrza góry.

Nie odwazyłby się używać wykretów. Ten Bebnacy miał prawdziwą moc, nic z wysmiewanych przez przybyszów szamanów.

-Juz raz tam byles.

-Byłem - przyznał Hosteen - i ide znowu, bo wewnątrz tej góry kroczy zło.

-Jest tak.

Potwierdzenie zaskoczyło Hosteena.

-Tak mowi ten, ktory bebni dla totemu Zamla?

-Ten, ktory bebni, glosi prawde, inaczej moc go opuszcza. We wnetrzu gor jest ktos, kto mowi, ze jego bebnowi odpowiadaja grzmoty, a blyskawice sa mu posluszne.

-Bylo to slychac i bylo to widac - odrzekl Hosteen.

-To prawda, ogien odpowiedzial. I dlatego wojownicy mocuja groty do strzal wojennych i spiewaja piesni o trofeach, ktore zawisna w domu Gromow.

-A to nie jest dobre.

-To nie jest dobre!

Ukurti wysunal glowe do przodu, a jego oczy blyszczaly teraz jak oczy Baku wypatrujacego zdobyczy.

-Ten, ktory nosi imie Ukurti, byl w miejscu, gdzie laduja statki z nieba, i widzial moc tych, ktorzy lataja miedzy gwiazdami. Oni takze ciskaja pioruny, ale nie te zrodzone z prawdziwych poteg Arzoru.

Obuta stopa tupnela w ziemie wzbijajac obloczek popiolu.

-Przed nimi byli inni krocacy po takich sciezkach, nawet tu, na Arzorze. Przybysze maja swoja moc, my mamy swoja. To stary szlak, teraz znow otwarty. Czyha na nim duzo pulapek na nieostroznych i na tych, ktorzy chca wierzyc, bo sluzycy to ich falszywym marzeniom. Ja, ktory w tym zyciu nosze imie

Ukurtiego, i który mam prawo przemawiać głosem mocy, powiadam, że nic dobrego nie przyjdzie z rozlewem krwi tych, z którymi dzieliliśmy wodę, polowaliśmy, jedliśmy mięso i którzy gościli nas w swoich namiotach.

-A ten, co ciska pioruny, powiada, że rozlew krwi jest dobry? Że trzeba wycelować wojenne strzały w moich braci?

-Jest tak.

-Ale z jakiego powodu domaga się krwi?

-Aby jego moc mogła jeść i rosnąć w siłę, obdarowując szczerze tych, którzy jej służą.

-Ale jego moc nie jest mocą, której ty służysz?

-Jest tak. To zła rzecz. Teraz ja powiadam tobie, w którym spoczywa moc z innego świata: idź do tego człowieka, który pochodzi z twojego rodzaju. Idź i niech twoja moc go pokona.

-I nie wysłesz za mną poscigu?

-Nie. Ponad nami jest drzewce pokoju. Polecono mi, bym ułatwił ci drogę... trochę...

-Wiedziałeś, że tu jestem? Czekałeś na mnie?

-Wiedziałem. Ale nikt nie tłumaczy działania czarów. To sprawa mojej mocy.

-Wybacz, Bebniacy. Nie pytam o rzeczy tajemne.

Palce wyraziły skruche Hosteena.

-Ale teraz pojedziesz sam - ciągnął Ukurti.

-Czy wszystkie plemiona wstąpiły na ścieżkę wojenna? - odważył się zapytać Storm?

-Nie wszystkie - jak dotąd. - Bebniacy nie rozwijał odpowiedzi.

-I muszę dokonać tego sam?

-Sam.

-A więc, Bebniacy, proszę o dar szczęścia, zanim wyruszę.

Była to zwyczajowa prośba wojowników norbiskich wyruszających z obozu. Czekal. Czy życzliwość tamtego jest na tyle duża, by wezwąć własną potęgę na pomoc przybyszowi, czy też czarownik będzie się tylko trzymał na uboczu, zostawiając Hosteenowi wolną rękę? Różnica mogła znaczyć bardzo wiele.

## Rozdział 15

Wietrzyk wzbijał popiół, chłodził ziemię, rozwiewał dym i swąd spalenizny, igrając z brzegami pierzastej oponczy Bebniacego. Ukurti wpatrywał się w trzymany w rękach bebenek, jak gdyby z jego powierzchni chciał coś wyczytać. Przemówił wybijając jednocześnie krotki, gwałtowny rytm. Choć nie rozumiał słów, z ich rytmu Hosteen odczytał, że było to błogosławieństwo... albo kłątwa. Rece uniosły się znad bebenka i Ukurti poruszył palcami. -Idź w mocy ty, który znasz pieśni wiatru, szeptał wzrastających roślin, myśli zwierząt i ptaków. Idź w mocy. Uczyn to, co musi się dokonać. Strzała wojny wazy się na czubku palca.

Rzecz wata, jak ten wietrzyk, może zniszczyć cały świat.

To było więcej niż oczekiwał Hosteen. Nie błogosławieństwo i życzenia dla wojownika wyruszającego na niebezpieczną wyprawę, ale obietnica złożona przez jednego czarownika drugiemu, moc dodana do mocy.

W odpowiedzi pozdrowił Ukurtiego wzniesionymi dłońmi, jak równy równego, odwrócił się i ruszył w stronę tunelu.

Spieszył się, ale nadal był ostrożny. Ukurti nie wspominał o innych tubylcach, ale nie było powodu, dla którego pozostali Bebniacy czy wojownicy nie mieliby się znaleźć w okolicy rakiety.

Dotarł do wejścia bez przeszkód i tu odebrał sygnał Surry. Obcy spieszył się do wyjścia. Czy chciał ujrzeć efekty swojego ataku?

Ziemiańcin miał granaty, ale martwy wrog niczego by nie powiedział, a mógłby się stać dla tubylców meczennikiem i sprowokować ich do walki z osadnikami. Potrzebny był mu jeniec, nie zwłoki. Tylko, że...

Miał wrażenie jakby nagle wpadł na niewidzialny mur. Nie był to ból, jak przy przekraczaniu dźwiękowej bariery, tylko niemożność poruszenia się. Wszystkie mięśnie w jednej chwili zastygły, czyniąc Hosteena kompletnie bezradnym. Niewidzialne pęta trzymały go, a wrog nadchodził.

Ciało było bezsilne, ale umysł nie. Wydał rozkaz Surrze. Jak daleko byli: człowiek biegnący, by obejrzeć swą zdobycz, i niewidoczny dla niego kot, deptający mu po piętach?

Usłyszał głosy tubylców. Nie podejrzewał czarownika o zdradę - gdyby swoją obietnicę złożył w jej wierze, jego moc obrociliby się przeciw niemu. Nie, ta pułapka nie była dziełem Ukurti. go.

Surra... i Baku. Musi jeszcze raz spróbować wezwąć orla. Kot i ptak to jedyna obrona, jaka mu pozostała. Ptak... bez odpowiedzi.

Obcy wynurzył się z tunelu. Był wyższy od Storma, jego skóra przeswitywała białawo spod farby, a włosy były jasnorude. Oddychał ciężko. Rekami obejmował kule, na którą Hosteen spojrział z lekiem. Wyglądała na granat. I te oczy. W Centrum Rehabilitacyjnym widział wiele takich oczu. Zbyt wiele. Oddziały Ziemi, którzy po powrocie z misji odkryli, że ich rodziny, domy, cały świat zniknęły, przepadły... to były ich oczy. Ci ludzie tracili zmysły i obracali swoją broń przeciw personelowi bazy, przeciw swoim towarzyszom, w końcu przeciw sobie samym. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Rzucił rozkazującym tonem:

-Nazwisko, stopień, numer seryjny, planeta!

Oczy tamtego błysnęły, usta poruszyły się bezgłownie, po czym przemówił:

-Farver Dean, tech trzeciego stopnia, Eu 790, Cosmos - odparł w języku galaktycznym.

Tech trzeciego stopnia, siedemsetny ktorys - nie tylko kwalifikowany naukowiec, ale geniusz! Nic dziwnego, że poradził sobie z sekretami Zamkniętych.

Dean postąpił krok naprzód, przyglądając się Hosteenowi. Farba pokrywająca twarz kryła jej wyraz, ale cała postawa wyrażała zaskoczenie.

-Kim jesteś? - spytał.

-Hosteen Storm, Mistrz Zwierząt, AM 25, Ziemia.

Hosteen użył tego samego schematu.

-Mistrz Zwierząt - powtórzył tamten - ach, z tych psychoantrow?

-Tak.

-Nic tu po tobie. - Dean wolno potrząsnął głową. - To sprawa dla techa, nie dla "zielonych".

"Zieloni" - szyderczy termin podkreślający przepaść między dwiema galeziami służb specjalnych. Jeśli Dean był tak wrogo nastawiony, a do tego niezrozumiany umysłowo... Hosteen z trudem opanował wzburzenie. Tech przynajmniej rozmawiał, a to czyniło jakąś drastyczną akcję mniej prawdopodobną.

-Nie mieliśmy żadnych poleceń odnoszących się do ciebie - stwierdził.

Jeśli Dean sądził, że Hosteen zjawiał się tu służbowo, tym lepiej.

Ale w jaki sposób tech go obezwładnił? Za pomocą kuli, którą trzymał przy piersi? Jeśli tak, szanse Hosteena były większe, niż gdyby jego niewidzialne wieży kontrolowało jakies urządzenie w głębi góry. Dean wzruszył ramionami.



-To mnie nie obchodzi. Bedziesz musial stad splywac, to sprawa dla techa.

Zachowywal sie zbyt swobodnie. Jak juz kilka razy przedtem, Hosteen wyczul nadciagajace niebezpieczenstwo.

-Nie bardzo moze splynac, skoro trzymasz mnie w stazie, prawda?

Tamten usmiechnal sie, rozciagajac malunek na twarzy w groteskowa figure.

-Staza... zieloni chlopcy nie daja sobie rady za staza!

Smial sie, niemal chichotal i nagle spowaznial.

-Myslales, ze mnie nabierzesz, co? - powiedzial obojetnym tonem. - Wiesz, ze wojna sie skonczyła. I ze nie jestes tu na sluzbie. Nie - ty chcesz sie tu zalapac. Ale to wszystko... tutaj... jest moje! Oderwal jedna reke od kuli i gestykulowal nia zawziecie.

-Wszystko, czego moglbym zapragnac, jest moje. Na zawsze.

Znow zachichotal. Kontrast tej wesolkowatosci z zimna precyzja poprzednich slow przerazal, przypominal bowiem zachowania ludzi w Centrum Rehabilitacji.

-Na zawsze! - powtorzyl Dean. - Dlatego chcesz sie tu wkrecic! Tez bys tego chcial! Zyc wiecznie i miec nieograniczona wladze. Palce reki zacisnely sie w piesc.

-Tylko, ze tech byl tu pierwszy i wie, co i jak zrobic. Nie tylko ty

chciales mnie wykiwac... ale sprawa z toba to pestka. Wiem, jak takich zalatwic.

Zacisnal palce na kuli i Hosteen poczul dlawiacy uscisk na gardle.

-Moglbym cie zmiadzyc, zielony chlopczyku, zdeptac jak robaczka. Tylko... to bylaby niepotrzebna strata. Moi przyjaciele lubia... rozrywke. Beda mogli sie z toba zabawic.

Obcy dotknal krazka w tasmie opasujacej szyje i zawolal - glos byl swiergotliwym gwizdem Norbisow.

Hosteen wpatrywal sie w wejscie do tunelu za plecami Deana.

-Teraz! - wyslal bezglosny rozkaz.

Z ciemnosci strzelil zolty blysk i Surra calym swym poteznym ciezarem wyladowala na barkach Deana. Jego gwizd przeszedl w skrzek, upadli oboje, kula wypadla mu z rak, ale zanim uwolniony z niewidzialnych pet Hosteen zdolal ja pochwycic, poturlala sie na krawedz skalnej drogi i znikla. Kot i czlowiek walczac przetaczali sie tam i z powrotem po powierzchni skaly.

-Nie zabijaj - rozkazal Hosteen.

Poruszył się z trudem, całe ciało było sztywne, zdrewniałe, prawie jak reka po przygodzie z klatka.

Surra prychnęła, krzyknęła i, puszczając obcego, zaczęła trzeć oczy przednimi łapami. Dean, nadal wrzeszcząc po norbisku wykonał ruch, jakby ciskał czymś w kota, i zwierze rzuciło się do ucieczki. Tech spojrzał na Hosteena. Na jego twarzy malowała

sie szalencza furia. Krzyknal jeszcze raz i pobiegl ku tunelowi. Hosteen rzucil sie za nim, ale nie byl jeszcze w pelni sprawny. Chwycil co prawda tamtego za noge, lecz odepchnal go potezny kopniak i Dean zniknal w ciemnym korytarzu, z ktorego dobiegl tylko oddalajacy sie tupot nog.

Surra wciaz tarla oczy. Hosteen chwycil ja za skore na karku i pociagnal za soba. Norbisowie wezwani przez obcego nie mogli byc daleko. Zostala tylko jedna droga uciezki - za Deanem do wnetrza gory. Mial nadzieje, ze stanowi ona tabu i tubylcy nie osmiela sie tam go scigac.

Nagle ujrzal glowe zwieczona para czarnych rogow. Norbis rzucil sie na niego z nozem w rece. Hosteen byl juz przy wejsciu do tunelu. Walczyl o zycie. Zmuszal ciezkie, niemrawe konczyny do zwinnych ruchow, wycwiczonych w czasie treningu komandosow. Powoli cofal sie ku ciemnosciom korytarza.

Poczul ostry bol w boku - cios, ktory mial byc smiertelny, chybil. Za to krawedz reki Hosteena wyladowala pewnie na szyi tamtego tuz powyzej obojczyka. Norbis upadl z gluchym steknieciem, a Ziemianin wytracil mu noz z reki.

Cos swisnelo i strzala przeszyla porwane sukno koszuli Storma. Opadl na czworaki i tak zaczal wycofywac sie w glab korytarza, skad dobiegaly go jekliwe skargi Surry. Lucznikow bylo wiecej - widzial na tle nieba napinajace sie cieciwy. Ale niesamowity mrok, ktory wyscielal wszystkie korytarze Zamknietych Grot, byl teraz jego sprzymierzencem. Storm trzymal sie blisko ziemi, wiec lecace w gorze strzaly nie robily mu krzywdy, a zaden z tubylcow nie kwapil sie do poscigu. Mial racje, gora byla tabu.

Kiedy zakret korytarza zaslonil go przed napastnikami, Hosteen zatrzymal sie, wlaczyl latarke i przywolal Surre. Nie wiedzial, co zrobil Dean, ale kot Izawil i widac bylo, ze cierpi. Na szczescie, pobezne badanie wykazalo, ze wzrok nie jest uszkodzony i ze zwierzze powoli dochodzi do siebie.

Surra byla wsciekla i gotowa scigac swego sprawce wszedzie, co zgodne bylo z zamiarami Storma. Musial go dostac. Teraz, uzbrojony w noz i wiedzac, czego mozna spodziewac sie po przeciwniku, nie byl juz tak bezbronny jak przedtem. Chociaz - podpowiadal mu rozsadek - kawalek metalu, chocby najlepiej hartowany, nie mogl byc obrona przed sztuczkaami, ktore tamten zapewne mial w pogotowiu.

Surra pewnie zmierzala naprzod. Wiedziala, dokad isc. Ale nagle zatrzymala sie, potem zawrocila, obwachala podloge i wreszcie, zupełnie zbita z tropu, prychnela ze zloscia, gdyz lup sie wymknal.

Hosteen skierowal swiatlo latarki na podloge w nadziei, ze znajdzie tam jakas spirale. Ale nie bylo tam ani spirali, ani rzędu galek na scianie, niczego, czym mozna by otworzyc drzwi w ten inny wymiar. Jeszcze jeden sekret korytarzy, ktory nie byl sekretem dla Deana.

Czy tech mogl przenosic sie z dowolnego punktu w jaskiniach? A moze byly "przystanki", gdzie to bylo mozliwe? Hosteen zalowal, ze nie przyjrzal sie dokladnie miejscu, w ktorym wyladowal przenoszac sie za Deanem z hali maszyn.

Teraz pozostala mu tylko wedrowka przez korytarz w nadziei, ze znajdzie jakies wyjście, albo powrot na powierzchnie, gdzie bez

watpienia oczekiwali go Norbisowie. Jak Surra dostała się do wnętrza góry... jakimś innym wejściem? Przykucnął i zawołał kota. Położył rękę na jego łbie i starał się skłonić go, by przypomnieli sobie, kiedy wszedł do podziemi.

Cechy, które czyniły ze zwierzęcia tak wartościowego członka drużyny, teraz działały na szkodę Storma. Surra była wzburzona kontratakiem Deana. Jedyne, co ją w tej chwili zajmowało, to pragnienie odwetu. To, o co pytał Hosteen, było zupełnie bez znaczenia. On jednak nie tracił cierpliwości i ponawiał próby nawiązania kontaktu psychicznego z kotem.

Dean był wolny i mógł użyć swoich piekielnych maszyn. A Logan? Myśl o Loganie paliła jak promień rozpylacza. Nawet jeśli chłopak nie dotarł do hali, mógł uniknąć śmierci w promieniach słońca suszy i może błąkał się gdzieś w labiryncie.

-Baku... Gorgol - skoro Surra nie chciała odpowiedzieć na pytanie, próbował podejść ją określną drogą. Udało się.

-Wysoko... w gorze.

Jak zwykle, odpowiedź nie była jasna. Myśl człowieka usiłowała dotrzeć do kota.

-W gorze... gdzie?

Poczuł, że zwierzę wycofuje się. Odmawia kontaktu? Czasem tak bywało. Nagle Surra poruszyła się, uniosła głowę i wciągnęła powietrze niosące jakąś wiadomość nieczytelna dla Storma.

-Obcy odszedł... ale znajdziemy go - obiecał Hosteen. - Do

polowania potrzebna jest drużyna. Gdzie Baku?

To zrobiło wrażenie. Byli związani z sobą tak długo i czuli się w tym związku bezpiecznie. Surra nie odpowiedziała, tylko ruszyła przed siebie z determinacją prawie równą tej, z którą ścigała Deana.

Nie potrafiłby odnaleźć drogi, która go prowadziła. Mijali korytarze, przechodzili przez jaskinie pełne maszyn, urządzeń i innych przedmiotów będących pozostałością po Zamkniętych, których przydatności Hosteen nie był w stanie określić na pierwszy rzut oka. Na drugi nie miał czasu, bo Surra gnała przed siebie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Wyglądało na to, że zna drogę.

Szli w górę i w dół już tyle razy, że Hosteen rzeczywiście się zgubił. Był tylko pewien, że dawno zostawili za sobą górę, do której weszli. W końcu Surra skręciła z głównego tunelu o ścianach wyłożonych czarną substancją w boczny korytarz ograniczony przez surowe skały. Przejście było niskie i Hosteen musiał pokonać je na czworaka.

Jeszcze jedna, wąska szczelina i wypelził do światła, powietrza i zapachu świeżej roślinności. Była to niewielka dolinka, do której - podobnie jak do doliny zamieszkałej przez tubylców - nie dotarła Wielka Susza. Zmęczony usiadł i rozejrzał się wokół.

Kiedy przyjrzał się roślinom, zdał sobie sprawę z tego, co je różniło od flory Arzoru. To była zielen - nie rudzielona, nie brązzielona, ale po prostu zielona. Gdzie mógł już widzieć takie liście, jak na małym krzewie odległym na wyciągnięcie ręki?

Nagle z nieba spadła czarna, skrzydlata strzala. Baku usiadl na ziemi i podszedl ku Mistrzowi Zwierzat z rozlozonymi skrzydlami, wydajac przerazliwe okrzyki. Bylo to niezwykle cieple powitanie.

Glosowi ptaka odpowiedzial ostry gwizd dobiegajacy od strony zarosli. Hosteen drgnal i chwycil za noz. Sygnal Norbisow zwiastowal niebezpieczenstwo.

Surra jednak wyciagnela sie spokojnie na sloncu, mruzac oczy przed blaskiem. Kiedy Hosteen wstal, na polane wyszedl Gorgol. Byl ranny. Lewe ramie obwiazal opatrunkiem ze zgniecionych lisci i trawy, a lewy policzek przecinala czerwona szrama. Jego twarz byla tak spuchnieta, ze z trudem otwieral oczy. Brakowalo tez czesci kolnierza z zebow jorisa.

-Storm! - zasygnalizowal, a potem przesunal koncami palcow po ramieniu tamtego, jak gdyby upewniajac sie, ze Ziemianin nie jest zjawa.

Baku wzbil sie w gore, po czym przysiadl na ramieniu Hosteena. Ten ugial sie pod ciezarem orla, ktory pieszczotliwie potarl poteznym dziobem o policzek przyjaciela.

-Gdzie jestesmy?

Hosteen rozejrzal sie wokol. Niewielka doline otaczal pierscien wysokich szczytow. Nie rozpoznawal zadnego z nich. Nie wiedzial nawet, w jakim kierunku wiodla ich podziemna droga.

-W gorach - odpowiedz Gorgola nie wyjasniala niczego. -  
Ucieklismy przed ogniem.

-My?

Gorgol odwrócił się i powtórnie gwizdął. Przez chwilę Hosteen miał nadzieję, że to Logan odnalazł drogę. Człowiek, który wylonil się spomiędzy delikatnych liści, nie był jednak Loganem.

Był chudy jak szczapa, a resztki postrzeżonego zielonego munduru nie mogły ukryć ciemnych szram.

-Wiec... Zolti miał rację - powiedział drzacym głosem. - Mogliśmy znaleźć pomoc... mogliśmy wrócić do... domu.

Osunął się na ziemię, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ukrył twarz w brudnych i podrapanych dłoniach, a chudymi ramionami wstrząsnął gwałtowny szloch.

## Rozdział 16

-Kto to? - zwrócił się do Gorgola Hosteen.-Nie wiem, nie zna mowy palców - zasygnalizował Norbis. - Spotkaliśmy się na zboczu, przeprowadził mnie przez ogień. Myśle, że od dawna już ucieka, ale nadal chce walczyć - to prawdziwy wojownik.

Hosteen unosił lekko ramiona i Baku przefrunął na pobliską skałę. Ziemię usiadł obok nieznanego i delikatnie położył rękę na skulonych barkach.

-Kim jesteś, przyjacielu?

Użył języka galaktycznego używanego w Służbie, ale nie był zdziwiony, gdy urywana odpowiedź nadeszła w mowie Ziemi.

-Najar, Mikki Najar, zwiadowca numer 500, Desant.



Uspokajal sie. Opuscil rece i odwrocil sie ku Hosteenowi, ze zdziwieniem przygladajac sie jego indyjskim rysom.

-Hosteen Storm, Mistrz Zwierzat - Hosteen przedstawil sie i dodal  
- Wojna sie skonczyla, wiesz o tym.

Najar wolno kiwnal glowa.

-Wiem, ale tu jeszcze sa Xikowie, prawda? Dlatego tu jestes. A moze to tez klamstwo?

-To jest Arzor, graniczna planeta osiedlencza. Byla tu kryjowka Xikow, to prawda, ale zrobilismy z nimi porzadek juz pare miesiecy temu. Wiekszosc wysadzila sie w powietrze, kiedy usilowali uciec. Nie jestem tu jako zolnierz - teraz to moj dom.

Twarz Najara wykrzywila sie z gorycza.

-Jeszcze jedno klamstwo Deana. Jesteś z Ziemi, prawda?

Hosteen skinal glowa i dodal:

-Teraz z Arzoru. Mam tu troche ziemi na rowninach...

-I to naprawde jest planeta osiedlencza, nalezaca do Konfederacji, nie do Xikow?

-Tak.

-Od jak dawna?

-Ponad dwiescie lat ziemskich. Teraz mieszka tu drugie i trzecie pokolenie osadnikow z Pierwszego Statku. Przyleciales rakietą

ratunkowa?

-Tak - teraz brzmiała gorycz w głosie Najara. - Lafdale był pilotem... dobrym pilotem, wylądował bezawaryjnie. Wyszliśmy prosto na tubylców. Nie zabili nas - może lepiej by było, gdyby to zrobili - tylko zapedzili w gore zbocza, do jaskini. Lafdale'a straciliśmy w jaskini pełnej wody. Był tam jakby pomost - coś wielkiego sciagnęło go stamtąd. Nawet nie wiedzieliśmy, co to było. Potem... - Najar wolno pokręcił głową - to był koszmar. Roostav... zniknął. W jaskini pełnej zburzonych ścian nie odnaleźliśmy go... Dean poganiał nas. Był podniecony, mówił, że znajdziemy coś wspaniałego. A Zolti - przed wojną był hist-technem - mówił, że to zamieszkała planeta i że, gdybyśmy wrócili do rakiety, to moglibyśmy nadać wołanie o pomoc. Nie wiedzieliśmy, czy sygnały lądowania w ogóle zostały odebrane. Ale Dean go zagadał, powiedział, że wie, gdzie jesteśmy, że pełno tu Xikow, a wrogość tubylców świadczy o tym, że to ich strefa wpływu.

Przerwał i potarł twarz rękami.

-Pozostała dwójka, Widders i ja, nie wiedzieliśmy, co myśleć. Dean i Zolti - to byli mózgowcy. Obaj twierdzili, że jesteśmy w miejscu, gdzie przetrwały jakieś wielkie i ważne pozostałości z dawnych czasów. A Dean... wiesz, my wszyscy właśnie wyszliśmy z Rehabu... - zerknął ukradkiem na Hosteena.

-Wszyscy Ziemiańskie przeszli przez Rehab po tym... - odparł spokojnie Storm.

-No wiec, Dean... nie chciał wracać. To znaczy, wracać do życia sprzed wojny. W Służbie był kims ważnym i to mu się spodobało.

W Rehabie jakos sie kryl, ale kiedy tu wyladowalismy, zupełnie sie zmienil. Byl podniecony, ozywiony, zapanowal nad nami. Upieral sie, ze naszym obowiazkiem jest dowiedziec sie wszystkiego, co sie da, o tym miejscu i uzyc tego przeciw Xikom. Przysiegal, ze Zolti sie myli, ze na naszym kursie nie bylo zadnej zasiedlonej planety.

-Potem doszlismy do miejsca ze sciezka - znowu przerwal, jakby szukal slow dla opisanie czegos, czego sam nie rozumial.

-Znalezliscie to? - Ziemianin narysowal palcem na ziemi spirale.

-Tak. Ty tez to widziales!

-I poszliscie za tym.

-Dean powiedzial, ze to wyjscie. Nie wiem, skad to wiedzial.

Wygladalo, jakby wylapywal informacje z powietrza. Byl tak samo glupi, jak my wszyscy... a w jednej chwili potrafil wyjasnic wszystko - i mial racje! A jednak nie chcial przejsc tamtedy pierwszy. Poszedl Zolti... krazil, krazil i nagle go nie bylo!

Widders troche stracil glowe. Ciagle powtarzal, ze cos sie chowa za skalami i sledzi nas. Rzucal kamieniami w kazdy cien. Kiedy Zolti zniknal, Widders zaczal krzyczec, pobiegl w kolko, az dotarl do srodka... i tez zniknal. Potem Dean. I ja... no... nie chcialem tam zostac sam. Wiec tez to zrobilem i znalazlem sie w trojkatnym pomieszczeniu.

-Widziales hale maszyn? - zapytal Hosteen.

-Tak. Byl tam Dean. Biegal jak oszalaly, stukal we wszystko i

gadał do siebie, że było mu pisane znaleźć to miejsce i że teraz ma władzę nad całym światem. Czulem się jak na początku pobytu w Rehabie. Schowałem się i patrzyłem. Wreszcie wszedł do wielkiego pierścienia w rogu i położył się tam zwinięty w kłębek, jakby usnął. Było tam światło... i hałas... nie można było patrzeć, bo coś działo się z oczami. Więc wyruszyłem na poszukiwanie Widdersa i Zoltiego. Tylko, że nawet jeśli tam dotarli, to znowu zniknęli. Nie znalazłem ich. Nie wtedy.

-A później?

-Może... jednego. Tylko, że trudno być pewnym... to były po prostu świeże kości.

Najar zamknął oczy, a Hosteen poczuł, jak wyniszczonym ciałem wstrząsa dreszcz.

-Nie zostałem tam. Jakos znalazłem drogę do tej doliny.

Rozejrzał się wokół z wdzięcznością.

-To było cudowne, po tych wszystkich miejscach znaleźć się na powierzchni, gdzie rosną prawdziwe rośliny... prawie jak w domu. Jest stąd droga przez góry do doliny tubylców. Obserwowałem ich. Zaczeli się schodzić coraz liczniej i domysliłem się, że to robota Deana. Potem błyskawica i grom... jakies dziwne... Staralem się odkryć, co się tu dzieje, zrobiłem plan kilku dróg...

-Nie próbowałeś kontaktować się z Deanem?

Najar spuścił oczy.

-Nie. Pewnie myślisz, że to dziwne, Storm, ale on się zmienił,

odkad tu wyladowalismy. A kiedy zobaczylem go szalejacego w tej hali... no, nie chcialem miec z nim do czynienia. Bredzil caly czas o tym, ze zostal wybrany do rzadzenia swiatem - wystarczy, zebys sam sie poczul nie calkiem normalnie. Nie chcialem miec z nim nic wspolnego.

Hosteen przyznawal mu racje. Czlowiek, ktorego spotkal u wejscia do tunelu, nie nalezal juz do rodzaju ludzkiego, nie mozna sie bylo z nim porozumiec. Moze jakis doswiadczony psycho-tech moglby do niego dotrzec i znalezc sposob na przywrocenie go do rzeczywistosci...

-Bylem w Rekonesansie i w tropieniu jestem niezly - w glosie Najara brzmiala nuta dumy. - Nikt z tubylcow nie podejrzewal mojej obecności. Oczywiscie, niewielu wypuszcza sie wysoko w gore, a jesli nawet, to trzymaja sie ustalonych sciezek. Kiedys zobaczylem smiglowiec, to byli nasi! Okazalo sie, ze opowiesci o Xikach byly bzdura. Zszedlem na dol, ale zaraz po tym, jak smiglowiec wyladowal, odcial go ogien. Dopiero potem dotarlem do niego... znalazlem trupa; reszta byla spalona. A tak liczyłem na to, ze uda mi sie nim wydostac... - znow spuscil oczy. - Bylem od tego chory, tak chory, ze postanowilem dotrzec do Deana. Wrocilem do korytarzy w nadziei, ze go spotkam. Dwa razy trafilem do hali maszyn, ale go tam nie bylo. Nie masz pojecia, Storm, jakie rozlegle sa te podziemia. Przejscia przez gory i pod gorami, jaskinie, groty... Widzialem rzeczy... okropne. - Wstrzasnely nim znow dreszcze. - Czasami zastanawialem sie, czy tez nie zwariowalem, bo czy inaczej moglbym widziec cos takiego?... Ale nie spotkalem Deana... az do nocy, gdy znowu buchnal ogien. Zobaczylem tego tubylca, jak przedziera sie przez plomienie razem z wielkim kotem i ptakiem frunacym nad

nimi. Dean ich obserwował... celował już w nich. Pokazałem tubylcowi szczelinę, kot i ptak poszły za nim. Szczelina wiodła tutaj. Potem...

-Potem? - zapytał Hosteen.

-Potem - powtórzył ponuro Najara - jeden z piorunów uderzył tuż obok i zasypał drogę tak, że nie było z nas wiele pożytku przez parę dni. Całe szczęście, że jest tu woda i trochę owoców. Ptak starał się wydostać, ale z jego zachowania wynikało, że to miejsce jest czymś przykryte, jakby kopuła. Potem, pewnego dnia zniknął kot. Domysliliśmy się, że znalazł wyjście. Szukaliśmy go do tej chwili. Teraz wiesz wszystko.

-Tak - odparł mechanicznie Hosteen.

Opowieść Najara wiele wyjaśniała. Wszyscy rozbitkowie opuścili dolinę idąc spiralną ścieżką, ale najwidoczniej nie wszyscy wylądowali w tym samym miejscu. Logan... czy Logan znalazł się w jakimś innym punkcie podziemnego labiryntu? Hosteen z rozbudzoną na nowo nadzieją zwrócił się do Najara.

-Stąd jest wyjście. Czy sądzisz, że potrafisz znaleźć drogę do hali maszyn?

-Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Hosteen ponad ramieniem przybysza zasygnalizował do Gorgola:

-Nie ma drogi przez wzgorza?

-Możemy patrzeć, nie możemy przejść. Idź i zobacz sam -

odpowiedział Norbis.

Wspieli się na zbocze, w którym znajdowała się szczelina stanowiąca wejście do korytarzy. Potem podeszli po granicę kończąca się dużym osy piskiem.

-Góra upadła - wskazał na nie Gorgol. - Stąd można patrzeć...

Jeszcze trochę wspinaczki i mogli rzeczywiście spojrzeć. Widok był niesamowity. Pod sobą mieli otchlan, której dna nie sięgnelaby chyba najdłuższa lina na Arzorze. A za tą przepascią, w zasięgu wzroku, a jednak tak odległe, jakby leżały na innej planecie, ciągnęły się wyzyny - nagie i wypalone słońcem, które po stronie obserwatorów było tak łagodne. Okno na świat, okno, ale nie drzwi.

Używając mowy palców Hosteen przekazał w skrocie Gorgolowi to, co zobaczył sam i czego dowiedział się od Najara. Tubylec przyglądał się ruchom dłoni Ziemiańcina, a jego twarz wyrażała coraz większą determinację.

-Jeśli Ukurti mówi, że to jest złe - odpowiedział - Krotag i ci, którzy z nim jada, uwierza mu, gdyż Ukurti jest tym, który posiada wiedzę i zawsze słuchaliśmy jego bebna. Uwierza też, że człowiek o chorym umyśle przywłaszczył sobie rzeczy pozostawione przez Tych-Ktorzy-Odeszli i używa ich, by stać się kims wielkim. Jeśli tak będzie, to szczepy odwróca się od niego i więcej nie posłuchają jego bebna.

-Ale jak można to udowodnić? I czy mamy na to czas? - zaproponował Hosteen. - Już wezwał do napadów na równiny. A gdy to nastąpi, będzie wojna, wojna na śmierć i życie. Wśród mojego

rodzaju zawsze byli tacy, którzy wam nie ufali.

-To prawda - palce Gorgola wykonały gest gwałtownego potakiwania. - Wypuszczonej strzaly nikt nie zawroci do kolczanu. Poza tym miejscem panuje teraz Wielka Susza. Znamy sekretne źródła, ale nie wystarcza one, by napoic liczne oddziały. Ci, którzy pomimo to wyrusza, nie będą mogli podać wprost na równiny. Będzie kluczyć od jednego źródła do drugiego, a to zabierze dużo czasu. Gdyby wyruszyli dzisiaj, to dopiero za tyle słońc dotarliby do równin - to mówiąc trzykrotnie wyprostował palce i zacisnął je ponownie w pięść.

-Czy Krotag cię wysłucha? - zapytał Hosteen.

-Jestem wojownikiem pokrytym bliznami. W czasie mów plemiennych mam prawo głosu. Krotag mnie wysłucha

-A zatem, jeśli się stąd wydostaniemy, jeśli dotrzesz do Krotaga i Ukurtiego...

Gorgol spoglądał ponad ramieniem Hosteena na wypaloną słońcem ziemię.

-Krotag będzie słuchał. A za Krotagiem stoi Kustig o totemie Jorisa, a za Kustigiem Danku spod znaku Xoto.

-A gdy oni wszyscy cię wysłuchają, czy Shosonna zerwa pakt i nie weźmie udziału w tej wojnie?

-Może tak być. A gdy Norbisowie odejdą, pójdą za nimi Warptowie z północy i może Gouskla z wybrzeża...

-I armia Deana zostanie podzielona na pół!



Hosteen był podniecony, ale twarz Gorgola nadal wyrażała troskę.

-Kiedy złamiemy drzewca pokoju, może wybuchnąć inna wojna. Dzicy z Blekitnej będą walczyć o utrzymanie mocy swoich czarów.

-Chyba że udowodnimy, że Dean jest oszustem...

-Tak. Oto dwie drogi - Gorgol odwrócił się od "okna". - Ja muszę odnaleźć klan Zamla, a ty tego, który pochodzi z twojego rodu i czyni zło.

-Żeby tego dokonać, musimy znaleźć drogę powrotną - dodał Hosteen.

W zielonej dolinie odbyli naradę wojenną. Najar, Hosteen i Gorgol siedzieli razem, a obok Baku i Surra. Storm był tłumaczem. Najar twierdził, że jeśli dotrą do znanego mu punktu, to stamtąd trafią na drugą stronę góry - do wioski. Potem zjedli trochę owoców i Hosteen, wtulony w bok Surry i ukolysany jej cichym mrużeniem, zasnął snem tak głębokim, jakiego nie zaznał od początku tej niezwykłej przygody.

Było już ciemno, gdy zbudził go Gorgol. Wpełzli pod skałę, do szczeliny, którą odkryła Surra. Baku głośno protestował, gdy Hosteen wezwał go do pojęcia w ich ślady. Długo trwał, zanim dał się namówić na pieszą wędrowkę. Dopiero stanowcze oświadczenie Storma, że on i Surra idą i nie zamierzają wrócić i że orzeł zostanie sam w dolinie, zmusiło ptaka do zmiany zdania. Podreptał za nimi, trzaskając wściekle dziobem, co miało dać reszcie pojęcie o jego opinii na temat tej wyprawy.

Kiedy dotarli do korytarza, Baku usadowil sie zaraz na ramieniu Hosteena, a Surra pobiegla przodem zmuszajac ludzi do szybkiego marszu. Kot powracal ta sama droga, ktora prowadzil wczesniej Hosteena. Na dlugo przedtem- nim dotarli do miejsca, gdzie zniknal Dean, Najar chwycil Storma za ramie i krzyknal:

-To tutaj!

Rozgladal sie jak czlowiek, ktory trafil w znane miejsce.

-Droga prowadzi tedy.

Hosteen przywolal Surre i skrecili za Najarem w boczny korytarz. Dla Indianina nie roznil sie on niczym od innych, ale wiedzial, ze tak jak jego wyszkolono i przystosowano do przewodzenia druzynie, zwiadowcow z Rekonesansu dobierano i trenowano do sluzby tropicieli i przewodnikow.

Najar bez wahania skrecal w kolejne tunele i przechodzil przez male jaskinie. W koncu staneli w niewielkiej grocie. Przewodnik wskazal na szczeline w stropie, przez ktora padalo swiatlo. - Tu obsunela sie ziemia. Ten otwor prowadzi na zbocze gory. Hosteen mial sie wlasnie zaczac wspinac, gdy dobiegl go dziwny okrzyk Najara. Odwrocil sie i ujrzal jego twarz w swietle latarki trzymanej przez Gorgola. Zwiadowca spojrzal z nienawiscia na Storma i rzucil sie na niego, przygniatajac go swoim ciezarem do sciany. Indianin skulil sie, starajac sie uniknac ciosow, ktore mogly zabic. Latarka zgasla i zapadla ciemnosc.

-Ty parszywy klamco! - rzucil mu w twarz Najar. - Klamca!

Nagle zakrztusil sie i cos odciagnelo go od Hosteena. Mistrz

Zwierzat ciężko dysząc oparł się o ścianę sciskając ręką zdrewniałe od ciosu ramię. Pokryte futrem ciało otarło mu się o nogi. Sygnał, wziął latarkę z pyska Surry i nacisnął guzik.

Gorgol stał za Najarem trzymając jego szyję w żelaznym chwycie zgiętego ramienia. W miarę, jak siła uścisku rosła, rozbitek walczył coraz słabiej.

-Nie zabijaj go! - rozkazał Hosteen.

Gorgol poluznił chwyt i złapał osuwającego się przybysza za ramiona.

-Dlaczego? - zapytał Storm masując ramię.

-Mówiłeś... planeta osiedlencza... nie ma Xikow... wojna się skończyła... - Chociaż Najar w rękach Gorgola był bezbronny, jego nienawiść wcale nie osłabła. - A na zewnątrz jest lokalizator!

Hosteen wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Nie dlatego, że mu nie wierzył albo dziwił się jego reakcji. Zwiadowcy potrafili - częściowo dzięki wszczepionym urządzeniom, częściowo dzięki treningowi - odbierać fale o pewnych długościach. Jeśli Najar twierdził, że złapał promień lokalizatora, to na pewno miał rację. Ale Hosteen wiedział, że najbliższe takie urządzenie jest w Galwadi lub w Porcie. Chyba, że... chyba że w Blekitnej zjawil się Kelson lub inny przedstawiciel władzy!

-Powiedziałem prawdę - rzekł. - Ale może... może jest już za późno. Mogli wezwać Patrol.

Rozdział 17

-Na zachodzie... nie, tutaj... - reka Najara wskazywała południowy zachod.-Baku - myśl Hosteena posłala orla w gore, w niebo. Szybko zniknal im z oczu cieszac sie. wolnoscia, ktorej nie mogli zaznac w przykrytej niewidzialnym dachem dolinie. Po jakimś czasie nadszedl jego meldunek.

W zagłębieniu terenu znajdowała sie grupa ludzi szukajacych schronienia przed sloncem. Hosteen zwrocil sie do Gorgola.

-Dotrzemy do nich, zanim slonce wzniesie sie wysoko?

Norbis nie byl pewien. Trudno bylo okreslic odleglosc, jaka ich dzielila. Najar twierdzil, ze sa nie dalej niz piec mil stad, tylko ze piec mil w tym terenie moglo sie rownac poldniowej wedrowce.

-Jesli wkrocza do Blekitnej - ostrzegl Gorgol - moi ludzie zjednocza sie przeciw nim i nie bedzie mozna zlamac drzewcow pomiedzy szczepami.

-To prawda. Ale jesli ty ruszysz do swoich, a ja z tym, ktory wiele wie o zlym czlowieku, pojedziemy do osadnikow, moze to, co powiemy, powstrzyma obie strony do czasu, gdy strzaly wojenne wroca do kolczanow, a mdrzy ludzie zasiada, by radzic.

Gorgol wspial sie na szczyt stosu glazow, ktory maskowal wejscie do groty, i spojrzal na poludnie. Jego palce poruszyly sie.

-Dla mnie droga nie jest trudna. Dla was moze byc nie do przejścia. Wybor nalezy do was.

-Co o tym sadzisz? - Hosteen spytal Najara. - Beda czekac przez caly dzien, ale potem rusza. Sa tu gdzies ich zwiadowcy, inaczej

nie odebralbys tych fal. Jesli wejda do wielkiej doliny, na pewno dojdzie do bitwy. Dean ja wygra i to bedzie poczatek wojny.

-Co zamierzasz? - odparl Najar.

-Sprobuje dotrzec do nich przed noca, zanim wyrusza...

Moze popelnial blad, moze powinien zostac tu i scigac Deana. Ale nawet gdyby jakimś cudem dostal tego odszczepienca, to wojna i tak wybuchnie, jesli przybysze przekrocza granice Blekitnej.

-Nie znajdziesz ich nie idac za promieniem. - Najar przesunal wierzchem dloni po ustach.

-Mam Baku i Surre - odparl Hosteen.

A jednak zwiadowca mial racje. Idac z nim, moglby wybierac najkrotsza i najlatwiejsza droge, bo wiedzieliby, z ktorej strony dobiega sygnal.

Najar przerzucil rzemien manierki przez kosciste ramie:

-Jesli mamy isc, to chodzmy.

Ominal skaly i ruszyl naprzod. Hosteen uniesiona w gore dlonia pozegnal Gorgola, a ten zesliznal sie na druga strone stosu glazow, ku dolinie, gdzie mial znalezc i przekonac swych pobratymcow.

Bylo wczesnie i slonce nie grzalo jeszcze z pelna sila. Wedlug oceny Hosteena mogli liczyc na jakies dwie, dwie i pol godziny marszu, zanim beda musieli szukac schronienia. Potem moze

jeszcze godzina wczesnym wieczorem... Ale najlepiej bylo myslec tylko o tym, co mialo sie bezposrednio przed soba: o najblizszej krawedzi czy szczelinie, a potem, gdy slonce wspielo sie wyzej, o nastepnych dziesieciu, pieciu krokach.

Surra znikla im z oczu, utrzymywala tylko telepatyczny kontakt z Hosteenem. Wreszcie nadeszla chwila, gdy polecil jej znalezc kryjowke. Odpoczywali coraz czesciej, a okolica zaczynala przybierac wyglad taki, jak to, co widzial przez "okno" z zamknietej dolinki. Nagle Najar skrecil w prawo.

-Sygnal! Jest dwa razy silniejszy! Albo sa tuz obok, albo oglaszaja natychmiastowy odwrot.

Z powolnego, ostroznego kroku, ktory utrzymywali dotychczas, przeszedl w szybki trucht. Nagle ziemia obsunela sie i Najar zjechal w dol w lawinie piachu i kamykow. Jednoczesnie Surra zasygnalizowala o odnalezieniu obozu.

Rumowisko doprowadzilo ich do ustępu skalnego, gdzie znalezli postoj urzadzony tak, jak robili to Norbisowie i myśliwi ze Szczytow. Nad jama, wygrzebana w ziemi spietrzono kamienny kopiec. Pod taka oslona mozna bylo wytrzymac spiekote dnia.

Surra podpelzla ku schronowi i ryknela gniewnie. Hosteen pospieszyl za nia i uderzyl w zaslaniajaca wejscie frawnia skore. Po chwili wylonily sie zza niej glowa i ramiona czlowieka. Byl to Kelson.

-Storm! Spodziewalismy sie ciebie, Baku przylecial przed kilkoma minutami. Wchodz, chlopie, wchodz. A ty, Logan... - dopiero mowiac to Oficer Pokoju przyrzal sie dokladniej towarzyszowi

Hosteena. - To nie Logan...

-Nie.

Hosteen pchnął lekko Najara w kierunku wejścia, a Kelson cofnął się, by ich przepuścić. Potem weszła Surra, a na końcu Storm. Stanął, czekając, aż oczy przywykna do ciemności.

Miejsce było dobrze wybrane. Niewielka jama prowadziła do obszernej jaskini. Nie miał czasu na oglądanie otoczenia, bo stanął przed Bradem Quade'em.

-Logan...?

Pytanie, które sam zadawał sobie tyle razy, teraz zostało wypowiedziane przez człowieka, z ust którego najbardziej obawiał się je usłyszeć. Wszystko, co mógł mu powiedzieć, to to, że rozdzielili się na placu, który był tajemniczym środkiem komunikacji i że, zgodnie z tym, co mówił Najara, że spirali można było trafić nie tylko do hali maszyn. Jeśli Logan jeszcze żył, to blaknął teraz gdzieś w podziemiach.

-Nie wiem...

-Byliście razem?

-Tak... przez jakiś czas...

-Storm - Kelson położył mu rękę na ramieniu - odebraliśmy sygnał, który stąd wysłałeś.

Niepokój, lek, zmęczenie wybuchły teraz w ataku gniewu:

-Wiec dlaczego, do diabla, przyszliscie tutaj? Jeden wasz krok w doline i zacznie sie!

Caly sie trzasl. Wscieklosc i gniew na te kraine, na swoj brak szans w starciu z Deanem, na to, ze nie radzil sobie z sekretami podziemi, wszystko to poczul tak dotkliwie, ze mial ochote ryczec jak Surra. Kot zawarczal w ciemnosciach, a Baku krzyknal przerazliwie. Zwierzeta czuly, ze ich pan stracil nad soba panowanie.

Ktos chwycil go lagodnie, ale zdecydowanie za ramiona. Usilowal wyswobodzic sie i zdal sobie sprawe, ze zmeczone cialo nie jest posluszne jego woli. Teraz ktos przytknal mu do spieczonych ust kubek, z ktorego pociagnal lapczywie.

-Sluchaj, chlopcze, nikt sie tam nie pcha na oslep. Na szczytach sa nasi zwiadowcy, ale nie wolno im schodzic w te doline. Mozesz nam powiedziec, o co tu wlasciwie chodzi?

Quade mowil spokojnie, sadowiac Hosteena na podlodze. Potem namoczyl sciereczke w mlecznym plynie, ktory stal w niewielkim pojemniku, i chlodzil nia twarz, szyje i piers Hosteena. Aromat cieczy uspokajal i przywodzil na mysl wieczory na ranczo.

Storm byl juz zupełnie trzezwym i spokojnym. W kilku zdaniach przekazal im to, co wiedzial, po czym przywolal Najara, by ten dodal swoja czesc opowiesci.

-Macie racje - stwierdzil Kelson, gdy skonczyli. - To Dean.

-Niezrownowazony tech o inteligencji geniusza w skladzie z maszynaria Zamknietych Grot. Boze! To moze wykonczyc Arzor



szybciej niz bomba Tri-X!

-Wezwales Patrol? - zapytal Hosteen.

-Oficjalnie nie. Pozyczyliśmy kilku ludzi. Moze teraz - stanal z rekami na biodrach i twarza czerwona nie tylko od upalu - Rada bedzie miala wiecej rozsadku. Ten teren powinien byc dokladnie patrolowany juz piec... dziesiec lat temu!

-Byloby to naruszenie ukladow - przypomniał Quade.

-Uklady! Nikt nie mowi o ograniczaniu praw Norbisow... przynajmniej ja nie, bo niektorzy ze Szczytow maja inne zdanie. Nie, ja tylko chce - zawsze o tym mowilem - lokalnej strazy zlozonej z Norbisow i osadnikow. Trzeba to bylo zrobic na poczatku, a mogliśmy ustanowic ja w zeszlym roku, gdybyscie wy, podatnicy, troche przycisneli wladze. Taki oddzial wyniuchalby te bande Xikow, zanim jeszcze sie zadekowala w swojej kryjowce, a teraz zalatwilby sprawe, nim sie na dobre zaczela. Mowisz, ze ten Ukurti jest przeciwny podzeganiu Deana i ze moze pociagnac za soba wodza. Wlasnie takich tubylcow moglibysmy wykorzystac. To nie jest lamanie traktatow. Ale nie, to by bylo za proste dla tych kanapowcow z Galwadi! A teraz moze byc za pozno. Jezeli bedziemy musieli wezwac Patrol, zeby poskromic Deana...

Nie musial konczyc. Wszyscy wiedzieli, co by to znaczylo. Utrata niepodleglosci, obca kontrola przez czas nieokreslony, koniec rozwoju tutejszej kultury, z ktora wiazali takie nadzieje.

-Ile mamy czasu? - spytal Hosteen.

-A jak długo Dean będzie czekał ze swoją wyprawą? - warknął Kelson. - Jeśli nasi zwiadowcy doniosą o jakichś oddziałach opuszczających Blekitną, a my nie będziemy w mocy ich zatrzymać...

-Moc - powtórzył cicho Hosteen. - Władza Deana opiera się na wierze tubylców w magię. Myślę, że Norbisowie z Blekitnej posiadają jakieś resztki dawnej wiedzy. Niektóre z maszyn nadal pracowały. W dolinie, gdzie leży wioska, klimat jest z pewnością kontrolowany. W małej dolince, gdzie ukrył się Najar - też. Być może, Norbisowie potrafią stosować jakieś urządzenia, nie rozumiejąc zasady, na jakiej one działają. Widzieliśmy na przykład miejscowego czarownika, który pokazywał jako sztuczkę coś, co na pewno nie pochodziło z Arzoru. Teraz zjawił się Dean, uruchomił nowe maszyny, nowe "czary" i został uznany za człowieka władającego magią, nietykalnego i posiadającego moc...

-Więc trzeba go usunąć? - zastanawiał się Kelson.

-W żadnym razie! - przerwał mu Quade, a Hosteen przytaknął milcząco. - Gdyby zniknął, byłby to jeszcze jeden dowód jego niezwykłości. A gdyby odkryto, że my za tym stoimy, byłoby to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Usunąć go muszą jego wyznawcy.

-Nie ma takiej możliwości - wybuchnął Kelson.

-Stanowisko Ukurtiego może nam ułatwić sprawę - zauważył Quade. - Dean jest niezrównowadzony. Trzeba go zaatakować tam, gdzie będzie czuł się bezpieczny...

Hosteen drgnal.

-We wnetrzu gory!

-Tak. We wnetrzu gory.

-To platanina korytarzy. Znalezc go, gdy on zna te miedzywymiarowe przejścia... - Hosteen widzial bezskuteczność takich poszukiwan, a jednak innej szansy nie bylo. Gdyby rzeczywiscie udalo sie schwytac Deana i uwiezic w swietej gorze, gdzie nie odwazyliby sie wejsc jego norbiscy sprzymierzenci, mieliby czas, by wymyslic jak go przed nimi zdemaskowac.

-Najar - zwrocil sie do rozbitka Quade. - Potrafisz odnalezc hale maszyn?

-Moge sprobowac. Ale, jak mowi Storm, to wielka gora, a moze gory, i jest tam mnostwo przejśc. Latwo sie zgubic...

-Mozemy wyruszyć, jak tylko sie ochlodzi - zaczął raznie Kelson.

-To my ruszamy. Ty zostaniesz tu i skontaktujesz sie z pozostałymi - sprostował Quade. - Nie sprzeczasz sie, Jon. Jesteś tu władza i dlatego mozesz rozmawiac z tymi spryciarzami od rakiet na nizinach. Jak myslisz, posluchaliby mnie? Dla nich jestem jeszcze jednym poganiaczem frawnow. Najar, czy zgodzisz sie nas poprowadzić?

Rozbitek wpatrywiał sie w ziemie. Hosteen wiedzial, co chcialby odpowiedziec - ze w koncu wyzwolil sie z koszmaru, w którym byl od ladowania w Blekitnej. Teraz miał okazje dokonczyc swa podroz, dotrzec do domu. Ale byl Ziemianninem i zaden dom na

niego nie czekał. Czy to skłoniło go do decyzji?

-W porządku. - Wytarł dłonie o lachmany, które służyły mu jako koszula. - Tylko nie obiecuje, że go znajdziemy.

-To zrozumiałe. W każdym razie wyposażymy was.

Kelson grzebał energicznie w paczkach zgromadzonych w glebi schronu. Były tam zapasy wystarczające do zaopatrzenia posterunku zwiadowców: bron, emitery, noże, ubrania i tabletki odżywcze.

Hosteen przespał większą część dnia. Poza pierwszym pytaniem, Quade nie wspomniał o Loganie, ale myśl o nim towarzyszyła Stormowi cały czas, także w snach. O zmroku obudził się mokry od potu. Snął mu się trójkątny plac w dolinie, tylko że we śnie Logan z niego zniknął, a on wiedział, że nie potrafi pojsc za bratem. Teraz Hosteen nie mógł zrozumieć, dlaczego to zrobił, dlaczego nie zawołał Logana, nie kazał pojsc za sobą, gdy rozpoczął dziwny marsz po spirali. Jak mógł zapomnieć o swym bracie? Nie potrafił znaleźć wytłumaczenia.

Baku pozostał z Kelsonem. Miał utrzymywać łączność między górą a obozem. Orzeł nienawidził tuneli, zresztą jego umiejętności były tam całkiem bezużyteczne. Za to Surra pomknęła przed oddziałem tą samą drogą, która przyszli rano.

Gdy dotarli już do jaskini, Hosteen objął kota. Czuł, jak napinają się potężne mięśnie jego grzbietu.

Tak jak wcześniej, w kryjówce, odbierała jego frustracje i wściekłość, teraz czuła jego wole i przygotowywała się do

oczekującego ich zadania. Przeciwnikiem był dla nich także czas.

-Szukaj, szukaj!

Z całą siłą i dokładnością, na jaką mógł się zdobyć, przekazał jej obraz Deana. Usłyszał i wyczuł głęboki warkot, jaki dobiegł się z jej gardła. Nie wiedział, czy talenty łowieckie Surry pomogą w schwytaniu wroga. Wiele zależało od szczęścia, a może od magii.

Spojrzał na Najara.

-Potrafisz nas doprowadzić do któregoś z głównych korytarzy?

-Na ile wiem, to większość z nich jest główna.

Nie brzmiało to zbyt optymistycznie, ale rozbitek objął prowadzenie i ruszyli w głąb góry. Surra nie zamierzała tu wybiegać naprzód. Trzymała się Hosteena idąc z nim niemal noga w nogę.

Obserwował jej zachowanie, licząc bardziej na nią niż na zdolności tropicielskie Najara, i zorientował się, w czym rzecz, zanim jeszcze zagroziła mu drogę.

Quade, znając jej metody, zatrzymał się również, tylko Najara obejrzał się zdziwiony, a potem zniecierpliwiony.

-O co... - nie zdążył dokończyć pytania, bo Hosteen ruchem ręki nakazał mu milczenie. Surra zachowywała się tak samo, jak wtedy, gdy - w innym tunelu - Dean nagle zniknął. Indianin był pewien, że są w jednym z tajemniczych przejść.

Kot przechylił głowę i słuchał uważnie czegoś, czego niedoskonale uszy ludzkie nie mogły wychwycić. Stojąc nieruchomo, Hosteen przelaczył latarkę na najsilniejszy promień. Oswietlił podłogę, a potem prawa ścianę, ale nie dostrzegł tam spiralnego wzoru, którego się spodziewał. Skierował światło w lewo, ale i tam znalazł tylko gładką powierzchnię.

A jednak Surra wciąż słuchała. Nagle wspięła się na tylne łapy, wysoko unosząc nozdrza, jakby doleciał do niej jakiś zapach.

W gorze! Nie pod stopami, jak w tamtej dolinie, ale nad głową. Snop światła padł na sklepienie, wydobywając znany wzór. Ale jak miał go przejść - do góry nogami?

-To właśnie to? - spytał Quade.

-Tak. Tylko nie wiem... - zaczął Hosteen, ale po chwili już wiedział. Tak jak przedtem coś zmusiło go do przejścia spiralną ścieżką, tak teraz rozkaz płynący spoza jego świadomości spowodował, że jego prawa ręka uniosła się, a palce dotknęły zewnętrznego brzegu spirali. Tym razem jednak nie dał się wciągnąć tej sile, cały czas pamiętał o swoich towarzyszach.

-Myślę, że - trudno mu było wydobyć z siebie głos, oderwać się od podążania za wzorem. Przymus był dotkliwy jak ból, rozlewał się z końców palców po całym ciele.

-Musimy zrobić tak - wyrzucił w końcu. Nagle poczuł napor pokrytego futrem ciała. Surra! Ona nie miała rak. Jak może tedy przejść? Miałby ją zostawić? Oddał latarkę Quade'owi i drugą ręką chwycił kota za skórę na karku. Nie mógł odwrócić oczu od spirali, która lśniła teraz w jego umyśle tak samo jak na ścianie.

Trzymając mocno kota zaczął palcami zataczać koła wyznaczone przez wzor. Żeby sięgnąć do stropu, musiał stać na palcach. Surra znosiła pociąganie bez sprzeciwu. Dokola, dokola... już. Palce dotarły do środka.

Ciemność, i strach przed podróżą w nicność. Czerwona iskra - to Surra, białozłota - to on, Hosteen Storm, wciąż razem...

Jasność! wyciągnął rękę, by złapać równowagę, i poczuł gładki chłód metalu. Znajdował się na podium w hali maszyn. Surra wyswobodziła się z uchwytu i obniżając głowę w bezgłosnym ostrzeżeniu zwróciła się ku przejściu między rzędami urządzeń.

## Rozdział 18

Hosteen wyciągnął emiter. Kot wyczuł coś, czego nie mogli dostrzec zmysły człowieka. Gdzieś, pomiędzy rzędami maszyn trwało polowanie, a zwierzyzna był przyjacielem nie wrogiem. Gorgol? Czy po przekonaniu Norbisów odważyłby się tu zapuścić? A może - Ziemię zaciśniętą na kolbie - może to Logan? Surra wielkim susem zeskoczyła z platformy, a potem wślizgnęła się pomiędzy dwa urządzenia. Hosteen podążył za nią.

Oprócz szumu maszyn usłyszał coś jeszcze - jakby tykanie, odgłos bardziej metaliczny niż bebnie Norbisów. Dotarł do Surry, która przypadła do ziemi, czyhając na coś, co było za rogiem. Włosy wzdłuż jej grzbietu stanęły dęba, uszy położyła po sobie. Nagle prychnęła i uniosła łapę do ciosu.

To coś nie było żywym stworzeniem, nie dla Surry. Znowu cienie? Nie, Hosteen usłyszał oddalający się szmer. Coś przemykało z ogromną prędkością, tuż przy ziemi, od jednej

maszyny do drugiej. Nie! Tym razem to nie był cien.

Wyrzwał z góry kota i cofnął się gwałtownie. O mało co nie wpadł na niego ktoś... ktoś żywy - człowiek!

-Logan! - Hosteen chwycił go za ramię. Chłopak odwrócił ku niemu rozczochrana głowa. Jego twarz wyrażała najwyższe napięcie. Nagle w oczach zaiskrzył błysk i chłopak skoczył naprzód, na moment przywierając ciałem do brata. Jego ciężki oddech przypominał łkanie.

Ale już po chwili podniósł głowę i patrząc rozszerzonymi oczami ponad ramieniem Storma wydyszał:

-Hosteen! Za toba!

Surra miauknęła przenikliwie i rzuciła się na coś, co pełzło po chodniku, ale cofnęła się szybko. Wyglądało to jak polyskliwa, srebrna wstążka, ale czuło się jej niemal ludzka złowrogość. Jej spiczasty koniec podniósł się, celując w mężczyznę.

-Strzelaj! Szybko! - krzyknął Logan.

Hosteen nacisnął spust emitera. Waz rozbłysnął jak flara, gdy uderzyła w niego wiązka promieni o pełnej mocy.

-Udało się! - głos chłopca był bliski hysterii.

-Co?

-Żywa maszyna... to był jeden z pełzaczy!...

Logan puścił Hosteena i podszedł chwiejnie do metalowej



wstazki. Znad szczatkow wznosila sie cienka smuzka dymu. Chlopak tupnal, rozgniatajac pelzacza obcasem.

-Cale godziny o tym marzyłem - powiedzial do Hosteena.

-Ale jest tu ich wiecej. Musimy byc ostrozni, na Siedem Slonc - spojrzal na bron trzymana przez brata. - Skad to masz?

-Dotarly posilki.

Czy rzeczywiscie? Hosteen p'o raz pierwszy zastanowil sie, czy Najarowi i Quade'owi uda sie tu dotrzec, czy tez raz jeszcze spirala przeniesie podroznikow w rozne miejsca.

-Sluchaj - odciagnal Logana od drgajacego lekko "weza". - Tam, w dolinie poszedles za mna po spirali?

-Pewnie. Rozplynales sie w powietrzu... musialem pojsc.

-I gdzie wyladowales?

-W miejscu, w ktorego istnienie bys nigdy nie uwierzył, po wszystkim, co widzieliśmy w tym piekielnym labiryncie. My sie wloczyliśmy po tych norach, a tam czekaly normalne porzadne kwatery. Ale trafilem tam na kogos... na jakiegos przybysza, ktory tu chyba rzadzi. Od kilku dni - tak mi sie wydaje - sciga mnie. To on wypuscil te nakrecane weze. Jednego przyskrzynilem w innej jaskini z zagrodami - zasypalem go skalami - a drugiego zepchnalem do wody. Ty zalatwiles tego, ale jest ich cale stado...

-Zlodziej!

Slowo padlo jakby z powietrza. Zamarli.

-Chowaj sie, jesli chcesz - ton byl wyraznie protekcyjnalny.

-Ale wiesz, ze nie ma ucieczki. Pelzacz wystawia mi cie jak na talerzu. Nie masz dosyc biegania?

Surra ich nie ostrzegla. Czyzby Dean mial tu jakas kamere?

-Tracisz czas na te gre w chowanego. A kamien - jesli ci jakis zostal -jest kiepska bronia przeciw czemu, co moze sobie poradzić z gora, jezeli ja tego zechce.

Nad ich glowami przemknela nagle strzala ognia. Kamien jako bron! Dean nie wiedzial o Hosteenie! To znaczy, ze ich nie obserwowal. Byl tylko pewien, ze pelzacz zapedzily Logana do hali i ze tu sie ukrywa.

-Radze ci, nie kaz mi czekac. Albo przyjdiesz teraz, albo nastawie moje robaczki na pelna moc i pozwole im jej uzyc. Licze do pieciu, zebys mial czas przemyslec ujemne strony bycia martwym bohaterem, a potem masz podejsc do platformy. Raz... dwa...

Logan dal znak w mowie palcow:

-Pojde i zajme go.

-W porzadku. Surra pojdzie lewym przejsciem, ja prawym. Bedziemy cie oslaniac.

-Trzy... cztery...

Logan wyszedl przed platforme. Dwa palce zwisajacej swobodnie reki poruszyly sie - Dean oczekiwal go tam.

Hosteen ruszył do przodu, nieco wolniej niż Logan. Żeby tylko nie zjawił się następny "waz" - pomyślał.

Dean stał, zwrócony tyłem do tablicy, w której rurach pelzały tęczowe światła. Był z siebie wyraźnie zadowolony. Hosteen nie wątpił, że tech miał przy sobie kule stazy albo inna obca bron.

-Więc złodziej nie ucieka.

-Juz ci mowilem, ze nie jestem złodziejem - odparł gwałtownie Logan. - Zgubilem sie i nie wiem, jak trafilem do pokoju, gdzie cie spotkalem.

-Moze jeszcze nie jestes, ale na pewno chcialbys nim zostac. Nie myslisz chyba, ze nie zdaje sobie sprawy, iz kazdy czlowiek oddalby lata zycia za panowanie nad tym? Niewielu jest w stanie wyobrazic sobie taka potege. W oczach tubylcow jestem Wladca Gromu, Panem Blyskawicy i maja racje! Ten swiat nalezy do mnie. Polaczone sily dwudziestu planet Konfederacji biedzily sie dziesiec lat, zanim pokonaly Xikow. Bylem jednym z techow, ktorych wyslano do ich glownej kwatery na Raybo, zeby ja rozmontowac. Myslelismy wtedy, ze odkrylismy tam wielkie tajemnice. Ale one sa niczym w porownaniu z wiedza, ktora kryje sie tutaj. To ja zostalem wybrany, by uzyc tych tasm i maszyn edukacyjnych. Czekaly na mnie, tylko na mnie, nie na takich nieukow, glupich złodziejaskow, jak ty. To wszystko jest moje...

Hosteen przyspieszył kroku i dał sygnał Surrze.

-Czemu nie skonczysz ze mna, jesli tak uwazasz? Masz swoje pelzacze, masz sztuczne blyskawice...

Logan prowokował Deana, żeby mówił dalej, a ten po długim okresie samotności wykorzystywał to, że ma słuchacza własnej rasy.

-Mamy mnóstwo czasu, żeby jak mówisz, z tobą skończyć. Musiałem cię czymś zająć, żebyś nie narobił mi kłopotów. Nie mogłeś przeszkodzić w moich planach.

-A ten twój plan - Logan był już o kilka kroków od platformy - to zająć Arzorem, a potem ruszyć dalej? Przescignąć Xikow?

-Ci, którzy zbudowali to wszystko - Dean trzymał w rękach małe kule, chyba następny kontroler stazy, bo innej broni Hosteen nie dostrzegł - stworzyli imperium, przy którym mogliby się schować Xikowie z Konfederacją razem wzięci. A wiedza ich jest tu. Przewidzieli swój koniec... i to jest jakby magazyn...- zatoczył ręką krag.

Hosteen nacisnął spust. Powinien trafić w głowę, a spudłował. Promień przeniknął tuż obok, zaskakując techa, ale nie zrobił mu żadnej krzywdy. Logan chciał skoczyć na chwiejającego się wroga, ale tylko runął ciężko na ziemię, bezbronny w uścisku stazy.

Tech stał teraz tuż przy tablicy, więc Hosteen nie osmielił się strzelić ponownie. Promień emitera mógł spowodować uszkodzenia o trudnych do przewidzenia skutkach. Ziemię dał sygnał Surrze. Kot wysokim łukiem wyskoczył z ukrycia wprost na platformę. Ale tam jakby napotkał niewidoczną ścianę, ryknął z gniewem i lekiem i przypadł do podłogi.

Dean, wsparty o tablicę, sięgnął ku jakiejś dźwigni. Wtedy wkroczył Hosteen. Surra nie zaprzestając swych wysiłków walila

lapami w pustkę i ściągając na siebie uwagę techa. Hosteen wskoczył na platformę. Nie ruszył jednak ku Deanowi, lecz ku rzedowi małych galek.

-Tylko spróbuj -jego głos zgrzytał, jakby słowa wydobywały się pod napięciem - a wtedy ja...

Dean odwrócił się gwałtownie. Dzikimi oczami wpatrywał się w Indianina. Hosteen wiedział, że błąd może się nie udać, ale musiał teraz zawierzyć temu, co niektórzy nazywają szczęściem, a jego własna rasa magia.

-Glupcze! To pewna śmierć!

-Nie wątpię - zapewnił Hosteen. - Wole zginąć niż dopuścić do wojny i zagłady całej planety.

Zuchwale słowa - miał nadzieję, że nie będzie musiał dowodzić ich prawdziwości.

-Zwolnij staze! - rozkazał.

Gdyby tylko udało mu się zająć techa choć przez chwilę! Ale Dean nie słuchał. Hosteen wyciągnął rękę w kierunku galek. Wydawało mu się, że czuje pływające od nich ciepło, jakby zapowiedź ognia. Obcy gwałtownie rzucił kule między maszyny.

-Glupcze! Zostaw to! Zawalisz całą górę!

Hosteen chwycił emiter. Może teraz oślepi tamtego i zadanie będzie wykonane. Nagle poczuł powiew i usłyszał jakiś dźwięk za plecami. Na podium zjawily się dwie postacie. Usłyszał krzyk Logana i palący ból przeszył mu ramiona i klatkę piersiową.

Emiter wysunął się z bezwładnych palców.

Dean uciekał, klucząc pomiędzy maszynami, Surra pedziła w siad za nim. Hosteen zachwiał się, na samym skraju platformy odzyskał równowagę i zobaczył, że kot nagle pada i toczy się po podłodze

-Dean musiał znaleźć kule.

Quade wyminał Hosteena i podbiegł do leżacego kota. Ale przed nim był Logan. Zatrzymał się na chwilę i ruchem wytrawnego nożownika rzucił coś w kierunku przejścia, skąd dobiegł przenikliwy krzyk.

Hosteen niezupełnie był świadom tego, co się dzieje. Bol był potworny, jakby coś pozerowało go żywcem. Opadł na kolana. Widział, że Logan i ojciec ciągną szarpiącego się Deana. Logan trzymał bron, która powalił techa - splamiony krwią rog, który znalazł w grocie zagrod.

Kiedy podeszli, tablica ożyła. Pulsująca, lawendowa linia, która zachowywała swój kolor od czasu, kiedy Hosteen trafił do hali, teraz pociemniała. Widac było, że nabiera mocy.

Dean przestał się szarpac. Jego twarz sciągnął wyraz skupienia. W jednej chwili porzucił szalencza walke o wolność i przeistoczył się w czujnego techa stojącego przed zawodowym problemem.

-Co się dzieje? - zapytał Brad Quade.

Dean wzruszył ramionami z rozdrażnieniem, lekceważąc pytanie i próbując uwolnić się od przytrzymujących go rak.

-Nie wiem...

Najar stal przy Hosteenie, podtrzymujac go. Nie, Indianin nie mylil sie, Surra tez to czula. To swiatlo ostrzegalo o niebezpieczenstwie.

-Musimy sie stad wydostac - Hosteen ruszyl chwiejnie do podium.

Logan, Quade, Najar - trzy pary oczu zwrocily sie ku niemu. Surra byla tuz obok.

-Co sie dzieje? - teraz pytanie Quade, 'a bylo skierowane do syna, nie do techa.

-Nie wiem! - odpowiedzial tak samo Hosteen. - Ale musimy sie stad wydostac - i to szybko.

Napiecie, ktore czul, zaczynalo przeradzac sie w panike, prawie taka, jakiej doznal w dolinie cieni. Logan poruszyl sie pierwszy.

-W porzadku.

-Jasne - dodal Brad Quade.

Pociagnal za soba Deana, ktory natychmiast znow zaczal walczyc. Wtedy Najar wyprowadzil pewny cios i tech zwiotczal. Swiatlo pulsowalo juz wscieklym fioletem. To tu, to tam, rozblyskiwaly nowe, kolejne galki. Zolty pien drzewa blyskawicznie zaczal wrzec.

Skupili sie wszyscy na podium, podtrzymujac nieprzytomnego Deana. Hosteen chcial podniesc reke, by wykonac gest, ktory

przeniosłby ich do tunelu... i poczuł, że prawe ramię jest sztywne z bólu i że nie jest w stanie nim poruszyć.

Szum maszyn, który towarzyszył im przez cały czas, nie był już szumem, a raczej loskotem. Ożywały coraz to nowe urządzenia.

-Rece... wyciągnij je nad tym rzedem galek - wychrypiał do Logana. - Teraz klasnij. Szybko...

Dłonie Logana, purpurowe w tym groźnym świetle, zetknęły się. Szybowali w przestrzeni...

Znow ujrzeni światła dnia. Hosteen czuł podtrzymujące go ramię Logana i swój chwiejny krok, słyszał za sobą szuranie stop.

Jakis dźwięk... to nie były już maszyny, lecz bebnny, równy rytm, rytm wielu bebnów. A wszystkich ogarniało przemożne pragnienie wydostania się na otwartą przestrzeń.

Wyszli na krawędź, z której Hosteen obserwował przemówienie Deana. Parl naprzód za Surra, która też za wszelką cenę chciała wydostać się z jaskini.

W miarę, jak szedł, czuł się coraz lepiej. Nie było słońca. Niebo przesłoniły fioletowoczerwone chmury. Gdyby było to pięć miesięcy wcześniej lub później, sadziłby, że nadchodzi jedna z ulew typowych dla Pory Deszczu.

Logan zatrzymał się. Surra, dwa kroki przed nim, bijąc ogonem, przypadła brzuchem do ziemi. Wpatrywała się w Bebnniacych.

Stali tam, wszyscy, którzy przybyli do Blekitnej, w równych odstępach wzdłuż stoku. Każdy z nich uderzał w beben w tym



niepokojącym rytmie, który w jakiś dziwny sposób stanowił jedno z gromadzącymi się chmurami.

Przed grupką osadników stał Ukurti. A kilkanaście metrów za czarownikiem zebrali się wojownicy, stojący w równych rzędach, tu i owdzie wznosząc drzewca pokoju.

Quade i Najar, podtrzymujący Deana, Hosteen i Logan - pięciu przybyszów przeciw tysiącu Norbisów. Czy tubylcy przyszli, by wyzwolic Władce Gromu z rąk bezbożników?

Logan, wciąż podtrzymując brata, wyciągnął drugą rękę w geście pokoju. Ani jedno oko nie drgnęło, ani jedna dłoń nie zmieniła rytmu. Warkot bebnów otumaniał ich. Sekundy zmieniały się w najdłuższą minutę życia. Quade i Najar, jak zahipnotyzowani, puścili Deana, który zrobił sztywny krok naprzód -jeden, drugi... Z zaciętą twarzą szedł ku Ukurti'emu. Hosteen chciał go zatrzymać, ale zdał sobie sprawę, że nie może się poruszyć.

Dean zatrzymał się. Zaczął mówić... ale tym razem jego głos nie był głosem Norbisa.

-Idźcie... idźcie...

Reka uniosła się do gardła, a palce zaczęły trząść w poszukiwaniu zgubionej tasiemy.

Ukurti podniósł rękę. Inni czarownicy bebnili dalej, a on sygnalizował powoli. Logan, Quade i Hosteen powtarzali wiadomość na głos, choć nie rozumieli, dlaczego to robią,.

-My-Ktorzy-Sprowadzamy-Gromy, w naszej mocy uczyniliśmy

to... i grom odpowie, i odpowie ogień z nieba. Zatrzymaj to swoją mocą, jeśli potrafisz, Władco Falszywej Błyskawicy.

Nie było wątpliwości, przemowa ta była raczej oświadczeniem sędziego niż wyzwaniem.

Fioletowoczerwone chmury przesłoniły już całe niebo, od czasu do czasu przecinane błyskawicami. Dean kołysał się w przód i w tył wciąż manipulując przy szyi.

Magia... Tak, to była magia, taka, w jaką wierzyli i jaką posługiwali się przodkowie Hosteena. Uwolnił się z objęć Logana, poczuł przyływ ożywienia. Zapomniał o bólu. Teraz mogłoby krzyczeć z triumfu.

Zapadły ciemności rozjasniane tylko światłem błyskawic. Bębny nie przestawały wzywać burzy. Dziwna błękitna poświata scielila się na czubkach drzew i gałęziach krzewów.

Nagle - tak jak wtedy, gdy Dean wyzwolił swoją sztuczną błyskawicę używając jej jako ostrzeżenia i broni - prawdziwy, zrodzony z burzy płomień uderzył w szczyt za nimi.

Odpowiedział mu gwałtowny wstrząs, siła przypominający trzesienie ziemi.

Hosteen powstał. Był ślepy, głuchy, wiedział, że tuż obok uderzyło coś z ogromną mocą. Czuł zapach ozonu, roślinność wokół w jednej chwili zmieniła się w proch.

Czarne burzowe chmury stały się szare. Jak długo już tu leżał? Obok niego Logan poruszył się i usiadł. Quade podczołgał się do nich, a Najar leżał, jęcząc cicho.

Nieco niżej spoczywał nieruchomy kształt, z za którego wynurzył się czarownik w pierzastym płaszczu - Ukurti. Norbis unosił głowę. Spokojnie przyjrzał się czterem mężczyznom, po czym podniósł rękę, wskazując długim palcem coś poza nimi. Obejrzelili się równocześnie.

W miejscu, gdzie przedtem było wejście do jaskini, teraz piętrzył się stos wypalonych glazów. Szczyt góry był dziwnie zniekształcony. Palce Ukurtiego poruszyły się:

-Moc zadecydowała... potęga Bebna przeciw potędze Ukrytych. Niech będzie tak, jak uczyniła moc.

Odwrocił się i zaczął iść w dół, ku wiosce. Przed nim zstępowały oddziały Norbisów. Najar podniósł się i chwiejnie podszedł do ciała.

-Dean nie żyje... chyba trafił go piorun.

-Niech tak będzie - odezwał się Ouade. Mówił w imieniu ich wszystkich. - Jak powiedział Ukurti, przemówiła moc. Władca Gromu nie żyje. Nic tu po nas.

Góra znowu się zamknęła. Kiedy Quade prowadził ich na dół, Hosteen zastanawiał się, czy władze będą chciały się do niej dostać, by dotrzeć do ukrytych tajemnic. Sądził jednak, że minie wiele czasu, nim ktoś znowu odważy się sięgnąć po władzę nad piorunami. Jajogłowi mogą sobie znajdować sprytne wytłumaczenie tego, co się stało - na przykład, że procesy przebiegające w obcych maszynach wywołały, niezwykła o tej porze roku, burzę. Ale on wierzył, jak Ukurti, że istnieją różne potęgi, które czasem staczają ze sobą walke... Tym razem

zwyciezyla ta, ktora byla mu bliska. Z jej zwyciestwa moglo  
wynikac wiele dobrego. Moze pomiedzy skloconymi szczepami  
zapanuje trwaly pokoj, moze nawet spelni sie marzenie Kelsona  
o oddzialach strazy zlozonych z Norbisow i osadnikow. W  
kazdym razie Arzorowi ani innym swiatom nie zagraza juz  
ognisty bicz Wladcy Gromu.

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-  
tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)